

WIKTOR HUGO

## DZWONNIK Z NOTRE DAME

### ROZDZIAŁ I W WIELKIEJ SALI

Lat temu trzysta czterdzieści osiem, miesięcy sześć i dni dziewiętnaście, Paryżanie obudzili się przy dźwiękach dzwonów, w potrójnym obwodzie Grodu, Wszechnicy i Nowego Miasta.

Szósty stycznia 1482 r. nie był jednak dniem historycznym.

Zdarzeniem, które tego dnia „dodawało tak ducha motłochowi paryskiemu”, że użyjemy wyrażenia Jehana z Troyes, było po prostu święto Trzech Króli.

Dnia tego miały mieć miejsce ognie na placu Greve, sadzenie różdżki zielonej w kaplicy Braque i misterium w Pałacu Sprawiedliwości.

Tłumy mieszczan i mieszczek dążyły ze wszech stron od samego rana, przy pozamykanych domach i kramach, ku jednemu z trzech wymienionych punktów.

Lud wypełniał szczególnie wejścia do Pałacu Sprawiedliwości; wiadano bowiem, że ambasadorowie flamandzcy przybyli przed dwoma dniami i będą na przedstawieniu misterium w wielkiej sali.

Nie było rzeczą łatwą docisnąć się tego dnia do owej wielkiej sali, mającej sławę najobszerniejszego na świecie krytego pomieszczenia.

Jeżeli czytelnik pozwoli, postaramy się odtworzyć wrażenie, jakiego byśmy doznali przestępując progi tej wielkiej sali.

Pod naszymi stopami posadzka marmurowa o płytach białych i czarnych. O kilka kroków od nas potężny słup, dalej drugi i trzeci; razem siedem słupów wzdłuż sali, podtrzymujących w jej środku dwoiste sklepienie. Wokoło pierwszych czterech słupów kramy handlarzy, błyszczące od szkieł i brząkał; wokoło trzech ostatnich — ławki dębowe, wyszlizgane i wypolerowane siedzeniami oskarżonych i togami obrońców. W obwodzie sali, wzdłuż wysokiej ściany między podwojami, między oknami, między słupami — nieskończony szereg posągów wszystkich królów Francji. W długich ostrołukowych oknach — szyby o tysiącnych kolorach. To wszystko razem ze sklepieniami, słupami, ścianami, framugami, stropami, oknami, posągami, podmalowane od góry do dołu przepyszny kolorem błękitnym i złotym.

Wyobraźmy sobie teraz podłużną salę w przyćmionym świetle styczniowego dnia, a w niej pstry, krzykliwy tłum, sunący wzdłuż ścian i wokół siedmiu słupów, a będziemy mieli pewne wyobrażenie o całości obrazu.

Gdyby Ravallac nie był zamordował Henryka IV-go, nie byłoby dokumentów procesu ravallakowskiego w kancelarii trybunalskiej Pałacu Sprawiedliwości, ani też współników zbrodni, zainteresowanych w zniszczeniu tych dokumentów, co za tym idzie, nie byłoby również podpalaczy, którzy, żeby zniszczyć, kancelarię, musieli podpalić cały Trybunał, a

wreszcie nie byłoby i pożaru w roku 1618. Stary Pałac Sprawiedliwości stałby po dziś dzień.

Ale wróćmy do naszej wielkiej sali.

Na dwu krańcach tego olbrzymiego równoległoboku stały po jednej stronie — sławny stół marmurowy z jednego bloku, o tak długi, szeroki i gruby „że nigdy jeszcze — jak powiadają stare papiery stylem, którego by im pozazdrościł Gargantua — nigdy jeszcze jak świat światem nie widziano podobnej pajdy marmuru”; po drugiej stronie — kaplica, gdzie Ludwik XI kazał się rzeźbić na klęczkach przed Matką Boską.

W środku sali, naprzeciw głównego Wejścia, wzniesiono estradę krytą złotogłowiem, opartą o mur, z osobnymi podwojami. Podwyższenie to przeznaczone było dla posłów flamandzkich i innych wysokich gości zaproszonych na przedstawienie.

Samo przedstawienie miało się odbyć na stole marmurowym, na którym stało rusztowanie w rodzaju drewnianej klatki. Dach klatki, widoczny ze wszystkich stron, służyć miał za posadzkę sceny teatralnej, wewnątrz zaś rusztowania przeznaczone było na szatnię dla osób biorących udział w sztuce. Drabina na zewnątrz łączyła scenę z szatnią. Każdy wychodzący na scenę musiał przedtem ukazać się na drabinie.

Sztuka miała się zacząć dopiero o dwunastej w południe. Było to bez wątpienia późno jak na przedstawienie teatralne, ale wypadało zastosować się do ambasadorów.

Tymczasem tłum czekał już od rana.

— Na moją duszę, to ty, Joannes Frolo de Molendino! — wrzeszczał ktoś ze zgrai do jasnowłosego chłopca o pięknej, choć napiętnowanej złośliwością twarzy, siedzącego na akantowych liściach jednej z kolumn. — Od dawna tu jesteś?

— Od czterech już blisko godzin — odparł Jan Frolo — i sądzę, że mi to będzie policzone w rachunku czyścicowym.

Ale zegar właśnie wydzwonił południe.

— Aa! — odetchnął tłum.

Czekano minutę, dwie, trzy, pięć, dziesięć. Nikt nie przybywał.

— Misterium! misterium! — podniosły się znów głosy i sala wypełniła się wrzawą.

Lecz w tej chwili zasłona szatni uchyliła się i ukazał się człowiek w zbroi, w kołpaku na głowie i z pękiem blaszanych grotów w ręku. Strój ten miał wyobrażać osobę Jupitera, a blaszane groty — pioruny.

— Cisza! cisza! — rozległy się nawoływania.

— Sławetni obywatele — odezwał się Jupiter — i czcigodne obywatelki! Mamy wygłosić wobec jego ekscelencji kardynała wielce pouczający dialog pod tytułem: Sprawiedliwy wyrok Świętej Marii Dziewicy. Jego przewielebność towarzyszy w tej chwili poselstwu księcia Rakuskiego, które to poselstwo zatrzymane zostało przez dyskurs rektora Akademii. Skoro tylko najprzewielebniejszy kardynał raczy przybyć, rozpoczniemy przedstawienie...

Zadowolenie i podziw wywołane strojem mówcy ustępowały stopniowo miejsca oburzeniu.

— Zaczynać natychmiast! Misterium! Misterium! — huczał tłum. A nad wszystkimi górował głos brata archidiakona, Jana Frolo.

— Zaczynać natychmiast — ryczał.

— Precz z Jupiterem i kardynałem Burbonem! — wołali inni.  
 — Zaczynać! — powtarzało pospólstwo. — Co to za korowody... Stryczka na komediantów i na kardynała!  
 Biedny Jupiter osłupiał, wylekły i blady, opuścił na ziemię pęki gromowładne, zdjął z głowy kołpak i cały drżący począł się kłaniać i bełkotać:  
 — Jego przewielebność... posły... Małgorzata najjaśniejsza Flandr... — sam nie wiedział co plół.  
 Na szczęście nadbiegł mu ktoś z pomocą.  
 — Jupiterze — rzekł nowoprzybyły. Jupiter nie słyszał.  
 Wysoki blondyn zniecierpliwiony, wrzasnął mu prawie pod nosem:  
 — Michale Giborne!  
 — Woła mnie kto? — spytał wtedy Jupiter jakby zbudzony.  
 — Ja wołam — odrzekł młodzieniec ubrany na czarno.  
 — A! — powiedział Jupiter.  
 — Zaczynajcie natychmiast — mówił tamten. — Uczyńcie zadość ludowi; zobowiązuję się przekonać marszałka Pałacu, a ten przebłaga jego miłość kardynała.  
 Jupiter odetchnął.  
 — Jaśnie wielmożni obywatele! — wrzasnął do tłumu. — Jaśnie wielmożni obywatele! Oto w tej chwili zaczynamy. Rozległy się ogłuszające oklaski. Tymczasem nieznajomy schował się za słupem, gdzie by stał po dawnemu, nieruchomy i milczący, gdyby go z ukrycia nie wyciągnęły dwie niewiasty z pierwszego szeregu widzów.  
 — Mości panie — odezwała się jedna z nich, Gisquetta. — Waszmość zna tedy rycerza, który ma grać rolę Świętej Dziewicy?  
 — Rolę Jupitera? — podchwycił nieznajomy.  
 — Ano tak — poprawiła druga, Lienarda — a to głupia! Waszmość znasz tedy Jupitera?  
 — Michała Giborne... Tak, pani!  
 — Czy to będzie ładne, co tam grać mają? — spytała lękliwie Gisquetta.  
 — Tak jest, bardzo ładne — zapewnił mężczyzna bez wahania.  
 — Przynajmniej waszmość, że dialog będzie ładny? — dopytywała się Gisquetta.  
 — Rozumie się — zapewnił tamten.  
 I dodał nie bez pewnej dumy:  
 — To ja jestem autorem!  
 — Doprawdy? — powiedziały dziewczęta zdumione.  
 — Doprawdy! — odrzekł poeta chrząkając lekko. — To ja sam tę sztukę ułożyłem.  
 Nazywam się Piotr Gringoire.  
 Lecz właśnie spod rusztowania teatralnego rozległa się muzyka. Spoza zasłon wyszły cztery osoby i wdrapały się po stromej drabince na pomost. Tu stanęły w jednym szeregu przed publicznością, którą powitały pokłonami. Wtedy muzyka zamilkła. Zaczynało się misterium.  
 Z czterech alegorycznych postaci pierwsza trzymała szpadę, druga — dwa złote klucze, trzecia — wagi, czwarta — rydel. Pierwsza postać była więc symbolem szlachty, druga — stanu duchownego, trzecia — kupiectwa, czwarta — pracy.

Obszedłszy całą ziemię osoby te przybyły na odpoczynek aż do Pałacu Sprawiedliwości i wykładają obecnie przed prześwietnym zebraniem całą litanię maksym i sentencyj.

Było to w rzeczy samej nadzwyczaj piękne.

Łaskawe oklaski, jakimi przyjęto początek prologu, uszczęśliwiły autora, Piotra Gringoire. Ale to szczęście trwało krótko.

Oto jakiś żebrak wdrapał się na estradę przeznaczoną dla posłów flamandzkich i wyciągał stąd skaleczoną rękę, w której trzymał czapkę, z prośbą o jałmużnę.

— Ależ bo... na moją duszę — podchwycił Jan Frolo — toż to Clopin Trouillefou! Hejże tam, przyjacielu, czy ci ta rana na nodze przeszkadzała, że ją dziś nosisz na rękę? To mówiąc cisnął groszak do zatłuszczonej czapki.

— Co łaska, wielmożni! — jęczał żebrak.

Ten dialog o mało nie spowodował przerwy w przedstawieniu.

Gringoire był bardzo niezadowolony.

— Dalej! Cóż u licha! Grajcie dalej! — wołał ku czterem postaciom na scenie.

Lecz w tej chwili drzwi uprzywilejowanego balkonu otworzyły się, a gromki głos woźnego oznajmił: — Jego eminencja kardynał Burbon.

Wejście kardynała od razu wzburzyło całe audytorium. Wszystkie głowy odwróciły się ku trybunie honorowej. — Kardynał! Kardynał! — powtarzały wszystkie usta. Nieszczęśliwy prolog utknął po raz drugi.

Kardynał zatrzymał się chwilę na progu estrady. I kiedy obojętnym wzrokiem wiódł po zgromadzeniu, zamieszanie rosło. Wszyscy chcieli mu się przyjrzeć.

Był to istotnie dygnitarz nie lada.

Zresztą był to miły człowiek. Pędził wesoło życie kardynalskie, na frasunek szukał lekarstwa w królewskiej winnicy Chaillot, z tych względów bardzo się podobał ludowi paryskiemu.

Oprócz tego kardynał Burbon był przystojnym mężczyzną, ubranym we wspaniałą płaszcz karmazynowy, który nosił z wdziękiem i godnością. Po swojej stronie miał wszystkie kobiety, czyli, co na jedno wychodzi, lepszą połowę zgromadzenia. I zaprawdę, byłoby to niesprawiedliwością i dowodem najoczywistszego złego smaku gwizdać na takiego dygnitarza.

Wszedł więc, pozdrowił obecnych zwykłym uśmiechem potentatów i wolnym krokiem przeszedł do krzesła obitego I oto w tej chwili woźny oznajmił: — Panowie posły imci księcia austriackiego.

Po czym ambasadorowie Maksymiliana austriackiego w okrągłej liczbie czterdziestu ośmiu wkroczyli do sali z wielebnym ojcem Janem, opatem z Saint-Bertin i Jakubem de Goy wysokim dostojnikiem sądownym z Gandawy, na czele.

Zgromadzenie słuchało dziwacznych nazwisk wymienianych przez woźnego. Byli to: mistrz Loys Roelof, ławnik miasta Louvain; Clays d'Etuelde, ławnik brukselski; imci Paweł de Baeust, pan na Voirmizeille, prezydent Flandrii; mistrz Jehan Colegiens, burmistrz miasta Antwerpii; mistrz Jerzy van Moere, pierwszy starosta miasta Gandawy; mistrz Gheldolf van der Hage, pierwszy ławnik tegoż miasta; i pan z Bierbecque, i Jehan Dymaerzelle itd. itd. — starostowie, ławnicy, burmistrze i znów burmistrze, ławnicy i

starostowie; a wszyscy sztywni, napuszeni, wykrochmaleni, przyodziani odświętnie w aksamity i adamaszki, w kapeluszach z czarnego aksamitu.

Kardynał przywitał się tylko z jednym z nich, a mianowicie z radcą miasta Gandawy, Wilhelmem Rym.

W chwili gdy radca gandawski i jego eminencja wymieniali ukłony, ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, o szerokich ramionach, w skórzanej kurcie. Woźny zatrzymał go.

— Hej przyjacielu, nie tędy !

Człowiek w skórzanej kurcie odepchnął go.

— Czego on chce, ten dureń? — ryknął. — Czy nie widzisz kim jestem?

— Imię waszmości? — spytał woźny.

— Jakub Coppenole.

— A godność?

— Pończosznik spod „Trzech Łańcuchów”, z Gandawy. Woźny cofnął się zdumiony.

Ale w tej chwili zbliżył się do niego Wilhelm Rym i szepnął nieznacznie szkarłatnym aksamitem. Jego otoczenie złożone z biskupów i opatów, wkroczyło za nim na trybunę.

— Oznajmij mistrza Jakuba Coppenole, pisarza ławników miasta Gandawy.

Kardynał podchwycił głośno:

— Woźny, oznajmij mistrza Jakuba Coppenole, pisarza sądowego prześwieczonego miasta Gandawy.

Był to błąd. Wypadało już Rymowi samemu zostawić załatwienie sprawy. Coppenole właśnie posłyszał polecenie kardynała.

— Tam do licha! — wrzasnął piorunującym głosem. — Nie! powiadam, nie! Jakub Coppenole, pończosznik i basta! Słyszysz, Woźny. Ni krzty więcej, ni krzty mniej.

Pończosznik, alboż to mało?

Wybuchły śmiechy i oklaski.

Dodajmy, że Coppenole był z ludu, znajomość i poufałość więc między nim a publicznością dopełniła się szybko.

Coppenole skłonił się dumnie jego eminencji, kardynał zaś ze swojej strony pozdrowił możnego mieszczucha. Następnie obaj zajęli swe miejsca, kardynał nieco zmieszany i zakłopotany, Coppenole spokojny i wyniosły. Jakkolwiekby — mówił sobie w duchu ten ostatni — równie dobry mój tytuł pończosznika jak i wszelki inny.

Co do żebraka dopina, przybycie znakomitych gości nie skłoniło go bynajmniej do opuszczenia raz zdobytego miejsca; przeciwnie, rozsiadł się on jeszcze wygodniej na brzegu estrady, przeznaczonej dla posłów flamandzkich.

Otóż przypadek zrządził, że pończosznik gandawski zasiadł akurat w pierwszym szeregu ławek, tuż nad samym żebrakiem; niemałe też było zdziwienie zgromadzonych, gdy ujrzano, jak ambasador flamandzki spojrzawszy na umieszczonego przed nim obdartusa i poklepał go poufale po ramieniu. Żebrek się odwrócił. Po czym — uśmiech zawartej nagle znajomości — i pończosznik z żebrakiem poczęli rozmawiać półgłosem.

Nie mogło to ujść w końcu uwagi kardynała, który wyobraził sobie naturalnie, że żebrak błaga o jałmużnę, i wzburzony taką bezczelnością zawołał:

— Mości starosto Pałacu, do rzeki mi tego huncwota!

— Ależ nie! — zawołał Coppenole. — Toż jeden z moich przyjaciół, ekscelencjo!

— Dobrze! Niech żyje! — huknęły tłumy.

Od tej chwili mistrz Coppenole w Paryżu zarówno jak poprzednio w Gandawie „wielkie zachowanie w tłumie posiadł”.

Kardynał przygryzł wargi i zwróciwszy się ku swemu sąsiadowi, opatowi od Świętej Genowefy, rzekł doń z cicha:

— Przedziwnych ambasadorów przysyła nam jego miłość arcyksiążę!

A tymczasem zapomnieliśmy o prologu i jego autorze.

Od chwili kiedy wszedł kardynał, Gringoire ani na sekundę nie ustał w usiłowaniach podtrzymania swej sztuki. Rozkazał najprzód aktorom, by na nic nie zważając recytowali dalej; następnie, widząc, że nikt ani myśli słuchać, zatrzymał bieg akcji; a oto teraz już od kwadransa blisko tupie nogami, rzuca się, podmawia Gisquettę, podmawia Lienardę, zachęca swych sąsiadów do zwrócenia uwagi na prolog; wszystko na próżno. Nikt nie odrywał oczu od kardynała, poselstwa i estrady.

Lecz cóż to? Majster Coppenole, pończosznik, wstaje naraz. I czego chce? Gringoire nie wierzy uszom. Wśród powszechnej uwagi niedźwiedzisko gandawskie ni z tego ni z owego występuje z mową do tłumu:

— Sławetni mieszczanie i wielmożni obywatele paryscy! Nie wiem co my, u licha, tutaj robimy. Nie wiem, azali one to rzeczy nazywacie misteria, ale w tym nie ma krzty uciechy; klótnia na języki, nic więcej! Oto już od kwadransa czekam na pierwszy kułak, i ani Boże daj! To są tchórze, powiadam wam, którzy się obrzucają samymi jeno połajankami. Należało sprowadzić zapaśników z Londynu lub Rotterdamu, ot wtedy to co innego; mielibyście takie szturchańce, że z placu można by je było słyszeć; ale co do tych, to litość bierze. Powinni by przynajmniej wystąpić z tańcem arabskim lub z inną jaką krotochwilą. Wcale co innego mi powiedziano; obiecano weselisko błaznów i wybór ich królika. W Gandawie my również mamy swego króla trefnisiów i pod tym względem wcaleśmy w tyle nie pozostali! Ale u nas dzieje się to inaczej! Zbieramy się jak tutaj, po czym każdy z kolei wysadza głowę z umyślnego otworu i tak gębę zebranych pokazuje; ten, który najohydniej wykrzywi gębę, bywa ogłoszony królem przy okrzykach całego zebrania. Ot tak! Zabawa jest niezmiernie pocieszna. Czy chcecie, żebyśmy wybrali królika sposobem naszym, gandawskim? Będzie to w każdym razie rzecz mniej nudna, niż słuchać tych tam gadanin. Cóż o tym powiadacie, sławetni panowie? Moim zdaniem, znajdą się tu dostatecznie grubiańskie okazy tak z płci jednej jak i drugiej, byśmy się pośmiać mogli z flamandzka, a i twarze nasze dość są brzydkie, byśmy nie mieli liczyć na najlepszy grymas.

Gringoire zamierzał odpowiedzieć na przemówienie, ale mu słowa uwięzły w gardle z osłupienia, gniewu i oburzenia. A przy tym wniosek popularnego już pończosznika przyjęty został z takim zapałem przez tych mieszczuchów, którym schlebił tytuł wielmożnych, że wszelki opór okazałby się bezskuteczny. Nie było innej rady, tylko się poddać, Gringoire zakrył twarz obiema rękami.

W mgnieniu oka wszystko było gotowe do wykonania pomysłu Coppenola. Mieszczanie, żacy, palestranci wzięli się do roboty. Mała kapliczka naprzeciw marmurowego stołu wybrana została jako scena. Z szyby wybitej w ślicznej rozetce ponad drzwiami pozostał wolny otwór w kamieniu, który przeznaczono na głowy współzawodników o

najpiękniejszy grymas. Żeby osiągnąć otworu dość było wleźć na dwie beczki wydobyte nie wiem już skąd i naprędce ustawione jedna na drugiej. Postanowiono przy tym, że każdy kandydat płci męskiej lub żeńskiej, aż do chwili wystąpienia swego na scenie, to jest na beczkach, przejdzie do kaplicy z zakrytą twarzą. W jednej sekundzie kaplica zapełniła się współzawodnikami, za którymi natychmiast zamknięto drzwi.

Coppenole nadawał wszystkiemu ład i kierunek. Kardynał nie mniej od Gringoire'a dotknięty tym, co się stało, usunął się z podwyższenia wraz z orszakiem po pierwszych zaraz objawach radości ludowej, z jakimi propozycję Flamanda przyjęto, a to pod pozorem licznych zajęć i niesporów.

Wyjściu temu towarzyszyła równie głęboka obojętność tłumów jak głębokie było wrażenie wywołane przybyciem kardynała.

Zaczęły się popisy wyszczerzania. Pierwsza figura, jaka się ukazała w otworze, ze źrenicami wyrwconymi, z gębą rozdartą jak paszcza krokodyla, z czołem pomarszczonym niby cholewy, wywołała śmiech siarczysty i niepowstrzymany.

Następnie grymas szedł za grymasem wywołując śmiech i radosne tupanie nogami.

Wyobraźmy sobie szereg twarzy, przedstawiających kolejno formy geometryczne, od trójkąta do trapezu, od stożka do wielokąta, oraz wszelkie możliwe wyrazy namiętności ludzkich, od gniewu do rozwiązłości. Wyobraźmy sobie, że wszystkie rzeźbione poczwary Nowego Mostu, te skamieniałe pod dłutem Hermana Piona upiory, ożyły naraz, nabrały oddechu i przyszły spojrzeć nam w oczy pałającymi ślepiami; że wszystkie maski karnawału weneckiego zaczęły się podsuwać jedna po drugiej przed nasze oczy. To by dopiero może uprzytomniło żywe obrazy w otworze kapliczki! Istny kalejdoskop potworności ludzkich!

Co do Gringoire'a, to ów po chwilowym upadku ducha odzyskał pewność siebie.

— No i cóż, róbcie swoje! — zawołał po raz dziesiąty na komediantów.

— Walczmy do ostatka, władza poezji nad ludem jest wielka. Poprawię tych prostaków.

Zobaczymy kto weźmie górę: grymas czy literatura.

Niestety, był jedynym widzem swej sztuki.

Nagle rozległ się grzmot oklasków i okrzyki podziwu.

Grymas w otworze rozetki był w tej chwili niezwykle. Po wszystkich figurach wielokątnych trzeba było w istocie dla pozyskania głosów publiczności takiego tylko monstrualnego grymasu, jaki w obecnej chwili olśnił zgromadzenie. Sam mistrz Coppenole bił brawa, a Clopin Trouillefou, również należący do konkursu (Bóg zaś widzi, że miał ku temu wszelkie prawo) otwarcie wyznał, że jest zwyciężony. I nam też nic innego nie pozostaje. Nie będziemy się przed czytelnikiem silili na opis tego nosa czterościennego, tych ust zgiętych na pół w podkowę; tych oczu małych, z których jedno, lewe, zasłaniała ruda krzaczasta brew, a drugie, prawe, pokryte było prawie całkowicie ogromną brodawką; tych zębów, tu i ówdzie powykręcanych i powyłamywanych; tych warg spiekłych i popryszczonych, na które zachodził jeden z zębów jak kieł dzika lub słonia; tego rozdartego podbródka; nade wszystko zaś tego ogólnego wyrazu, rozlanego po całej twarzy — wyrazu złożonego ze złośliwości, zdziwienia i smutku. Wyśnijcie, jeśli zdołacie, podobną całość!

Zachwył był jednomyślny. Rzucono się ku kaplicy, z której wyprowadzono po chwili w triumfie szczęśliwego króla śmieszków. I tu dopiero podziw i uwielbienie doszły do szczytu. Grymas nowowybranego nie był bowiem wcale grymasem, lecz zwykłym wyrazem jego twarzy.

Albo raczej postać jego była cała jednym grymasem. Wielka głowa najeżona ryżymi włosami, na miejscu pleców potężny garb; golenie i łydki tak dziwnie poskręcane, że się z sobą mogły stykać tylko kolanami; widziane zaś z przodu wyglądały jak dwie pary sierpów rogato z sobą powiązanych; stopy szerokie, ręce potworne, a przy całym kalectwie jakaś szczególna zamaszystość i zręczność. Taki był królik, którego trefnisie powołali na tron.

Rzekłbyś olbrzym potrząskany i niezręcznie sklecony na nowo.

— To Quasimodo! — rozległy się krzyki. — Dzwonnik katedralny! Quasimodo, garbus notre-damski! Quasimodo jednooki! Quasimodo koślawy! Brawo! Wybornie! Brawo! Widzimy, że jeżeli czego, to przydomków biedakowi nie brakło.

— Na bok, niewiasty zamężne! — krzyczeli żaki.

— Lub które nimi być pragną! — podchwycił Jan Frollo.

Kobiety istotnie zakrywały sobie twarze.

— Ach, obrzydliwa mała! — wołały niektóre.

— Nie mniej złośliwa jak brzydka! — dodawały inne.

— To szatan! — mówiła jedna.

— Ja mieszkam koło Panny Marii — opowiadała druga. — W nocy słyszę jak to brzydactwo po dachach się grzebie.

— Z kotami.

— Ciągłe łązi po naszych ściekach.

— A nam paskudztwa rozmaite przez kominy ciska.

— Któregoś wieczora monstrum to przyszło zerknąć do mego okna. Myślałam zrazu, że to jakiś psotnik mężczyzna. Złęklam się okropnie!

— Przysięgłabym, że ta ropucha chodzi na wieczornice wieźm. Pewnego razu zostawił miotłę na mojej przyźbie.

— Ach, obrzydliwe stworzenie!

— O, szkaradzieństwo!

— Tfu!

Mężczyźni przeciwnie, byli zachwyceni i sypali oklaskami.

Quasimodo, przedmiot powszechnego zaciekawienia, stał drzwi kaplicy chmurny i poważny. Pozwalał się podziwiać.

Jakiś żak podbiegł i parsknął mu śmiechem w twarz, lecz zanadto się zbliżył.

Quasimodo wziął go za pas i rzucił w tłum nie rzekłszy ani słowa.

Mistrz Coppenole zachwycony zbliżył się do niego.

— A bodaj cię! Klnę się na wszystko, że doskonalszej brzydoty w życiu swym nie widziałem. Nie ma co! W Paryżu, w Gandawie czy w Rzymie słusznie ci się korona błazeńska należy.

To mówiąc położył mu rękę na ramieniu. Quasimodo się nie poruszył. Coppenole prawił dalej:



— Jesteś zuch co się zowie i, dalipan, że mam chęć wypić z tobą butelczynę i jak przystoi zakąsić, bodajby to mnie kosztować miało okrągły tuzin nowych dydek królewskich... Jak ci się zdaje, hę?

Quasimodo nic nie odrzekł.

— Cóż to, u licha! Czyżeś głuchy? — wołał pończosznik. Garbus był istotnie głuchy. Coppenole jednak zaczynał go widocznie nudzić, zwrócił się bowiem nagle ku Flamandczykowi tak przeraźliwie zgrzytnął zębami, że olbrzym gandawski cofnął się jak buldog przed kotem.

Staruszka jakaś wytłumaczyła mistrzowi Coppenole, że Quasimodo jest głuchy.

— I głuchy na dodatek! — zawołał pończosznik śmiejąc się na całe gardło. — Ależ u licha, to król nad króle!

— Aha, poznaję go — zawołał Jan Frollo, który zlazł nareszcie ze swego kapitelu, by się z bliska przyjrzeć nowemu panu hałastry. — Poznaję go: jest to dzwonnik mojego brata archidiakona. Dzień dobry, Quasimodo!

— Mówi gdy chce — odrzekła staruszka — ogłuchł od ustawicznego dzwonienia. Niemy nie jest.

— To wada — zauważył Jan Frollo.

— Jest i druga — dodał ktoś z tłumu — ma o jedno oko za wiele.

— A nie, przepraszam — odparł Frollo. — Jednooki bardziej jest ograniczony niż ślepy. Wie czego mu nie dostaje.

Tymczasem kilku żaków odnalazło w szafach koronę papierową i ornat dla nowoobranego króla. Quasimodo dał się w to ubrać z pewnego rodzaju królewską powolnością i dumą. Wsadzono go następnie na nosze upstrzone cackami, niby na stolec królewski. Dwunastu z bractwa błaznów porwało go z całym tym aparatem na barki. Quasimodo ani mruknął; szczególni tylko radość, wzgardliwa a gorzka, rozlała się po całej jego twarzy w chwili, gdy ujrzał u swych nóg głowy mężczyzn urodziwych, tęgich, zdrowych. Po czym wyjąc i skacząc gromada oberwańców ruszyła, aby obejść najprzód wedle zwyczaju wewnętrzne galerie pałacu sprawiedliwości, a następnie wyjść na ulice i place miejskie.

Z zadowoleniem stwierdzamy tym razem, że podczas całej opisanej powyżej sceny Gringoire ze swą sztuką nie ustąpi Zachęceni przez autora aktorzy nie przestali wygłaszać jego dialogu, a on nie przestał go słuchać. Nie dając za wygraną stanowiąc wytrwale prowadzić rzecz aż do końca.

Promyk nadziei ożywił się jeszcze, kiedy poeta ujrzał, że Quasimodo, Coppenole wraz z hałaśliwą czeredą króla błaznów udali się ku wyjściu. Tłum rzucił się w ślad za pochodem.

— Chwała Bogu — rzekł Gringoire.

Na nieszczęście, na sali zrobiło się pusto jak wymiótł. Mówiąc bez przesady, zostało jeszcze kilku widzów.

— A no, to i wszystko co trzeba — pomyślał sobie Gringoire — by dialog mój z honorem dociągnąć do końca. Zgromadzenie wprawdzie nieliczne, lecz jest to publiczność wyborowa, śmietanka literacka najoczywiściej.

W tej chwili właśnie miała się zacząć piękna symfonia na cześć Panny Marii. Ale i symfonii zabrakło. Gringoire spostrzegł, że przekłeta kawalkada i muzykę za sobą pociągnęła.

— Proszę na to nie zważać — rzekł do aktorów.

Nagle rozległy się głosy żaków w oknach. — Bywajcie co tchu! Esmeralda na placu! Na okrzyk malców i te nawet resztki, które się po kątach sali zatrzymały, rzuciły się z pośpiechem do okien. — Esmeralda! Esmeralda!

Zarazem też rozległy się na placu grzmoty oklasków.

— Esmeralda! — zawołał Gringoire załamując ręce. — A niech mnie piorun trzaśnie, jeśli rozumiem, co by to znaczyć miało. Ach, Boże! mój Boże!

Zwrócił się ku scenie i ujrzał, że przedstawienie znów utknęło. Był to właśnie moment, kiedy Jupiter z gromami zjawić się miał na scenie. Otóż Jupiter stał u podnóża teatralnej budki.

— Michale Giborne! — krzyknął poeta ze złością. — Co robisz najlepszego! A twoja rola? Leżże!

— To ławo powiedzieć — odparł Jupiter. — Jakiś żak tylko co zabrał drabinę.

— Szelma — mruknął Gringoire. — Po cóż on to zrobił?

— Po to, by popatrzeć na Esmeraldę! — odpowiedział Jupiter.

Był to ostatni cios.

— Pal was diabli! — powiedział Gringoire komediantom. — Zapłaceni będziecie, jak mnie zapłacą.

Dopiero wtedy zabrał się do odwrotu, z głową opuszczoną, ale ostatni, jak wódz, który się dzielnie trzymał usque ad finem.

Schodząc powoli po stromych krużgankach pałacu mruczał:

— Ani słowa, stado osłów i urwisów ci Paryżanie; zbierają się na misterium i nie słuchają go! Zajmowali się wszystkim, o czymkolwiek byś pomyślał Clopinem Trouillefou, kardynałem, Copenolem, Quasimodem, czortem rogatym, a sztuką, a dialogiem, a Najświętszą Panną Marią ani trochę. O, dałbym ja wam! Z tym wszystkim powtarzam, niech mnie diabli żywcem porwą, jeżeli wiem, co oni chcieli powiedzieć przez to: Esmeralda!

## **ROZDZIAŁ II**

### **PLAC DE GREVE**

W styczniu noc wcześniej zapada. Ściemniło się już, gdy Gringoire opuścił Pałac. Mrok zapadłego wieczora odpowiadał nastrojowi poety, który pragnął czym prędzej usunąć się w odludną i cichą uliczkę, by móc swobodnie zatopić się w myślach. Do mieszkania, które zajmował przy ulicy Grenier-sur-l'Eau, nie śmiał już zajrzeć po tak jawnym upadku swej próby teatralnej. Liczył na wynagrodzenie, jakie miał otrzymać za swoje misterium od marszałka pałacowego; teraz nie ma czym zapłacić za sześć miesięcy komornego, to jest dwunastu soldów paryskich — sumy dwanaście razy większej od tego, co na tym

nędznym świecie posiadał, włączając w to swe spodnie, koszulę i kaszkiecik. Tedy rozmyślał, gdzieby znaleźć jakieś legowisko na noc, gdy nagle ujrzał czeredę króla błaznów wysuwającą się z Pałacu i zmierzającą w poprzek dziedzińca ze światłem pochodni i kapelą wprost ku niemu, Gringoire'owi. Skoczył co tchu w przeciwną stronę. Zgryzionemu niepowodzeniem wszystko, co przypominało niedawną uroczystość, rozjątrzało niezagojoną ranę.

Chciał zawrócić na most Świętego Michała: dzieciaki biegały po nim w jedną i drugą stronę z ognistymi lancami i raketami. Rozżalony Gringoire skręcił do mostu Zmiany. Przed domami u wstępu na most wystawiono trzy wielkie transparenty przedstawiające króla, Delfina i Małgorzatę Flandryjską. Wszystko to było oświetlone pochodniami.

— Szczęśliwy malarz Jehan Fourbeault! — rzekł Gringoire z głębokim westchnieniem i odwrócił się tyłem do transparentów.

Miał przed sobą uliczkę. Wydała mu się tak ciemna i opuszczona, że tu spodziewał się nareszcie znaleźć osłonę przed odgłosami i odblaskami uroczystości. Zagłębił się w nią. Po kilku minutach zawadził nogą o jakąś przeszkodę, zachwiał się i upadł jak długi. Była to wiązanka świąteczna, złożona z rana przez rependentów i aplikantów palestranckich u drzwi jednego z marszałków trybunału na cześć i pamiątkę uroczystego dnia. Gringoire zniósł heroicznie tę nową przygodę, podniósł się i dopadł do brzegu. Znalazł się na zachodnim cyplu Starego Miasta i jał przypatrywać się wysepce Passeur-aux-vaches. Wysepka przedstawiła mu się w cieniu jako ciemna masa lądu, położona z drugiej strony wody i wodą tą od niego odgradzona. Przy blasku światełka na wysepce można było odróżnić rodzaj budy w kształcie ula, w której pastuszkowie bydła chronili się na noc.

— Szczęśliwy pastuszkow! — pomyślał Gringoire. — Nie śni ci się chwała i nie tworzysz dialogów! A ja, poeta wygwizdany i niezrozumiany, trzęsę się z zimna, nie mam na zapłacenie dwunastu soldów długu, a moje podeszwy są już tak cienkie, że mogłyby służyć za szyby do latarni.

Z tego uniesienia obudziły go wybuchy, które niespodzianie huknęły z szopki. Była to oczywiście sprawka jakiegoś pastuszka, próbującego ku własnej uciechu ogni sztucznych.

Gringoire drgnął całym ciałem.

— Przeklęte święto! — zawołał. — Czyż wszędzie będzie mnie prześladowało! Mój Boże, nawet tu, u tych pastuchów!

Spojrzał na Sekwanę zdjęty okropną pokusą.

— O! — powiedział — jakżebym chętnie skoczył do wody, gdyby woda była trochę mniej chłodna.

Wtedy to powziął rozpaczliwe postanowienie: ponieważ nie podobna mu było odgradzić się ani od króla błaznów, ani od transparentów Jehana Fourbeault, ani od wiązanek świątecznych, ani od pochodni, ani od pukawek, zamierzył przeto pójść śmiało na spotkanie złowrogich losów i wejść w samo serce zabaw ludowych, to znaczy udać się na plac de Greve.

— Znajdę tam może — rozważał w duchu — choć jedną główkę, przy której się rozgrzeję.

Z dawnego placu de Greve pozostał dziś ledwie dostrzegalny ślad. Siadem tym jest śliczna wieżyczka zajmująca północny róg placu. Ale i ona pokryta już warstwą tynku, zasłaniającego wygięcia jej rzeźb, zniknie być może wkrótce.

Osoby, które przechodząc przez plac de Greve nie mogą równie jak autor powstrzymać się od obdarzenia spojrzeniem współczucia i litości tej biednej wieżyczki, łatwo potrafią odtworzyć w myśli zabudowania, do których ona należała, i wyobrazić sobie stary plac gotycki z piętnastego wieku w jego pierwotnym wyglądzie.

Był to, jak i dzisiaj, trapez nieforemny, otoczony z jednej strony nadbrzeżem, a z trzech innych szeregiem domów wysokich, wąskich i ciemnych. We dnie można było podziwiać różnorodność tych gmachów, zdobnych w rzeźby drewniane lub kamienne i już wówczas przedstawiających wykończone wzory rozmaitych stylów architektonicznych.

Na wschodniej stronie placu wznosiła się ciężka i mieszana budowla, złożona z trzech części. Zwano ją trzema imionami tłumaczącymi jej dzieje, przeznaczenie i architekturę: Domem Delfina, ponieważ mieszkał tu Karol V, Delfin; Targiem Miejskim, gdyż służyła za ratusz i giełdę; Domem pod Słupami (Domus ad piloria), bowiem trzy jej piętra wspierały się na grubych, potężnych słupach. Miasto znajdowało tu wszystko, co jest potrzebne dla tak znacznego grodu jak Paryż: kaplicę do składania modłów Najwyższemu, salę audiencjonalną dla odprawy w razie potrzeby posłów królewskich, oraz arsenał pełen Wojennych narzędzi.

Greve posiadał wtedy wygląd ponury, który i po dziś dzień zachował zarówno w wyobrażeniach z nim związanych, jak też w posępnym ratuszu Dominika Bocadora, wzniesionym na miejscu dawnego Domus ad piloria. Powiedzmy sobie również że szubienica i pręgierz czyli „sprawiedliwość i drabinka”, jak je wówczas nazywano, ustawione obok siebie na samym środku placu, powodowały, że ludzie odwracali głowy przechodząc koło tego miejsca, gdzie tylu nieszczęsnych oddało życie.

Na plac de Greve Gringoire przybył zziębnięty do szpiku kości. Nie dziw tedy, że czym prędzej podążył ku ogniom iluminacyjnym, radośnie płonącym pośrodku, lecz tłum otaczał ognie dokoła.

— Przekłęci Paryżanie! — rzekł Gringoire do siebie — oto mi zasłaniają ogień. A wszak tak bardzo potrzebuję cieplejszego kątku; buty mi przeciekają.

Rozglądając się spostrzegł nasz poeta, że na szerokiej przestrzeni między tłumem a ogniem tańczyło jakieś młode dziewczę.

Była to brunetka, lecz domyślał się, że płeć jej musiała mieć za dnia śliczny złocisty odblask, którym się słusznie chlubią Andaluzyjki i Rzymianki. Jej małe stopy również chyba z Andaluzji ród wiodły, gdyż we wdzięcznych bucikach było jej zarazem i za ciasno i za swobodnie. Tańczyła na starym kobiercu perskim.

Wśród wielu widzów poeta zwrócił uwagę na mężczyznę o surowej, chmurnej twarzy. Człowiek ten mógł mieć najwyżej lat trzydzieści pięć, a był już łysy; jego szerokie i wysokie czoło zaczynało się rysować zmarszczkami. Z oczu natomiast biła jeszcze młodość.

Młoda dziewczyna zdyszana zatrzymała się i zawołała:

— Dżali!

Gringoire ujrzał nadbiegającą kózkę, białą, zwinną, z różkami i kopytkami złożonymi i ze złożonym naszyjnikiem.

— Dżali — rzekła dziewczyna — na ciebie kolej.

I siadłszy wysunęła do kozy swój bębenek.

— Dżali — mówiła — powiedz nam, jaki mamy miesiąc.

Koza podjęła przednią łapkę i uderzyła raz jeden w bębenek. I w istocie był to pierwszy miesiąc w roku. Tłum zaczął bić oklaski.

— Dżali — spytało znów dziewczę, obracając bębenek na drugą stronę — któryż to dziś dzień miesiąca?

lizali podjęła złożoną łapkę i odliczyła sześć uderzeń.

— Dżali — pytała z kolei Cyganka odwracając bębenek — któraż jest teraz godzina?

Dżali odpowiedziała siedmiu uderzeniami. A w tej chwili z Domus ad piloria zegar wydzwonił siódmą godzinę. Lud był zachwycony.

— Są w tym sprawki nieczystego ducha — odezwał się głos w tłumie. Był to głos łysego mężczyzny, który nie spuszczał wzroku z Cyganki.

Ta drgnęła i obejrzała się, ale oklaski zagłuszyły głos mężczyzny.

— Dżali — spytało dziewczę ośmielone takim powodzeniem — pokaż jak peroruje mistrz Jakub Charmoluc, prokurator przy trybunale kościelnym.

Koza przysiadłszy na tylnych łapkach poczęła beczeć i wywijać przednimi kopytkami.

Rozległy się oklaski.

— Świętokradztwo! Profanacja! — odezwał się powtórnie głos mężczyzny.

Cyganka raz jeszcze obejrzała się.

— Ach! — rzekła — to ten zły człowiek!

Po czym skrzywiła się lekko, okręciła się na pięcie i zabrała się do zbierania datków w swój bębenek.

Gringoire skorzystał z zamieszania i umknął. Wołania dzieciaków przypomniały mu, że i on jeszcze nie wieczerzał. Pobiegł więc ku zastawionym stolom. Ale mali hultaje byli dzielniejsi od niego, bowiem gdy dopadł stołu, było już po wszystkim. Stoły znalazł próżne. Nie jest rzeczą przyjemną kłaść się do łóżka bez wieczerzy; ale jest rzeczą jeszcze mniej wesołą nie mieć nic do zjedzenia i nie wiedzieć, gdzie się na noc podziąć. W takim zaś położeniu znajdował się Gringoire. Ani chleba, ani noclegu.

Uwagę tłumów odwrócił nadciągający właśnie orszak króla błaznów. Pochód uporządkował się po drodze i pomnożył całym zastępem znajdującego się wówczas w Paryżu hultajstwa.

Ale cóż to?... W chwili gdy Quasimodo na noszach mijał Domus ad piloria, jakiś człowiek rzucił się nań z tłumu i z wyrazem najwyższego oburzenia porwał mu z rąk berło, najwyższą oznakę jego błazeńskiej mości.

Śmiałkiem tym był człowiek o wytłuszczonej twarzy. Miał on na sobie ubranie duchowne. W chwili, gdy występował z tłumu, Gringoire poznał go.

— Patrzcie no! — zawołał z okrzykiem zdziwienia. — Toż to mój mistrz, dominus Klaudiusz Frollo, archidiakon! Czegóż by on chciał u licha od tego potwora. Zginie! W kawałki go ta bestia rozszarpie!

Wrzask przestradchu podniósł się w tłumie. Okropny Quasimodo skoczył z królewskiego stolca z taką wściekłością, że kobiety odwróciły twarze, by nie widzieć niechybnej a strasznej zguby archidiakona.

Jednym skokiem potwór znalazł się przy kapłanie, spojrzął nań i padł na kolana.

Ksiądz zerwał z niego koronę, zmiął i potargał kapę błazeńską.

Quasimodo pozostał na kolanach z pochyloną głową, ze złożonymi jak do modlitwy rękami.

Wreszcie archidiakon potrząsnawszy Quasimoda za ramię dał mu znak, by wstał i szedł za nim.

Quasimodo się podniósł.

Kapłan skinął nań i ruszył w milczeniu.

Quasimodo udał się za nim, roztrzając motłoch.

— Wspaniale! — rzekł Gringoire — lecz gdzieby tu u diabła coś zjeść?

### **ROZDZIAŁ III**

#### **SKUTKI WAŁĘSANIA SIĘ PO ULICACH**

Gringoire na chybił trafił pośpieszył za Cyganką. Dziewczę ze swoją kózką weszło na ulicę Stalową, wszedł i on na Stalową.

— Czemużby nie? — powiedział sobie.

Szedł zamyślony za młodą dziewczyną, która przyśpieszała kroku w miarę jak mieszkańcy znikali z ulic i zamykały się gospody.

Ulice stawały się coraz ciemniejsze i cichsze. Wieczorny okrzyk „gaście ognie, gospodarze!” przebrzmiał od dawna i tylko w długich odstępach czasu spotykało się gdzieś spóźnionego przechodnia lub światelko w oknie. Gringoire dążąc ślad w ślad za Cyganką, zabrnął w matnię uliczek, rynków i zaułków.

Zwrócił już na siebie uwagę młodej dziewczyny; Cyganka oglądała się nań z niepokojem; zatrzymawszy się nawet raz, obrzuciła go surowym wzrokiem, po czym znikła mu z oczu za rogiem.

Po chwili usłyszał przejmujący krzyk.

Przyśpieszył kroku.

Wypadłszy zza rogu ujrzał Cygankę szamocącą się z dwoma mężczyznami.

— Na pomoc! Na pomoc! — wrzasnął Gringoire.

Jeden z napastników trzymających dziewczynę zwrócił się ku niemu. Był to straszliwy Quasimodo.

Gringoire nie cofnął się.

Quasimodo zbliżył się do niego, jednym machnięciem ręki na odlew cisnął go o cztery kroki i szybko ukrył się w cieniach nocy, unosząc ze sobą młodą dziewczynę.

— Ratunku! — wołała nieszczęśliwa Cyganka.

— Ani kroku dalej! — rozległ się nagle piorunujący głos jeźdźca wyskakującego z sąsiedniego placu. — Ani kroku dalej!

Był to rotmistrz łuczników poczty królewskiego.

Porwał on Cygankę z rąk osłupiałego Quasimoda i umieścił w poprzek swego siodła. Gdy straszny garbus ochłonawszy z pierwszego wrażenia rzucił się nań, zjawilo się kilkunastu łuczników, galopujących w ślad za dowódcą.

Quasimodo został otoczony, schwytany i związany. Na próżno ryczał, pieniał się i kąsał. Towarzysz jego znikł w czasie walki.

Cyganka siadła z wdziękiem na siodle i położyła obie ręce na ramionach młodziana.

— Jak się nazywasz, mości rycerzu?

— Kapitan Phoebus z Chateaupers do usług, moja panienczko — odpowiedział młody wojak prostując się.

— Dziękuję panu! — dodało dziewczę.

I podczas, gdy rotmistrz Phoebus podkręcał węża, ona lekko ześliznęła się z konia i pierzchła.

Gringoire odurzony ciosem i upadkiem leżał na bruku odzyskując zwolna przytomność. Wreszcie wstał.

Nie zdając sobie sprawy dokąd pędzi, biegł jakiś czas, objając się o węgły domów i przeskakując przez rynsztoki.

Na końcu długiej, błotnistej uliczki ujrzał jakieś niewyraźne postacie, zmierzające w kierunku migocącego w głębi światelka.

Nic tak nie sprzyja odwadze jak pusty trzos i próżny żołądek. Gringoire ruszył więc śmiało w tamtym kierunku i niebawem dostrzegł, że jedną z postaci był beznogi, pełzający przy pomocy rąk nędzarz.

Gdy zrównał się z nieszczęsnym, posłyszał żalony głos:

— La buona mancia, signor! La buona mancia!

— Niech cię diabeł porwie, jeśli rozumiem o co ci chodzi — pomyślał Gringoire i udał się dalej.

Trafił na drugie monstrum. Był to paralytyk, kulawy i bezręki zarazem. Zbiór jego kijów i kul, którymi się podpierał, czynił wrażenie posuwającego się rusztowania murarskiego. ów żyjący trójnóg pozdrowił go przy spotkaniu, ale w ten sposób, że mu pod sam podbródek podsunął swą czapkę i prawie do ucha wrzasnął:

— Senor caballero, para comprar un pedaso de pan.

— Zdaje się — powiedział Gringoire — że język to strasznie twardy... Szczęśliwszy jesteś, panie bracie, ode mnie, jeśli go rozumiesz.

Po raz trzeci coś mu zagroziło drogę. Był to człowieczek drobny, ślepy, mizerny, wywijający kijem naokoło siebie i prowadzony przez psa. Przy spotkaniu się z Gringoirem wyjąkał on przez nos z akcentem węgierskim:

— Facitote caritatem.

— Ach przecież! — rzekł poeta — ten dopiero po chrześcijańsku przynajmniej zagadał. Mam dziś chyba minę wielce miłosierną, skoro mnie tak błagają o jałmużnę.

Zwracając się zaś do ślepego:

— Mój przyjacielu — rzekł — sprzedałem zeszłego tygodnia ostatnią koszulę; czyli mówiąc jedynie zrozumiałym dla ciebie językiem Cycerona: Vendidi hebdomade nuper transita meara ultimam koszulam.

Co rzekłszy odwrócił się od kaleki. Ale ślepy jął biec za nim a tuż zaraz, ze swej strony paralityk bez nogi, pobrękując hałaśliwie żebraczymi miseczkami i łomocąc kulami po kamieniach. Po czym wszyscy trzej:

— Caritatem! — jęczał ślepy.

— La buona mancia! — wtórował mu paralityk.

— Un pedazo de pan! — wołał trzeci.

Gringoire zasłonił sobie uszy.

— O wieżo Babel! Począł biec.

W miarę jak się zagłębiał w uliczkę, mnożyli się dokoła chromi, ślepcy, paralitycy, to znowu za tymi beznodzy, garbusy, trędowaci, kalecy z krwawiącymi ranami.

Pośrodku tej czeredy Gringoire szedł nie wiedząc, czym się to wszystko skończy.

Przyszło mu na myśl cofnąć się. Ale już było za późno.

Dotarł nareszcie do końca ulicy. Wychodziła ona na plac, na którym tysiące rozproszonych świateł kołysało się w mgłach nocy. Gringoire rzucił się przed siebie w nadziei, że uwolni się od trzech widm, które nie odstępowały go.

— Onde vas hombre — krzyknął wówczas paralityk ciskając swe kule na ziemię i pędząc za poetą.

— Gdzież jestem? — spytał Gringoire struchlały.

— Na Dziedzińcu Cudów — odrzekło czwarte widmo, łączące się z trzema poprzednimi.

— Na moją duszę! — zaczął Gringoire. — Widzę ślepych, którzy patrzą i kulawych, którzy skaczą. Lecz gdzież jest cudotwórca?

Odpowiedziano mu złowrogim wybuchem śmiechu.

Biedny poeta powiódł wzrokiem dokoła. Był to w istocie okropny Dziedziniec Cudów, na którym żaden przyzwoity człowiek nie pokazał się nigdy o tej porze; koło zaczarowane, w którym strażnicy grodzcy lub urzędnicy kasztelańscy przypadkowo zabłąkani, ginęli jak okruszynki wśród zgłodniałych zwierząt; osada złodziejów i rabusiów, ohydny wrzód na obliczu Paryża; kanał, z którego wylewał się każdego poranka i dokąd się każdego wieczora, chronił stęchły strumień występków, zepsucia, żebractwa i włóczęgostwa, zwykle zalewający ulice stolic; ul potworny, do którego wieczorem z łupami zlatywały szerszenie porządku społecznego, szpital obłudny, w którym Cygan, mnich przeniewierca, hultaje i łotry wszystkich narodów, wszystkich wyznań, mahometanie, żydzi, chrześcijanie, bałwochwalcy pokryci fałszywymi ranami, żebracy za dnia, przemieniali się w nocy na zbójów.

Gringoire usiłował odzyskać przytomność umysłu, by sobie przypomnieć, czy nie był to przypadkiem dzień sobotni. Ale wysiłek okazał się daremny.

Nagle rozległy się okrzyki:

— Prowadźmy go do króla!

— Do króla! Do króla! — powtarzano wokół.

Porwano go. O to, rzekłbyś, chodziło tylko, kto pierwszy za kark go złapie. Trzej żebracy nie chcieli przecież nikomu ustąpić zdobyczy; wyrwali ją drugim skowycząc:

— On nasz! On do nas należy! Doprowadzono go wreszcie do króla. Odsłonił się przed nim straszny widok:



Wokoło wielkiego ognia, gorejącego na szerokiej okrągłej płycie, były rozstawione wielkie stoły. Na stołach pobłyskiwały dzbany ociekające winem, a przy dzbanach tłoczyli się biesiadnicy.

Gruby śmiech buchał zewsząd. Każdy z uczujących kłął, dowcipkował. Przepijano do siebie, powstawały kłótnie.

Beczka stała w pobliżu ognia; siedział na niej żebrak. Był to król na swym tronie.

Trzej trzymający Gringoire'a przyprowadzili go przed ową beczkę i wszystko na chwilę umilkło.

Gringoire nie śmiał odetchnąć ani podnieść oczu.

— Hombre, quita tu sombrero — rzekł jeden z tych, którzy go trzymali, i zanim poeta dorozumiał się znaczenia tych słów, ściągnął mu czapkę. Nędzny kaszkieciak zaprawdę, lecz dobry jeszcze od słońca i od deszczu. Gringoire westchnął.

A tu naraz z wyżyn swojego antałka król zagadnął:

— Cóż to za łajdaczyzna?

Gringoire drgnął. Usłyszał ten sam głos, który z rana zadał pierwszy cios jego dialogowi, wywodząc przez nos pośród zgromadzenia. — Za zdrowie najmilej! Co łaska! —

Podniósł głowę. W rzeczy samej był to Clopin Trouillefou.

Clopin Trouillefou, obwieszony znakami żebraczej królewskości, ani jednego łachmana więcej, ani jednego mniej nie miał na sobie. Rana znikła mu już z łokcia. Trzymał w ręku jeden z owych kańczugów, którymi się posługiwali pachołkowie.

Nie wiadomo dlaczego Gringoire nabrał otuchy poznawszy w królu Cudownego Dziedzińca przeklętego żebraka z wielkiej sali.

— Mistrzu — bełkotał. — Jaśnie wielmożny... Najjaśniejszy ... jakżeż bo mam tytułować?

— spytał nareszcie.

— Wielmożny, najjaśniejszy diable, czarcie, nazywaj mnie jak chcesz, ale śpiesz się. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

— Na swoją obronę — pomyślał Gringoire — to mi się jakoś nie podoba.

I zaczął jąkając się:

— Ja jestem ten, który tego ranka...

— Do kroćset diablích pazurów! — przerwał Clopin — jak się nazywasz, łajdaku, i ani słówka więcej Stoisz wobec trzech potężnych władców: mnie, Clopina Trouillefou!

Mathiasa Hungadi Spicoli, księcia Cyganił i Bohemii, którym jest ów stary mąż ze ścierką wokół głowy, i Wilhelma Rousseau, cesarza Galilei, tego oto tłuściocha. Jesteśmy twoimi sędziami. Wszedłeś do naszego królestwa, pogwałciłeś przywileje naszego grodu.

Musisz być ukarany albo dowieść, że jesteś złodziejem, żebrakiem lub włóczęgą. Czy jesteś kimś w tym guście? Tłumacz się!

— Niestety! — odpowiedział Gringoire — nie mam tego zaszczytu. Jestem autorem...

— Wystarczy — przerwał Trouillefou nie pozwalając mu dokończyć. — Zaraz będziesz powieszony. Rzecz całkiem prosta! Jak wy traktujecie nas u was, tak my przyjmujemy was u siebie. Prawa, które wy stanowicie przeciwko hołocie, hołota stanowi na was.

Wasza w tym wina! Dalejże, przyjacielu! Podziel swe łachmanki pomiędzy te oto panienki. Każę cię powiesić dla ubawienia hultajstwa, a ty mu za to oddasz swą kieskę, aby miało czym zapić twe zdrowie.

— Dobrze mówi, na moją duszę! Clopin Trouillefou prawi jak z kazalnicy! — zawołał cesarz galilejski.

— Jaśnie oświeceni cesarowie i królowie — odezwał się Gringoire z zimną krwią (nie wiem bowiem jakim sposobem wróciło mu męstwo) — przebaczcie, ale to chyba żart co powiadacie. Nazywam się Piotr Gringoire, jestem poetą, którego dialog przedstawiano dzisiaj rana w wielkiej sali.— Aha! To ty, mistrzu! — rzekł Clopin. — Byłem tam, do kroćset kardynałów! Więc jakże, towarzyszu? Czy sądzisz, że dlatego nie masz być powieszony wieczorem, żeś nas znudził z rana?

— Nie utrzymam się na tym punkcie — pomyślał Gringoire. Spróbował tedy z innej beczki.

— Nie widzę — mówił — dlaczego poeci mieliby być wykluczeni z bractwa włóczęgów. Jeżeli chodzi o włóczęgę, był nim Ezop; jeżeli o żebraka, to macie Homera; jeżeli złodziej wam potrzebny, to niech Merkury za mną świadczy...

Przerwał mu Clopin:

— Uważam, bratku, że chcesz nam gęby zamalować tymi bzdurami. Bez tych zachodów, kochanie; nie taki mądry postronek jak ci się zdaje.

— Przepraszam jaśnie oświeconego króla — odparł Gringoire. — Sprawa to godna zastanowienia... Chwileczkę !... Ależ posłuchajcie ... Nie skażecie mnie przecież bez... Ale głos poety utonął we wrzaskach, które się dookoła niego podniosły.

Clopin Trouillefou zdawał się przecież naradzać chwilę z księciem Cyganii i cesarzem galilejskim, który był już całkowicie pijany. Następnie krzyknął ostro:

— Milczcież, do pioruna!

Po czym zwrócił się do poety:

— Słuchaj! Oto mam dla ciebie sposób wydobycia się na dziś kłopotu. Chcesz zostać jednym z naszych?

— Chcę, oczywiście! — odpowiedział Gringoire.

— Uznajesz się członkiem rzeszy wolno-obywatelskiej?

— Wolno-obywatelskiej, najzupełniej.

— Złodziejem?

— Złodziejem.

— W duszy?

— W duszy.

— Oświadczam ci wszakże — mówił król — że tym niemniej zostaniesz powieszony.

— Do licha — mruknął poeta.

— Z tym zastrzeżeniem — prawił Clopin niewzruszony — że powieszony będziesz później, z większą ceremonią, kosztem przesławnego miasta Paryża, na pięknej szubienicy kamiennej i przez ludzi porządnych. Zawsze to pociecha.

— Co do tego, to niby racja — zauważył Gringoire.

— Są inne jeszcze korzyści. Z tytułu wolnego obywatelstwa nie będziesz potrzebował płacić na ubogich, na oświetlenie ulic, na zmiataczów, do czego obowiązani są mieszkańcy paryscy.

— Amen — rzekł poeta. — Zgadzam się. Zostaję złodziejem, wolnym obywatelem, wszystkim czym chcecie; a co lepsze, mości królu, byłem wszystkim już z góry; filozofem

bowiem jestem z profesji; et omnia in philosophia, omnes in philosopho continentur, jak ci, panie, wiadomo.

Król zmarszczył brwi.

— Za kogo to mnie bierzesz, przyjacielu? — krzyknął gniewnie. — I w jakim to języku zaśpiewałeś nam w tej chwili? Nia! umiem po hebrajsku.

Gringoire starał się wtrącić parę słów przeproszenia w ten monolog.

— Racz mi przebaczyć, jaśnie mości oświecony! To nie po hebrajsku, to po łacinie.

— Włóczęgo — odezwał się Clopin do naszego poety — więc chcesz zostać złodziejem?

— Niewątpliwie — odrzekł poeta.

— Chcieć to jeszcze nie wszystko — rzekł wtedy Clopin. Aby być przyjętym do bractwa trzeba pierwaj dowieść, że się jest zdolnym do czegokolwiek; a w tym celu wypada przetrząsnąć i obmacać manekina.

— Przetrząsnę i obmacam kogo każecie — odparł Gringoire. Clopin skinął. Kilku włóczęgów przyniosło dwa drągi zakończone od spodu dwiema drewnianymi podstawkami.

U górnych końców drągów była umocowana belka poprzeczna w ten sposób, iż całość tworzyła przenośną szubienicę. Nic jej nie brakowało, nawet powroza, który się kołysał pod poprzeczną belką.

— Do czego oni zmierzają? — zapytał siebie Gringoire z Jękiem. Odgłos dzwonek położył koniec jego niepokojom; był to manekin, zawieszony przez hultajstwo na sznurku za szyję, gatunek straszdyła na wróble, ubrany czerwono i przybrany dzwonekami.

Dzwonki dźwięczały w miarę kołysania się sznurka.

Clopin wskazując na stary, kulejący stołek umieszczony pod szubienicą, rzekł do Gringoire'a:

— Wleż nań.

— Do miliona chorób — odparł Gringoire — kark sobie skrucę.

Ale wlaż na stołek.

— Teraz — mówił dalej król — okruc prawą nogę naokoło nogi lewej i wyprostuj się na palcach stopy lewej.

— Miłościwy panie — ozwał się Gringoire — czyliż ci koniecznie chodzi o to, bym sobie złamał którąkolwiek z moich kości?

Clopin podniósł głowę.

— Słuchaj przyjacielu, za wiele gadasz. Oto w dwóch słowach rzecz cała. Masz się wyprostować na palcach nogi lewej, jakem ci to powiedział; w ten sposób będziesz mógł dosięgnąć kieszeni manekina; przetrząśniesz ją, wyciągniesz z niej woreczek, który się tam znajduje; jeżeli wszystko to uczynisz tak, że ani jeden dzwonek się nie odezwie, wówczas i owszem: ogłosimy cię naszym kolegą. Zostanie nam tylko w takim wypadku tłuc cię w ciągu dni ośmiu.

— Do pioruna! — mruknął Gringoire. — A jeśli dzwoneczki zagrają?

— Wówczas zostaniesz powieszony. Czy rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem nic a nic — odrzekł Gringoire.

— Posłuchajże raz jeszcze. Trzeba ci się dobrać do kieszeni Manekina, trzeba z niej wyciągnąć kiesę; jeżeli podczas tej operacji choć jeden dzwonek brzęknie, pójdziesz na szubienicę. Czy to rozumiesz?

— No tak — odpowiedział Gringoire — to rozumiem. A dalej?

— Otóż jeżeli zdołasz wydostać kiesę w taki sposób, że ani jeden dzwonek głosu nie wyda, jesteś naszym i przez osiem dni kolejnych będziesz bity kołem. Teraz to już bez wątpienia rozumiesz.

— Nie, miłościwy panie, właśnie teraz to nic nie rozumiem Bo i jakąż moja wygrana? Obito w jednym wypadku, powieszony — w drugim.

— A godność łajdacka? — podchwycił Clopin — za nic-że masz sobie godność łajdacką? W twoim to własnym interesie tłuc cię będziemy, hartując na cięgi.

— Bóg zapłać — odparł poeta.

— Nuże, prędzej! — zawołał król tupnąwszy nogą w beczkę. — Bierz się do manekina i skończmy już, do kaduka. Ostrzegam cię po raz ostatni, że jeżeli posłyszę choć jeden dźwięk, to ty zajmiesz miejsce manekina.

Banda przyjęła oklaskami słowa dopina.

Widząc, że to nie przelewki, Gringoire postanowił spróbować szczęścia. Założył prawą nogę na lewą, wznosił się na palcach i wyciągnął rękę do góry. W chwili jednak gdy miał dotknąć manekina, nie wytrzymał; stojąc na jednej nodze zachwiał się; odruchowo szukał podpory w wisielcu, lecz straci równowagę i zwałił się na ziemię, ogłuszony brzękiem dzwonekóv manekina.

— Przekleństwo — zawołał padając.

Słyszał wszakże nad głową dzwonięcie, diabelski śmie i głos Trouillefou:

— Podnieście mi tego bałwana i co żywo na szubienicę! Gringoire wstał. Kukła była już odczepiona i wolne po nie;

miejsce czekało na poetę. Clopin podszedł do niego, założył mu sznurek na szyję i rzekł klepiąc ręką po ramieniu:

— Adieu, braciszku. Nie umkniesz już teraz!

Wyraz „łaski" zamarł na ustach Gringoire'a. Powiódł oczy ma dokoła, ale wszyscy się śmieli.

— Belleville de l'Etoile — rzekł król do hultaja występującego z tłumu — pójdz na belkę. Belleville de l'Etoile wgramolił się zwolna na belkę i po chwili Gringoire ujrzał go nad swą głową.

— A teraz — mówił Clopin Trouillefou — gdy klasnę w dłonie, ty, Andry-Rouge, obalisz stołek kolanem; ty, Franciszku Chante-Prune, uczepisz się nóg wisielca, a ty, Belleville, rzucisz mu się na kark, wszyscy zaś trzej razem... rozumiecie.

Dreszcz przebiegł po skórze Gringoire'a.

— Gotowi? — spytał Clopin Trouillefou trzech łotrów, czekających tylko na znak, by się rzucić na ofiarę.

Była to dla Gringoire'a chwila strasznego oczekiwania.

— Gotowi? — powtórzył Clopin i podniósł ręce do klaśnięcia.

Ale się jeszcze zatrzymał.

— Jedna chwila — rzekł — byłbym zapomniał... Jak chce zwyczaj, nie będziemy wieszali człowieka, dopóki się nie zapytamy, czy nie ma kobiety, która by go sobie chciała wziąć. To cygańskie prawo, jakkolwiek dziwne wydać by się mogło czytelnikowi, dziś jeszcze znajduje się w starym prawodawstwie angielskim. Zobacz Burington's Observations.

Gringoire odetchnął. Drugi raz już w ciągu pół godziny wracał do życia.

— Hej, wy tam! — ryknął Clopin ze swej beczki. — Hej baby, babska, czy nie ma między wami jakiej, co by tego nicponia chciała? Hej, Coletko Charonne! Elżbieto Trouvain! Szymonko Jodouyne! Maryśko Piedebou! Tonko Długa! Berardo Fanouel! Michalinko Geraille, Klodko Rongeoreille! Maciejowo Girorou! Hej, ty tam, Izabelko Thierrye! Chodźcie i spójrzcie! Jest chłopiec za darmo! Kto go chce?

W tych warunkach Gringoire nie był pociągający. Propozycja nie zrobiła na kobietach żadnego wrażenia. Nieszczęsny słyszał jak odpowiadały:

— Nie, nie! Wieszajcie go sobie. Rozweseli to nas wszystkich.

— Nie masz szczęścia, towarzyszu — rzekł Clopin. Po czym stanąwszy na beczce:

— Nikt go więc nie chce? — wołał naśladując ku wielkiemu zadowoleniu hałastry głos woźnego przy licytacjach. — Nikt nie da więcej? Raz, dwa, trzy.

Obracając się zaś ku szubienicy, ze znaczącym skinieniem głowy dodał:

— Skazany!

Belleville d'Etoile, Andry le Rouge i Franciszek Cname-Prune dobiegli do Gringoire'a.

## **ROZDZIAŁ IV**

### **ROZBITY DZBAN**

W tej chwili rozległ się okrzyk w tłumie:

— Esmeralda! Esmeralda!

Gringoire drgnął. Tłum się rozstał i dał przejście postaci uderzająco pięknej. Była to Cyganka.

Lekkim krokiem zbliżyła się do delikwenta. Śliczna jej Dżali biegła za nią. Gringoire był bardziej umarły niż żywy. Ona spoglądała nań chwilę w milczeniu.

— Czy zamierzacie powiesić tego człowieka? — spytała Clopina.

— Tak, siostrzyczko — odpowiedział król — wyjąwszy wypadek, jeśli byś chciała wziąć go sobie za męża.

Dziewczę wysunęło pogardliwie dolną wargę.

— Biorę go — powiedziała.

Tu Gringoire uwierzył, że od samego rana śnił tylko i że to był dalszy ciąg marzeń sennych.

Przeskok, acz niezmiernie miły, był w istocie nieco za gwałtowny.

Odwiązano poetę ze stryczka i sprowadzono ze stołka. Wstrząs był tak silny, że Gringoire musiał usiąść, żeby odzyskać w pełni przytomność.

Nie rzekłszy już ani słowa książę Cyganii przyniósł garnek gliniany. Piękna Cyganka podała go Gringoire'owi.

— Ciśnij to na ziemię — powiedziała. Garnek rozbił się na cztery kawałki.

Wtedy książę Cyganii położył dłonie na czołach oblubieńców i rzekł zwracając się najprzód do poety:

— Bracie, to twoja żona. A do Esmeraldy:

— Siostrze, to twój mąż. I dodał:

— Na cztery lata! Z Bogiem!

Niebawem poeta znalazł się w małej izbie dobrze ogrzanej. W perspektywie było wygodne łóżko i miła pogawędka sam na sam z ładną dziewczyną. Przygoda graniczyła z czarami.

Młoda dziewczyna zdawała się nie zwracać nań żadnej uwagi krzątając się po izbie.

Nareszcie usiadła przy stole i Gringoire mógł się jej dobrze przyjrzeć.

— Chciej mi łaskawie przebaczyć! — powiedział Gringoire. — Lecz z jakiego powodu wzięłaś mnie za męża?

— Czy należało pozwolić, by cię powieszono?

— Tak więc — zagadnął poeta rozczarowany. — Tak więc biorąc mnie nie miałaś nic innego na myśli?

Cyganka nie odpowiedziała. Zrobiła tylko pogardliwą minę i parsknęła śmiechem.

Na stole znalazł się żytny chleb, kawałek słoniny, parę jabłek pomarszczonych i konewka piwa zbożowego. Gringoire zabrał się z zapalem do jedzenia.

— A ty nie jesz, panno Esmeraldo? — zagadnął. Odpowiedziała przeczącym poruszeniem głowy.

— I jakżeż, powiedz mi, poradziłaś sobie, by się wyrwać z pazurów Quasimoda?

Pytanie to przejęło Cygankę dreszczem.

— Okropny garbus — zawołała zakrywając sobie twarz rękami.

— Okropny, w rzeczy samej — przyznał Gringoire. — Lecz jakim sposobem mogłaś mu się wydrzeć?

Esmeralda uśmiechnęła się, westchnęła, lecz znów nie odpowiedziała.

— A czy wiesz, z jakiego powodu garbus cię śledził.

— Nie, nie wiem.

— A dlaczego się nazywasz Esmeralda? — spytał poeta.

— Nie wiem.

— No, a przecież...

Cyganka wyjęła spod bluzki rodzaj medalionika, z którego rozchodził się silny zapach kamfory. Pokryty on był z wierzchu zielonym jedwabiem, a w środku zawierał grube zielonkawe szkiełko.

— Być może — powiedziała — że to z tego powodu. Gringoire zamierzał wziąć medalionik do rąk. Dziewczkę się usunęło.

— Nie wolno dotykać, to talizman. Ciekawość poety zaostrzała się coraz bardziej.

— Kto ci to dał?

Położyła palce na ustach i schowała talizmanik. Próbował innych pytań, lecz Cyganka nie odpowiadała.

— Co ma oznaczać imię Esmeralda?

— Nie wiem — odparła.

— Czy masz rodziców?

Dziewczyna zaczęła pośpiewywać na starą nutę:

*Ojciec mój jest ptakiem,  
Ptaszyną moja matka.  
Bez łodzi pędzą morskim szlakiem.  
Ptaszyną moja matka,  
Ojciec mój jest ptakiem.*

— To niezłe — rzekł Gringoire. — Kiedy przybyłaś do Francji

— Zeszłego roku.

— Człowiek ten, którego nazywacie księciem cygańskim, to zwierzchnik waszego plemienia?

— Tak.

— I on to właśnie ślub nam dawał — zauważył poeta. Cyganka skrzywiła się.

— Imię twoje nie jest mi nawet znane — powiedziała.

— Imię moje? Ależ, jeżeli chcesz i owszem: jestem Piotr Gringoire.

— Znam piękniejsze — odpowiedziała. — Złośliwa jesteś! — odparł poeta. — Lecz mniejsza o to! Wiedz przeto, panienko, że się nazywam Piotr Gringoire. Ojciec mój powieszony został przez Burgundczyków, matkę zakłuli Pikardyjczycy podczas oblężenia Paryża przed laty dwudziestu. W szóstym roku życia byłem już sierotą. Nie wiem już w jaki sposób przebrnąłem okres od lat sześciu do lat szesnastu. Tu przekupka owoców rzuciła mi śliwkę, ówdzie złapało się skórkę chleba; wieczorem wpadałem w ręce straży miejskiej, która mnie sadzała do więzienia i w ten sposób miałem wiązkę słomy pod głową. Wszystko to nie przeszkadzało mi rosnąć i chudnąć, jak widzisz. W szesnastym roku chciałem obrać jakiś zawód. Próbowałem wszystkiego po kolei. Wstąpiłem do wojska, lecz się okazało, że nie jestem dość bitny. Poszedłem do klasztoru, lecz jak na zakonnika za mało byłem pobożny; przy tym i pić nie mogę. Z rozpaczy zapisałem się tedy na chłopca ciesielskiego; lecz tu siły fizyczne mnie zawiodły. Daleko więcej skłonności czułem do bakalarstwa; nie umiałem wprawdzie czytać, ale to rzecz podrzędna. Po pewnym czasie spostrzegłem się, że mi we wszystkim czegoś brakło; widząc przeto, że mi się na nic zgoła nie zdał, zostałem poetą i układaczem rymów. Jest to profesja dostępna w każdym czasie i dla każdego, kto jest włóczęgą, a daleko więcej warta, niżli złodziejstwo, do którego mnie namawiało kilku młodych urwisów. Na szczęście pewnego pięknego poranka spotkałem Klaudiusza Frolo, wielbnego archidiakona od Panny Marii. Zaopiekował się mną i jemu to zawdzięczam, że dziś jestem w pełnym znaczeniu słowa piśmienny; że znam łacinę i że równie biegły jestem w scholastyce, poetyce, jak i w rytmice, tej mądrości nad mądrościami. To ja jestem twórcą misterium, które dziś przedstawiano z triumfem i przy wielkim tłumie ludności. Doznałem i innych sukcesów.

A teraz jestem na twe rozkazy, śliczna panienko, ja, i umysł mój, i moja nauka i pisma moje; a żyć z tobą gotów jestem jak brat z siostrą, jeśli to uznasz za dobre.

Umilkł czekając na odpowiedź Esmeraldy.

W tej chwili jeden z jej naramienników odwiązał się i spadł.

Gringoire schylił się żywo, by go podnieść, a gdy się wyprostował, nie znalazł już Cyganki. Posłyszał zgrzytnięcie rygla. Szczęk szedł od małych drzwiczek prowadzących do stacyjki sąsiedniej, zamykającej się od środka.

— Czy mi przynajmniej zostawiła łóżko! — rzekł do siebie poeta.

Obszedł celkę. Znalazł tylko długi, drewniany kufer i rozciągnął się na nim.

Było w tym małżeństwie przy rozbitym garnku coś naiwnego i nie bez wdzięku.

## ROZDZIAŁ V KLAUDIUSZ FROLLO

Na lat szesnaście przed okresem, w którym się rozgrywają wypadki tu opowiedziane, w poranek niedzieli przewodniej (Quasimodo) jakieś niemowlę zostało złożone po mszy w kościele katedralnym we wgłębieniu lewej ściany katedry. Było we zwyczaju kłaść w tej wnęce dzieci opuszczone na łaskę osób miłosiernych. Brał je stąd kto chciał.

Istota ludzka leżąca we wgłębieniu zdawała się budzić w wysokim stopniu ciekawość dość znacznej gromadki ludzi. Gromadka składała się przeważnie z kobiet. Były to prawie bez wyjątku staruszki.

Cztery z nich zwrócić na siebie mogły baczniejszą uwagę; ich ubiór w rodzaju sutanny domyślać się kazał sióstr z jakiegoś pobożnego bractwa. Nie wiem, dlaczegoby historia nie miała przekazać potomności imion tych skromnych i czcigodnych kobiet. Były to: Agnieszka la Hermę, Joanna la Tarme, Henrietta Gaultiere i Gauchera la Violette, wszystkie cztery wdowy, wszystkie cztery służebne kaplicy Stefana Haudry, które wyszły z domu za pozwoleniem swej przełożonej, dla wysłuchania kazania, stosownie do statutów Piotra d'Ailly.

Zresztą, jeżeli te cztery Stefanistki trzymały się tym razem przepisów Piotra d'Ailly, to gwałciły najwidoczniej reguły Mili chała de Brache i kardynała z Pizy, które im tak nieludzko nakazywały milczenie.

— A to co takiego, moja siostrze? — odezwała się Agnieszka la Hermę przypatrując się leżącej małej istocie, która się poruszała i piszczała.

— Nie znam się na dzieciach — mówiła Agnieszka. — Lecz grzechem jest chyba patrzeć na takie niemowlę.

— To nie jest dziecko, Agnieszko.

— To chybiona małpa — zauważyła Gauchera.

— To cud — dodała Henrietta la Gaultière.

— Ależ to prawdziwy potwór — podjęła Joanna.

— Wrzeszczy tak, że diakona by ogłuszył — mówiła Gauchera. — Milczże, krzykaczu!

— Pewna jestem przynajmniej — dodała Gaultiere — że się nikt o nie upomnieć nie zechce.

Po chwili nadszedł poważny i uczony Robert Mistricolle, protonotariusz królewski, z ogromnym mszałem pod jedną ręką, a z żoną — pod drugą.

— Podrzutek! — rzekł obejrzawszy niemowlę.

— Mości protonotariuszu — spytała Gauchera — jaki nam stawiasz prognostyk z tego podrzutka?



— Prognozyk największych nieszczęść — odpowiedział Mistricolle.  
— Ach, mój Boże, mój Boże! — zawołała jakaś kobieta z tłumu — już zeszłego lata była zaraza i Anglicy, jak powiadają, mają wylądować w Harefleu.  
— Moim zdaniem — powiedziała stanowczo Joanna de la Tarme — byłoby lepiej dla mieszczan paryskich, gdyby tego małego na wiązce drzew suchych położyli, niżeli tutaj.  
— Na porządnej wiązce w płomieniach — dodała jakaś kobieta.  
— Byłoby to daleko lepsze! — rzekł Mistricolle.

Rozumowaniu Stefanistek i słowom protonotariusza królewskiego przysłuchiwał się od pewnego czasu młody kapłan. Była to postać surowa, o szerokim czole i głębokim spojrzeniu. W milczeniu rozsunał ciżbę i przyjrzał się niemowlęciu.

— Biorę za swoje to dziecko — powiedział po chwili. Ukrył je pod sutanną i zabrał. Zgromadzeni patrzyli nań z osłupieniem. Ksiądz zniknął za podwojami, prowadzącymi wówczas z kościoła do klasztoru.

Gdy pierwsze zdziwienie minęło, Joanna de la Tarme rzekła na ucho do Gaultiere:  
— Mówiłam ci przecie, siostrze, że ten młody kleryk, Klaudiusz Frollo, jest czarnoksiężnikiem.

W rzeczy samej Klaudiusz Frollo nie był człowiekiem pospolitym.

Z pochodzenia należał on do tego stanu, który w języku ostatniego wieku zwano bądź wyższym mieszczaństwem, bądź drobną szlachtą. Rodzina jego odziedziczyła majątność lenną Tirechappe, zależną od biskupa paryskiego, a której dwadzieścia i jeden domów były w wieku trzynastym przedmiotem tylu sporów przed urzędem ziemskim. Jako posiadacz tego lenna Klaudiusz Frollo należał do rzędu stu czterdziestu i jednego panów, mających prawo do gruntów czynszowych Paryża i jego przedmieść.

Klaudiusz od dzieciństwa przeznaczony był przez rodziców do stanu duchownego. Dzieckiem jeszcze będąc zamknięty został przez ojca w kolegium Torchi we Wszechnicy. Tam wyrósł nad mszałem i słownikiem.

Było to zresztą dziecko smutne, poważne i myślące; uczyło się z zapalem i szybko; w czasie zabaw rekreacyjnych nie brało w nich udziału.

Pierwszym żakiem, jakiego ksiądz od św. Piotra de-Val przed rozpoczęciem lekcji prawa kanonicznego spostrzegł naprzeciw swej katedry w szkole Saint-Vendregesile, był zawsze Klaudiusz Frollo, skromnie przytulony do słupa.

Skończywszy teologię zabrał się do studiów prawnych.

Po strawieniu dekretów poszedł na medycynę i sztuki wyzwolone. Stał się biegły w leczeniu gorączek i potłuczeń, ran i puchlin. Jakub d'Espars uznałby go był za lekarza-fizyka, Ryszard Hellain za lekarza-chirurga.

W tym czasie nadzwyczaj gorące lato 1466 r. spowodowało straszną zarazę, która w samym tylko wicehrabstwie paryskim zmiotła czterdzieści tysięcy ludzi. Rozeszła się wieść po Wszechnicy, że ulica Tirechappe szczególnie została dotknięta klęską. Tam zaś znajdowało się lenno, na którym siedzieli rodzice Klaudiusza. Młodzieniec z trwogą pobiegł do rodzinnej chaty. Ale zanim jej próg przestąpił, już wiedział, że ojciec i matka nie żyli od wczoraj. Ocalał tylko mały braciszek w powijakach, który leżał w kołysce i płakał. Z niego się odtąd składać miała cała rodzina Klaudiusza. Młodzian wziął dziecię

na ręce i wyszedł głęboko zamyślony. Do tej pory żył jedynie nauką; zaczynał teraz żyć życiem prawdziwym.

Katastrofa ta była punktem przełomowym w życiu Klaudiusza. Przywiązał się gorąco do dziecka, do swego brata. Znajdował w tym uczuciu coś zarazem dziwnego i słodkiego, on, który dotąd kochał tylko książki.

Z całą siłą charakteru oddał się wychowaniu swojego małego Janka.

Klaudiusz oddał go do mamki.

Odtąd czując na sobie ciężar obowiązku począł brać życie z poważnej strony. Myśl o małym braciszku stała się dlań nie tylko rozrywką, lecz celem nauki. Postanowił poświęcić się całkiem przyszłości chłopca, za którą odpowiadał przed Bogiem. Bardziej niż kiedykolwiek polubił swój stan duchowny. Zasługi jego, nauka, stanowisko jako bezpośredniego lennika biskupstwa paryskiego, otwierały przed nim podwoje Kościoła. Za szczególną dyspensą Stolicy Apostolskiej w dwudziestym już roku życia został księdzem i jako najmłodszy z kapłanów katedry Notre-Dame otrzymał służbę przy ołtarzu zwanym altare pigrorum (ołtarzem leniuchów) z powodu późnej mszy przy nim odprawianej.

Kiedy ostatniej niedzieli śpieszył na służbę przy ołtarzu leniuchów, znajdującym się tuż obok drzwi chóru wychodzącego na nawę, na prawo, w pobliżu obrazu Najświętszej Panny, spostrzegł gromadę kobiet.

Zbliżył się wtedy do nieszczęśliwej malej istoty tak zagrożonej. Niebezpieczeństwo, w jakim się biedactwo znajdowało, jego kalectwo, jego opuszczenie, myśl o osieroconym bracie, przywidzenie, które się naraz uczepiło wyobraźni Klaudiusza, że i biedny, mały Janek mógłby również być nędznie rzucony na deskę podrzutków, wszystko to razem przemówiło do serca młodego kapłana. Litość niewypowiedziana ścisnęła mu serce i zabrał z sobą niemowlę. Znalazł je w istocie nad wyraz bezkształtnym. Niemowlę miało brodawkę na lewym oku, głowę wciśniętą w ramiona, grzbiet powyginany, mostek wystający, nogi powykęcane.

Współczucie Klaudiusza wzmagało się właśnie wskutek tej brzydoty. Poprzysiągł sobie, że wychowa to dziecko, a to przez miłość dla swego brata.

Ochrzczył przybrane dziecko i nazwał je Quasimodo; chciał tym sposobem upamiętnić dzień, w którym je znalazł i zaznaczyć, do jakiego stopnia to biedne, małe stworzenie urodziło się ułomne. I rzeczywiście: jednooki, garbaty, koślawy podrzutek był chyba tylko niby-czymś (quasi-modo).

## **ROZDZIAŁ VI QUASIMODO**

W r. 1482 Quasimodo już podrósł. Od lat kilku był dzwonnikiem katedry, a to z łaski swego przybranego ojca, Klaudiusza Frollo, który został archidiakonem.

Quasimodo był tedy katedralnym dwonnikiem.

Z czasem wytworzył się ścisły związek dzwonnika z kościołem. Oddzielony na zawsze od świata podwójnym nieszczęściem: niewiedomego pochodzenia i potwornych kształtów, nieszczęśliwy kaleka widział to jedynie, co nie przekraczało murów kościoła,

który go przygarnął. Katedra stała się dlań stopniowo, w miarę jak się rozwijał i rósł, gniazdem, domem, ojczyzną, wszechświatem.

i niezawodnie istniał pewien rodzaj tajemniczej harmonii we wzajemnym stosunku tej istoty i tego gmachu. Gdy niemowlęciem jeszcze czołgał się, kręcąc i skacząc w mroku jego sklepień, zdawał się być przy swym układzie ciała naturalnym płazem owej wilgotnej posadzki, na której cienie kapiteli romańskich łamały się w dziwacznych formach.

Później, gdy po raz pierwszy uczepił się sznura dzwonnicy i zawisnąwszy na nim uderzył w dzwon, wywarło to na Klaudiuszu wrażenie, jakby posłyszał głos dziecka, któremu się język rozwiązał i które zaczyna mówić.

Quasimodo przywarł do gmachu jak żółw do swojej skorupy. Chropowata katedra była jego pancerzem.

Nie ma potrzeby mówić, do jakiego stopnia obznajmił się i oswoił z całą katedrą, wskutek długiej z nią zażyłości. Był w niej rzeczywiście jak u siebie, jak we własnym legowisku.

Nie znalazłbyś lochu, którego on nie zgłębił, nie było wyżyny, na którą by się nie wgramolił. Bardzo często zdarzało mu się włączyć po frontonie na kilkadziesiąt stóp przy pomocy samych wypukłości rzeźby. Wieże, na których widziano go nieraz, kiedy na podobieństwo jaszczurki wił się po ścianie, dwie owe olbrzymie siostrzyce tak wysokie, tak groźne, tak przerażające, nie przyprawiły go ani o zawrót głowy, ani o strach.

Klaudiusz Frolo cierpliwością niezmierną i niezmiernym trudem zdołał nauczyć go mówić; fatalność atoli nieubłagana uczepiła się biednego podrzutka W czternastym roku życia, gdy został dzwonnikiem katedralnym, dotknęło go nowe kalectwo. Dzwony uszkodziły mu błony bębenkowe i ogłuchły. Jedyne podwoje, jakie mu natura zostawiła odchylone na świat, zamknęły się nagle na zawsze.

Smutek nieszczęśliwca stał się nieuleczalny i zupełny jak jego brzydota. Dodajmy, że głuchota uczyniła go w pewnej mierze niemymi. Od chwili gdy spostrzegł, że jest głuchy, nie chcąc się wystawiać na śmiechy bliźnich skazał siebie na milczenie, które wtedy chyba przerywał, kiedy był sam jeden. Stąd gdy konieczność zmuszała go do mówienia, język jego był ciężki i niezręczny.

Pewne jest, że duch zamiera w ciele kalekim. Wrażenia przedmiotów podlegały u Quasimoda znacznemu przełamaniu zanim się do jego myśli dostały. Mózg jego był zbiornikiem szczególnym: pojęcia, które przezeń przebiegały, wychodziły stamtąd przekręcone. Pojęcie, sąd, myśl, wypływające z owego przełomu, z konieczności musiały być rozstrzelone i spaczone.

Stąd tysiączne ułudy wzroku, tysiączne pomyłki wyobrażeń, tysiączne skrzywienia uczuć, wśród których dusza się kołatała, raz rozhukana, to znów idiotycznie otępiała.

Świat zewnętrzny wydawał się mu daleko więcej oddalony aniżeli ludziom normalnym.

Drugi skutek upośledzenia wyrażał się tym, że czyniło go ono złośliwym.

Był on w istocie złośliwy, bo był dziki; był zaś dziki, bo był brzydki. Natura jego miała swą własną logikę, jak nasza swoją.

Siła jego, tak niesłychanie rozwinięta, stanowiła także jedną z przyczyn jego złośliwości.

Malus puer robustus — powiada Hobbes.

Nie zdołalibyśmy sobie wyobrazić, jaka radość ogarniała go w dni wielkich uroczystości.

W chwili gdy archidiakon wysyłając go wypowiedział magiczne słówko: „dzwon” — pędził

on na dzwonnice po schodkach szybciej, niżby kto inny potrafił z niej zbiegać. Cały zdyszany wpadał do otwartej świetlicy wielkiego dzwonu, patrzył nań chwilę ze skupieniem i miłością, po czym głośno dłońmi jak dzielnego rumaka, którego czeka długa wyprawa. Żałował go, że tak ciężkie trudy ma do przebycia. Po tych wstępnych pieszczotach nachylał się ku swym pomocnikom, znajdującym się na niższym piętrze wieży, i dawał znak. Ci zawieszali się u sznurów, winda zgrzytała i ogromny dzwon zwolna zaczynał się kołysać. Wzruszony Quasimodo śledził jego ruchy. Pierwsze uderzenie serca dzwonu o ściany spizowca przejmowało drżeniem rusztowanie, na którym był zawieszony. Quasimodo wibrował wraz z dzwonem. — O-ha! — wrzeszczał wybuchając bezsensownym śmiechem. W miarę iak dzwon opisywał kąty coraz szersze, rozwierało się i oko Quasimoda, roziskrzone i płomienne. Nagle frenezja dzwonu porywała Quasimoda; stawał, zaczynał się, pilnował dogodnego momentu jak pajak przelotu muchy, i ciskał się na dzwon gwałtownie, całym ciałem, bez pamięci. Wówczas zawieszony nad przepaścią porywał rozgorzałego potwora za mosiężne ucha, ścisnął go kolanami, wpiął weń pięty i całym naporem swojego skoku, całym ciężarem ciała podwajał szal jego uderzeń. Wieża nie przestawała się chwiać, on wrzeszczał i zgrzytał zębami, ryże włosy jeżyły mu się na głowie, pierś dyszała jak miech kowalski, oko pałało, potworny spizowiec drżał pod nim; wówczas nie był to już ani wielki dzwon katedralny, ani Quasimodo: było to jakieś widziadło, wir, burza; upiór pazurami: wpięty w grzbiet napowietrznego rumaka; dziwotwór bajeczny, pół człowieka i pół dzwonu; coś w rodzaju straszego Astolfa, unoszonego na rozhukanym smoku z brązu.

Innym znów razem rzucał się w oczy u dołu dzwonnicy! ogromny łeb i pęk rozrzuconych członków, huśtający się na końcu sznura: był to Quasimodo wydzwanający na nieszpory lub Anioł Pański. Często w nocy spostrzegano jakiś ohydny kształt, błakający się wśród koronkowo przetkanych, cienkich balustrad, wieńczących obie wieże i brzegi nadołtarzowego kapitelu katedry; i tym jeszcze razem był to garbusek notre-damski. W takich wypadkach, mówiły kumoszki, kościół nabierał czegoś fantastycznego, nadprzyrodzonego, okropnego; tu i tam otwierały się paszcze, zapalały się ślepia kamiennych jaszczurek, słyszeć się dawały ujadania psów i poczwarników czuwających we śnie i na jawie, z wyciągniętymi szyjami, z rozwartymi pyskami, dokoła olbrzymiej katedry. Wszystko to właśnie czynił Quasimodo. Egipt byłby go wziął za bóstwo tej świątyni; wieki średnie mieniły go jej złym duchem; a on był jej duszą. Była przecież na świecie istota, którą Quasimodo kochał tyleż, jeżeli nie więcej, niż swą katedrę. Istotą tą był Klaudiusz Frollo. Klaudiusz Frollo dał mu przytułek, wykarmił go i wychował. U kolan Klaudiusza Frollo zwykł był Quasimodo szukać obrony i ratunku w chwilach, gdy będąc jeszcze dzieckiem, musiał nieraz uciekać przed ujadaniem psów i ulicznikami. Klaudiusz Frollo nauczył go mówić, czytać i pisać. Wreszcie Klaudiusz Frollo uczynił go dzwonnikiem katedralnym. Toteż wdzięczność Quasimoda była głęboka, bezgraniczna; i chociaż oblicze przybranego ojca nieraz się zasępiało, chociaż mowa jego była twarda, krótka, rozkazująca, to przecież wdzięczność ta ani na chwilę nie uległa zmianie. Archidiakon miał w Quasimodzie niewolnika. Gdy biedny dzwonnik ogłuchł, ustalił się między nim a Klaudiuszem Frollo pewien rodzaj języka, im samym

tylko zrozumiałego. W ten sposób archidiakon był jedyną istotą ludzką, z którą Quasimodo zachował związek.

Stosunki jego z tym światem ograniczyły się do dwóch rzeczy: do katedry i Klaudiusza Frollo.

Wpływ archidiakona na dzwonnika i przywiązanie dzwonnika do archidiakona nie dadzą się z niczym porównać. Dość było jednego skinienia Klaudiusza, dość było wiedzieć, że to mu uczyni jakąś przyjemność, by Quasimodo gotów był rzucić się z wysokości wież katedralnych. Było w tym niewątpliwie poświęcenie synowskie, przywiązanie rodzinne; ale był też urok i wpływ jednego ducha na drugiego. Jestestwo nieszczęśliwe, kalekie, niezgrabne, stało tu z głową pochyloną i wzrokiem błagającym wobec umysłu podniosłego i głębokiego, wyższego i potężnego. Przy tym i nade wszystko była w tym wdzięczność. Wdzięczność posunięta do najdalszych krańców. Cnota ta nie jest z rzędu tych, których najpiękniejsze przykłady znajduje się wśród ludzi. Powiemy więcej, że Quasimodo kochał archidiakona, jak żaden pies, żaden koń, żaden wielbłąd nie kocha swojego pana.

## **ROZDZIAŁ VII**

### **DALSZY CIĄG O KLAUDIUSZU FROLLO**

W 1482 roku Quasimodo miał około lat dwudziestu, Klaudiusz Frollo — około trzydziestu sześciu. Jeden wyrósł, drugi postarzał.

Klaudiusz Frollo był to kapłan surowy, poważny, chmurny, mający pod swą pieczęć dwa dziekanaty, Montlhery i Chateaufort, oraz sto sześćdziesiąt probostw wiejskich; osobistość dumna a ponura, przed którą drżeli chłopcy-śpiewacy w komżach i albach, zakrystianie, bracia od Sw. Augustyna.

Klaudiusz Frollo nie zaniedbał zresztą ani nauki, ani starań koło wychowania swego młodszego brata, co stanowiło dwa główne zajęcia jego życia. Z czasem atoli przymieszało się trochę goryczy do tych rzeczy tak słodkich. Mały Jan Frollo, przezwany du Moulin czyli Wiatrakiem, poszedł w kierunku najmniej przez Klaudiusza pożądanym. Starszy brat liczył na ucznia pobożnego, pokornego, pracowitego. A młodszy braciszek był to prawdziwy diabeł rozwydrzony, niezmiernie śmiały i dowcipny, co znów wywoływało uśmiech na ustach starszego brata. Klaudiusz oddał go do tego kolegium Torchi, gdzie sam niegdyś spędził pierwsze lata rozmyślań i pracy; przykro mu było, że ta świątynia, gdzie dawniej imię Frolla było chlubą, dziś widziała w tym imieniu zgorszenie. Archidiakona widywano często, jak się przemykał przez ulicę Lombardów i skrycie wchodził do małego domku, położonego na rogu ulicy Marivault. Był to dom zbudowany niegdyś przez Mikołaja Flamela i od śmierci swego właściciela około r. 1417 zalegający pustką i zapadający w ruinę, tak dalece alchemicy wszystkich krajów zniszczyli jego ściany, pisząc na nich swoje nazwiska. Kilku sąsiadów twierdziło nawet, że widziano raz przez szczelinę jak archidiakon kopał i rył ziemię w dwóch piwnicach, których belki upstrzone były wierszami i hieroglifami, skreślonymi ręką samego Flamela. Przypuszczano, że Flamel zakopał przed laty w tych piwnicach kamień filozoficzny.

Pewne jest również, że archidiakon nie umiał się obronić szczególnej namiętności do symbolicznych odrzwi katedralnego kościoła.

Wszystkich zastanawiało, że Frolo spędza całe godziny przed rzeźbami odrzwi w zachwycie nad dziewicami nieroztropnymi i ich przewróconymi lampami i nad dziewicami mądrymi, czujnie i prosto trzymającymi lampy w ręku. Innym jeszcze razem widziano archidiakona obliczającego kąt spojrzenia kruka umieszczonego u lewego frontowego wejścia do katedry: według tego obliczenia można było odnaleźć miejsce, gdzie miał być schowany kamień filozoficzny, jeśli już go nie było -w piwnicach Flamela.

Pewne jest wreszcie, że archidiakon miał maleńką, tajemniczą celkę, do której, jak zapewniano, nikt, sam biskup nawet, nie mógł wchodzić bez jego upoważnienia, a która się mieściła w jednej z dwóch wież katedralnych, tej mianowicie, co wychodziła na Plac Stracenia, czyli Greve. Celkę tę kazał niegdyś wykuć u samego prawie szczytu wieży, wśród gniazd kruchych, biskup Hugo, który tam w swoim czasie zajmował się czarnoksięstwem. Często można było spostrzec w jej okienku wydrażonym w tylnej ścianie wieży jakieś migotanie czerwonych światełek, to niksących, to znów ukazujących się w różnych odstępach czasu.

Lud brał wręcz Quasimoda za diabła, a Klaudiusza Frolo za czarnoksiężnika.

Archidiakon i dzwonnik, jakeśmy nadmienili, nie cieszyli się wcale popularnością wśród warstw pospółstwa z okolic katedralnych. Gdy Klaudiusz i Quasimodo wychodzili razem, co się bardzo często zdarzało, niejedno złe słowo, niejeden ironiczny docinek, niejeden dowcip obraźliwy spotykały ich po drodze.

Było to pod wieczór. Archidiakon wróciwszy tylko co z nabożeństwa usunął się do swej celki zakonnej w klasztorze Notre-Dame. Oprócz może kilku flaszek szklanych, zastawionych w kącie i pełnych jakiegoś piasku, podobnego do prochu strzelniczego, w celce tej nie było nic dziwnego ani tajemniczego.

Zastukano do drzwi. — Kto tam? — zapytał uczony. Odpowiedziano z zewnątrz: — Przyjaciół waszej miłości, Jakub Coictier.

Był to lekarz królewski; osobistość już niemłoda, lat pięćdziesięciu, o ostrym wyrazie twarzy. Towarzyszył mu ktoś drugi. Obaj mieli na sobie długie szaty siwego koloru, podbijane futerkiem, z kapturami tegoż koloru. Ręce ich chowały się w obszernych rękawach, nogi kryły się pod fałdami kapot, a oczy pod kapturami.

— Zaprawdę panowie, nie spodziewałem się tak zaszczytnych odwiedzin o tej porze! — powiedział archidiakon.

— Nie jest nigdy za późno oddać pokłon uczonemu tak znakomitemu jak dominus Klaudiusz Frolo! — odpowiedział doktor Coictier.

— Otóż właśnie, ojczy Klaudiuszu, przyprowadzam ci jednego z braci, który pragnął poznać tak sławnego męża jak ty.

— Czciogodny mistrzu — odezwał się nieznajomy. — Sława twa doszła aż do mnie i zapragnąłem zasięgnąć twej rady. Jestem tylko biednym szlachcicem prowincjonalnym. Nazywam się Tourangeau.

Klaudiusz poprosił, by goście raczyli usiąść i odezwał się do Tourangeau:

— Przychodźcie do mnie po radę, w jakiej sprawie?

— Wielebny — odrzekł Tourangeau — jestem chory, bardzo chory. Posiadacie sławę wielkiego eskulapa, przybyłem tedy prosić o radę.

— Panie — odrzekł archidiakon — równie dobrze byłoby się stało, gdybyście się byli nie męczyli po schodach. Nie wierzę w medycynę. Nie wierzę w astrologię.

— Naprawdę? — zawołał Tourangeau zdziwiony. Coictier śmiał się przymuszonym śmiechem.

— Widzisz wasza mość teraz — mówił z cicha do Tourangeau — widzisz, że to istny wariat. I w astrologię nie wierzy.

— Bo też — kończył Klaudiusz — niechże kto będzie mądry i wyobrazi sobie coś w tym rodzaju, że każdy promień gwiazdy jest nitką, która się wiąże z głową człowieka!

— W cóż więc wierzycie? — zawołał Tourangeau. Archidiakon zawahał się sekundę, po czym odparł:

— W alchemię. Coictier aż podskoczył.

— Ależ oczywiście — zawołał — alchemia ma swoją rację ale po cóż złorzeczyć medycynie i astrologii?

— Nicością wasza nauka o człowieku! Nicością wasza nauka o niebie! — powiedział archidiakon stanowczo. — Oto w czym prawda (to mówiąc wziął z półki flaszkę napełnioną proszkiem) w tym jedynie światło. Złoto to słońce; robić złoto, to tyle co być Bogiem. W tym jedyna nauka. Zgłębiłem — powiadam wam — medycynę; zgłębiłem astrologię; nicość, nicość. Ciało ludzkie ciemnością; gwiazdy ciemnością. I osunął się w swe krzesło. Tourangeau obserwował go w milczeniu. Coictier usiłował podrywać, ruszał nieznacznie ramionami i powtarzał z cicha:

— Szaleniec!

— Lecz cel ostateczny — ozwał się naraz Tourangeau — zostałże dopięty? Czy doszedłeś, jak się robi złoto?

— Gdybym tego doszedł — odrzekł archidiakon zwolna, cedząc wyrazy jak człowiek wążący w myśli wartość każdej sylaby — gdybym do tego doszedł, król Francji nosiłby imię Klaudiusza, nie zaś Ludwika.

— O, nieszczęśliwy wariat! — mruknął Coictier.

Archidiakon ciągnął tymczasem dalej:

— Przewiduję, nie widzę jeszcze! Nie czytam, sylabizuję tylko.

— A gdy się nauczysz czytać? — spytał Tourangeau — czy zrobisz złoto?

— Któż o tym wątpi? — odrzekł archidiakon.

— W takim razie świadczę się Panną Najświętszą, że jestem w ciężkiej potrzebie i bardzo bym chciał nauczyć się czytać w twych księgach.

— Przyjdiesz kiedy ci się podoba — mówił Klaudiusz do Tourangeau — pokażę ci cząsteczki złota pozostałe na dnie tygla Mikołaja Flamela, porównasz je ze złotem Wilhelma paryskiego. Odkryję ci cudowne własności greckiego magicznego słowa. Przede wszystkim atoli odczytam ci jedną po drugiej marmurowe litery alfabetu, granitowe stronicę książki.

Tourangeau zdawał się nie pojmować słów Klaudiusza. Przerwał teraz:

— Jako żywo! I jakież to są te książki waszej miłości?

— A oto jedna z nich! — powiedział archidiakon.

I otwierając okno celi wskazał palcem na katedrę Najświętszej Panny, która ścieląc się na gwiazdzistym niebie ciemnym wycinkiem dwóch swych wież, wyglądała jak sfinks dwugłowy, rozsiadły pośrodku stolicy.

Archidiakon patrzył czas jakiś w milczeniu na ginach, po czym wyciągając z westchnieniem rękę prawą ku książce drukowanej, która leżała na stole, lewą zaś ku Notre-Dame i przenosząc wzrok z książki na kościół: — Niestety — rzekł — to zabija tamto.

Coictier nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

— Cóż znowu!... Jestże w tym coś tak bardzo strasznego: Glosa in epistolas D. Pauli Norimbergae, Antonius Koburger 1474. Stare rzeczy. To książka Piotra Lombarda, mistrza sentencyj. A może dlatego taka nadzwyczajna, że drukowana?

— Rzekłeś! — odpowiedział Klaudiusz.

— Mistrzu — powiedział Tourangeau do archidiakona już na progu — lubię ludzi uczonych, cenię umysły wielkie i ciebie w szczególnym mam poszanowaniu.

Przyjdź jutro do zamku Tournelle i zażądaj widzenia się z opatem Św. Marcina z Tours. Archidiakon wrócił zdumiony do celi. Pojął nareszcie kim był ów Tourangeau i przyszedł mu na myśl ustęp z kapitularzy Św. Marcina: Abbas beati Martini, scilicet Rex Franciae, est canonicus de consuetudine et habet parvam praebendam, quam habet sanctus Venantius et debet sedere in sede thesaurarii.

Utrzymywano, że od tej właśnie daty archidiakon miewał częste narady z Ludwikiem XI, gdy Jego Królewska Mość przybywał do Paryża, i że wpływ Klaudiusza był większy od wpływów Oliviera Le-Daim i Jakuba Coictier, który swym zwyczajem bardzo za to króla strofował.

Nasi czytelnicy przebaczą nam, jeśli się zatrzymamy na chwilę dla odgadnięcia myśli, jaka się ukrywała pod zagadkowymi słowami archidiakona: To zabije tamto. Książka zabije gmach.

W naszym rozumieniu myśl ta miała dwie strony. Była to najprzód myśl księdza; lęk kapłana przed nowym czynnikiem, przed drukiem. Było to przerażenie sługi ołtarza wobec promiennej prasy Gutenberga. Katedra i rękopis, słowo mówione i słowo pisane zaniepokojone słowem drukowanym. Znaczyło to, że nowa potęga mogłaby zniweczyć potęgę istniejącą; Prasą zabije kościół.

Lecz pod tą pierwszą najprostszą myślą była, naszym zdaniem, druga. Było to przecucie, że myśl ludzka zmieniając kształt zmieni także sposób objawiania się; że idea główna każdego pokolenia nie będzie nadal wyrażana tym samym sposobem i za pomocą tej samej materii; że księga kamienna, tak mocna i trwała, ustąpi miejsca jeszcze mocniejszej i jeszcze trwalszej księdze papierowej. Pod tym względem mglista formuła archidiakona rzeczywiście inne miała znaczenie; znaczyła ona, że jedna sztuka zwycięży drugą sztukę; że „Druk zabije budownictwo”.

Jakoż od początku aż do XV wieku ery chrześcijańskiej włącznie budownictwo było wielką księgą ludzkości, głównym objawieniem się człowieka w rozmaitych stopniach jego rozwoju, bądź jako siły, bądź jako inteligencji.

Potem ukazały się książki.



Tak więc aż do Gutenberga budownictwo było głównym pismem, pismem powszechnym. Średnie wieki wypełniły ostatnią kartę tej granitowej księgi, którą Wschód rozpoczął, a prowadziła dalej starożytność grecka i rzymska.

W XV wieku wszystko się zmienia.

Myśl ludzka znajduje sposób uwiecznienia się nie tylko trwalszy od budownictwa, ale także prostszy i łatwiejszy. Budownictwo traci berło. Kamienne litery ustępują miejsca literom ołowianym Gutenberga.

Książka ma zabić gmach.

Wynalazek druku jest największym zdarzeniem historycznym. Sposób wyrażania się ludzkości zupełnie się odnawia; myśl człowiecza porzuca dawny kształt i przybiera nowy. W kształtach druku myśl mniej niż kiedykolwiek podlega zniszczeniu. Jest lotna, nieuchwytna, nigdy nie ginąca.

Powtarzamy, któż tego nie przyzna, że w tym kształcie jest ona bez porównania trwalsza. Otóż zapytujemy obecnie, która z tych dwóch sztuk rzeczywiście reprezentuje od trzech wieków myśl ludzką? Która ją tłumaczy? Która wyraża nie tylko jej kierunki literackie i scholastyczne, ale również jej niezmierny, głęboki nurt powszechny? Budownictwo czy druk?

Druk. I rzeczywiście, niech to nikogo już nie łudzi: budownictwo umarło zabite przez książkę drukowaną, zabite dlatego, że krócej trwa, zabite dlatego, że więcej kosztuje. Każda katedra jest miliardem.

Książka tak mało wymaga czasu, tak mało kosztuje, a tak daleko zająć może! Jakże się dziwić, że myśl ludzka wyraża się w tej formie.

## **ROZDZIAŁ VIII**

### **BEZSTRONNY RZUT OKA NA DAWNE SĄDOWNICTWO**

Szczęśliwy to był człowiek w roku pańskim 1482, ów szlachetnie urodzony Robert d'Estouteville, rycerz, pan na Beyne, baron d'Yvri i St. Andry-en-Marche, radca i dworzanin królewski, namiestnik kasztelami paryskiej. Oto już bez mała lat siedemnaście, bo od 7 listopada 1465 r. dzierżył on z rąk królewskich godność kasztelana paryskiego, będącą w przekonaniu powszechnym raczej księstwem udzielnym niżli urzędem.

Robert d'Estouteville zasiadłszy pod szerokimi łukami sklepienia Filipa Augusta w Wielkim Kasztelu, ogłaszał wszem wobec i każdemu z osobna wyroki.

Ale nie dość, że Robert d'Estouteville posiadał osobną jurysdykcję kasztelaństwa i wicehrabstwa paryskiego; miał on jeszcze współdziałanie w wielkim sądownictwie króla.

Przy tym wszystkim, przy tylu powodach brania życia z najprzyjemniejszej i najspokojniejszej strony, Robert d'Estouteville obudził się z rana w styczniu 1482 r. w jak najgorszym humorze.

Zresztą, było to nazajutrz po uroczystości, dzień nudów dla wszystkich. Do tego zaś jeszcze przypadało właśnie posiedzenie w Wielkim Kasztelu.

Posłuchanie wszakże zaczęło się bez Roberta d'Estouteville. Sprawy prowadzili, wedle zwyczaju, jego zastępcy na wydziale cywilnym i kryminalnym; już od ósmej godziny z

rana kilka tuzinów mieszczan i mieszczek przyglądało się pociesznemu i urozmaiconemu widowisku sprawiedliwości cywilnej i kryminalnej, wymierzanej w sposób nieco przypadkowy przez mistrza Floriana Barbedienne, audytora Kasztelu, zastępcę d'Estoutc.

Izba była mała, niska, sklepiona. Stół zasłany kobiercem z herbowymi liliami znajdował się w głębi wraz z wielkim rzeźbionym krzesłem dębowym dla kasztelana, teraz próżnym, i z prostym stołkiem na lewo dla audytora, mistrza Floriana. Poniżej siedział pisarz sądowy i od niechcienia wodził piórem po papierze. Dwaj woźni stali przy niskich zamkniętych drzwiach. Jedno jedyne okno ostrołukowe, wąsko zaciśnięte w grubym murze, bladym promieniem stycznia oświecało dwie dziwaczne postacie: skrzywionego kamiennego biesa, rzeźbionego u kluczowej cegły sklepienia w kształt haka od lampy, i sędziego siedzącego w głębi izby.

I rzeczywiście, ten drugi godnie dotrzymał placu pierwszemu pod pewnym przynajmniej względem. Wyobraźmy sobie za stołem kasztelańskim wśród dokumentów procesowych mistrza Floriana Barbedienne, audytora zamkowego, w chwili gdy wsparty na łokciach, w swej sukni koloru brunatnego, zabiera się do sądzenia spraw.

Mistrz Florian był głuchy.

Ułomność ta, niezbyt ciężka jak na sędziego, może być nawet zaletą. Wszystko bowiem, czego się od niego żąda, sprowadza się do tego, by miał pozór i postawę słuchającego uważnie; warunkowi zaś temu czcigodny audytor tym lepiej odpowiadał, że żaden hałas nie mógł przerwać jego uwagi. Pewnym zaś w każdym razie jest to, że mistrz Florian cokolwiek tam o nim mówiono, wyrokował zawsze jak najbardziej stanowczo i z podziwu godnym doświadczeniem.

Zresztą, znajdował się w izbie nieubłagany kontroler jego dzieł i ruchów w osobie naszego przyjaciela, Jana Frollo du Moulin, wrzaskliwego żaka.

— Patrzaj — mówił Wiatrak po cichu do swego koleżki, Robka Poussepain, śmiejącego się tuż obok, podczas gdy Janek czynił spostrzeżenia nad widowiskiem roztaczającym się przed ich oczami. — Patrzaj, toż to Żanetka du Buisson! Córeczka nicponia z Nowego Rynku! Na mój honor, skazał ją stary szelma! Nie lepsze snadź baryła ma oczy od uszu. Piętnaście soldów i cztery denary paryskie za to, że dwie pary paciorków miała na sobie. Za ostro! A ten kto zacz, Herkulesie!... Toż to nasz ksiązę wczorajszy, nasz król błaznów, nasz dzwonnik katedralny, nasz jednooki, nasz garbus, nasz skrzywipysk Quasimodo!

Jakoż był to Quasimodo skuty, osznurowany od stóp do głowy i pod silną strażą. Oddział pachołków otaczający go, prowadzony był przez samego dowódcę w pełnym uniformie, z herbem Francji na piersi i herbem stolicy na plecach. Twarz więźnia była smutna, lecz spokojna i nieruchoma. Jego jedyne oko rzucało od czasu do czasu spojrzenie złe i gniewne.

Audytor, mistrz Florian, przerzucał tymczasem kartki oskarżenia, spisane przeciw winowajcy, a złożonego na stół sędziowski przez pisarza. Dzięki tej ostrożności, którą sędzia śledczy zwykł zachowywać przed każdym badaniem, znane mu były z góry imiona, rodzaje zajęć i winy oskarżonych.

Mistrz Florian dokładał wszelkich starań dla ukrycia swej głuchoty przed światem i na ogół mu się to udawało.

Dokładnie tedy przejrzawszy sprawę Quasimoda mistrz Florian przechylił głowę w tył i przymknął do połowy powieki dla tym większego majestatu.

— Imię twe? — spytał.

Otóż zachodził tu właśnie jeden z wypadków nieprzewidzianych w ustawie, wypadek gdzie głuchy przesłuchuje głuchego.

Quasimodo nie przestawał patrzeć na sędziego spokojnie i nie odpowiadał wcale. Sędzia również głuchy i przez nikogo nie uprzedzony o głuchocie obwinionego mniemał, iż ten odrzekł jak należało i jak czynili zazwyczaj wszyscy w ogóle oskarżeni; ciągnął więc dalej z powagą:

— Dobrze. Ile masz lat?

Quasimodo niewiele więcej odpowiedział i na to drugie pytanie. Sędzia uważał je jednak za wyczerpane i zagadnął z kolei:

— Teraz, czym się zajmujesz?

Znów to samo milczenie. Publiczność zaczynała już wszakże szeptać i poglądać po sobie.

— To wystarcza — jął nieugięty audytor, gdyż wedle jego obliczeń obwiniony powinien był już udzielić trzeciej odpowiedzi. — Jesteś wobec nas wezwany i oskarżony: primo o rozruchy nocne; secundo o czyny niegodne na osobie kobiety, in prejudicum meretricis; tertio o rebelię i nierzetelność względem łuczników z ordynansu Jego Miłości króla, Pana naszego. Wytlumacz się co do wszystkich tych punktów.

Zwracając się do pisarza zapytał:

— Czy zapisałeś wszystko, co oskarżony dotąd powiedział?

Na to pytanie całe audytorium, od kratedk aż do podwoi, buchnęło śmiechem tak gwałtownym i powszechnym, że w końcu i obaj głusi zwrócić musieli na to uwagę.

Quasimodo się obejrzał ruszając pogardliwie garbem, podczas gdy mistrz Florian nie mniej od niego zdziwiony, a przypuszczając, że śmiech widzów wywołany został nieskromnym dowcipem oskarżonego, co poniekąd i sam ruch garbu jego zdawał się potwierdzać, gromić jął winowajcę.

— Dałeś mi tu, bałwanie, odpowiedź zasługującą na stryczek! Czy wiesz z kim mówisz? Koncept ten bynajmniej nie był zdolny powstrzymać powszechnej wesołości. Wydał się on tak dziwny, że śmiech ogarnął nawet i dwóch strażników. Sam tylko Quasimodo nie stracił na zwykłej surowości i powadze z tej prostej przyczyny, że nic a nic nie pojmował, co się wokół niego działo. Sędzia podrażniony do najwyższego stopnia uważał za potrzebne nie spuszczać z tonu; miał nadzieję, że w ten sposób zdoła zatrwożyć oskarżonego i grozą oddziaływać na publiczność.

— Więc to ma znaczyć — wołał — że sobie pozwalasz uchybiać mej godności audytora Kasztelu, delegata do spraw gminnych magistratu paryskiego, dygnitarza zajmującego się zwalczaniem zbrodni, występków i wólczegostwa. Wiedz tedy, że się nazywam Florian Barbedienne, namiestnik samego kasztelana, a także komisarz, asesor, kontroler i egzaminator z władzą jednaką w kasztelani, starostwie, grodzie i trybunale...

Trudno przewidzieć, z jakiego by powodu głuchy mówiący do głuchego miał się zatrzymać. Bóg sam wie gdzie i kiedy wylądowałby mistrz Florian, gdyby naraz nie otwały się niskie podwoje w głębi izby i nie wszedł przez nie sam kasztelan. Za jego zjawieniem się mistrz Florian nie urwał ani na chwilę, lecz uczyniwszy w te pędy pół obrotu na piętach, rzekł:

— Miłościwy panie — żądam na obecnego tu oskarżonego takiej kary, jaką się spodoba Waszej miłości naznaczyć, a to za ciężką i rozmyślną obrazę sprawiedliwości.

I usiadł zdyszany, ocierając wielkie krople potu.

Robert d'Estouteville ściągnął brwi i skinął na Quasimoda w sposób tak znaczący, - że głuchy i jednooki garbus zrozumiał nareszcie, że tu o coś przecie chodzi.

— Cóżes to zrobił łajdaku, żeś się tu dostał?

Biedaczysko przypuszczając, że kasztelan pyta go o nazwisko, przerwał milczenie, w jakim się zwykle zamykał, i odrzekł głosem chrapliwym i zduszonym:

— Quasimodo.

Odpowiedź tak się mało stosowała do pytania, że huczne śmiechy poczęły znów obiegać izbę, a Robert d'Estouteville zawołał czerwieniąc się z gniewu:

— To i ze mnie szydzisz sobie, huncwocie?

— Dzwonnik katedry Najświętszej Panny — powiedział na to Quasimodo mniemając, że chodzi o wytłumaczenie sędziom, czym się zajmuje.

— Dzwonnik Najświętszej Panny — krzyczał kasztelan, który, jakeśmy to zauważyli, od samego już rana był w złym humorze.

— Jeśli o wiek mój chodzi wielmożnemu panu — rzekł Quasimodo — to sądzę, że na św. Marcina skończę lat dwadzieścia.

Tego już było za wiele; kasztelan nie mógł się opanować.

— A, to ty drwisz z władzy kasztelańskiej. Poczekajże! Hej, pacholku, zaprowadźcie mi tego łotra pod pręgierz! Ja mu pokażę! Obwieścić mi wyrok w asystencji czterech trębaczów w siedmiu starostwach wicehrabstwa paryskiego.

Pisarz zabrał się do formułowania sentencji.

W kilka minut wyrok był spisany. Treść jego brzmiała krótko i zwięźle. Obyczajowe prawa kasztelanii i wicehrabstwa paryskiego nie były wówczas jeszcze pogmatwane. Wszystko w nich było jasne i wyraźne. Szło się prosto do celu; ani jednego kruczka; od pierwszego wejrzenia wszędzie jak na dłoni widziałeś czysto i równo wytknięte ścieżyny, u których końca miałeś pręgierz, szubienicę lub torturę.

Pisarz podał wyrok kasztelanowi, który przyłożywszy pieczęć, wyszedł do dalszych izb. Quasimodo spozierał dokoła zdziwionym wzrokiem.

W chwili jednak, gdy mistrz Florian Barbedienne z kolei zabierał się do podpisania wyroku, pisarz, tknięty litością dla skazanego a sądząc, że wyjedna zmniejszenie kary, nachylił się jak mógł najbliżej do audytora i powiedział wskazując na Quasimoda:

— Człowiek ten, wielmożny sędzio, jest głuchy.

Ale mistrz Florian miał słuch tak tępy, że ani jednego wyrazu z odezwania się pisarza nie pojął. Chciał pomimo to pokazać, że doskonale posłyszał zrobioną uwagę i odrzekł:

— Czy tak? To co innego; nie wiedziałem o tym. W takim razie dorzuc mu jeszcze drugą godzinkę u pręgierza!

I podpisał wyrok.

## ROZDZIAŁ IX SZCZURZA JAMA

Wróćmy teraz na Plac Stracenia.

Godzina szósta z rana; wszędzie widać ślady wczorajszej uroczystości ludowej. Na bruku kokardki, szmatki, piórka od kitek, krople wosku z pochodni. Spora liczba mieszczan wałęsa się po placu. Przekupnie gwarzą i wywołują się z domów. Obchód, posłowie, Coppenole, król trefnisiów są na ustach wszystkich.

Tyle o poświętnym ruchu. Jeśli zaś czytelnik zwróci wzrok ku starożytnej, na pół gotyckiej, na pół romańskiej wieży Rolandowej, zauważy on na rogu fasady gruby modlitewnik publiczny w bogatej oprawie, zabezpieczony od deszczu daszkiem, od złodziejów zaś kratą żelazną tak urządzoną, by kartki brewiarza można odwracać. Tuż obok znajdowało się wąskie, ostrołukowe okienko, przegrodzone dwiema żelaznymi sztabami na krzyż, wychodzące na plac; był to jedyny otwór pozwalający światłu przenikać do środka małej celki bez drzwi, wykutej w grubej ścianie starożytnego domu. Celka ta głośna była w Paryżu od trzech blisko wieków, od czasu, kiedy panna Roland z Rolandowej wieży, w żałobie po ojcu, zmarłym na wyprawie krzyżowej, wykuć ją kazała w murze własnego domu i w niej się zamknęła na zawsze, zapisując cały swój majątek ubogim i kościołowi i zatrzymując sobie z całego zamku tę jedną tylko izdebkę z zamurowanymi drzwiami, a z okienkiem otwartym i w zimie i w lecie.

Lat dwadzieścia stroskana dziewczica oczekiwała na śmierć w tym grobie, modląc się ustawicznie za duszę swego ojca, sypiając w popiele, bez kamienia nawet pod głową, odziana w worek i żyjąc jedynie chlebem i wodą z miłosierdzia przechodniów.

Rozdawszy dobra na jałmużny, jałmużną się sama teraz utrzymywała. Po jej śmierci miasto sprawiło na cześć i pod wezwaniem dziewicy brewiarz gminny, przykuty u okienka lochu, a to w tym celu, iżby przechodnie od czasu do czasu zatrzymać się tu mogli dla modlitwy.

Przykłady tego rodzaju zamknięcia się i zamurowania w środku miasta były wcale nierzadkie. Paryż posiadał dość znaczną liczbę takich celek modlitewnych i pokutnych.

Co do izdebki w Rolandowej wieży zaznaczyć trzeba, że nigdy jej na pustelnicach nie zbywało. Od śmierci panny Roland rzadko kiedy bywała ona rok lub dwa niezajęta.

Mnóstwo niewiast przychodziło tu po kolei szukać przytułku i oplakiwać śmierć rodziców, krewnych, kochanków i własne błędy.

Upowszechnionym trybem epoki przysłowie łacińskie wypisane na ścianie wskazywało przechodniowi świątobliwe przeznaczenie celki. I tak po dziś dzień jeszcze czytamy we Francji nad więzienną furtką szlacheckiego dworu Tourville: *Silto et spera*; w Irlandii pod tarczą osłaniającą główną bramę zamku Fortescue: *Forte scutum salus ducum*; w Anglii u naczelnego wejścia do gościnnego gniazda hrabiów Cowperów: *Tuum est*.

Ponieważ celka wykuta w wieży Rolandowej nie miała drzwiczek, nad jej tedy okienkiem wyryto wielkimi romańskimi głoskami dwa te wyrazy: *Tu ora*.

Lud nadał temu ciemnemu, posępnemu i wilgotnemu lochowi miano Szczurzej Jamy. Tłumaczenie mniej być może od oryginału wzniosłe, za to bardziej malownicze. W epoce, w której toczy się nasza akcja, cela wieży Rolandowej była zajęta. Jeżeli czytelnik chce wiedzieć przez kogo, niech posłucha rozmowy trzech pocziwych kumoszek.

Dwie z tych kobiet były ubrane jak mieszczańki paryskie.

Ich cienkie, białe kołnierzyki, spódniczki z półwełnianej tkaniny w czerwone i niebieskie pasy, białe pończochy z kolorowymi wyszyciami, czworograniaste trzewiki o czarnych podeszwach, a przede wszystkim ich czepce w kształcie rogu pokrytego niezmierną ilością wstążek i koronek, czepce jakie noszą jeszcze wieśniaczki w Szampanii, świadczyły, że należą one do klasy bogatych kupców, która zajmuje pośrednie miejsce między tymi, które służba nazywa kobietami, a tymi, które zwie paniami. Nie miały na sobie ani pierścieni, ani złotych krzyżyków; ale widoczne było, że przyczyną tego braku nie jest ubóstwo, lecz po prostu obawa kary. Strój trzeciej niewiasty niczym się prawie nie różnił od stroju jej towarzyszek; w postawie tylko i w ruchach jej było coś, co wskazywało, że mogła być żoną prowincjonalnego notariusza. Jej zbyt podniesiona przepaska kazała się domyślać, że nie od dawna znajduje się w Paryżu. Dodajmy do tego zmięty kołnierzyk, kokardy na trzewikach, pasy sukni wszerek zamiast wzdłuż, i wiele innych rzeczy w złym guście. Dwie pierwsze szły krokiem właściwym paryżankom, gdy pokazują Paryż swym przyjaciółkom z prowincji. Parafianka prowadziła za rękę tłustego malca, który trzymał w garści spory placek.

Malce pozwalał się wlec i potykał się co chwila ku wielkiemu zmartwieniu matki. Prawda, że patrzył więcej na placek niż na bruk. Zapewne jakaś ważna przyczyna przeszkadzała mu jeść.

— Śpieszmy się, Mahietto — mówiła młodsza i grubsza do parafianki. — Lękam się, abyśmy nie przyszły za późno; w zamku nam powiedziano, że go natychmiast poprowadzą pod pręgierz.

— E, co tam nam prawisz, Oudardo! — odparła druga paryżanka. — Aż dwie godziny zostawać on będzie pod pręgierzem. Mamy dosyć czasu. Czy widziałaś kiedy stawianie pod pręgierz, kochana Mahietto?

— Widziałam — odrzekła parafianka — w Reims.

— A ba! Toż mi tam sztuka, wasz pręgierz w Reims! Stara jakaś klatka! Ot, wielka rzecz!

— Ale, ale, Mahietto co mówisz o naszych posłach flamandzkich? Czy widziałaś podobnie pięknych w Reims?

— Wyznaję — odpowiedziała Mahietta — że tylko w Paryżu można widzieć takich Flamandczyków.

— Czy zauważyłaś między nimi tego wielkiego posła, który jest pończosznikiem? — zapytała Oudarda.

— A jakże — odrzekła Mahietta — wygląda jak Saturn.

— I tego grubego, którego czoło ma podobieństwo do gołego kolana? — pytała Gerwaza. — A tego znowu małego o małych oczkach, oprawnych w czerwone i obrzmiałe powieki.

— A co za śliczne konie, ubrane według mody ich kraju — wtrąciła Oudarda.

— Ach, moja droga — przerwała parafianka Mahietta, przybierając także ton pewnej wyższości.— Cóż byście to dopiero powiedziały o koniach książąt i dworu królewskiego, gdybyście były w Reims w roku 61, lat temu osiemnaście, podczas koronacji królewskiej. Najrozmaitsze rzędy i czapraki, jedne z adamaszku i złotogłowia, podbite sobolami, drugie z aksamitu, podbite gronostajami, inne znów wyszywane złotem i srebrem z takimiż dzwoneczkami! Ile to wszystko kosztowało pieniędzy! A ilu pięknych paziów na koniach.

— To nic nie znaczy — odparła sucho Oudarda — a jest rzeczą pewną, że Flamandzycy mają bardzo śliczne konie i że wczoraj byli na pysznej wieczerzy u burmistrza w Ratuszu, gdzie im dawano rozmaite cukry, grzane wino, korzenie i inne przedziwne łakocie.

— Ale, gdzie tam, sąsiadko! — zawołała Gerwaza — Flamandzycy nie byli wcale na wieczerzy u burmistrza, ale u kardynała w małym pałacu Burbońskim.

Tłusta Oudarda zbierała się na odpowiedź, gdy Mahietta zawołała nagle:

— Czy widzicie tych ludzi, co stoją tam przy moście?

— W samej rzeczy — rzekła Gerwaza — słyszę bębnienie. Zdaje mi się, że to mała Esmeralda pokazuje swoje sztuki z kozą. Prędszej, Mahietto! Spiesz się i ciągnij chłopca. Przyjechałaś tu do nas dla zobaczenia osobliwości Paryża. Wczoraj widziałas Flamandczyków, trzeba żebyś dzisiaj zobaczyła Cyganekę.

— Cyganekę! — zawołała Mahietta chwytając silnie za ramię swego synka. — A niech mnie Bóg uchwowa! Ukradnie mi jeszcze moje dziecko! Chodź, Eustaszku.

To rzekłszy podążyła szybko po nadbrzeżu w stronę Placu Stracenia, zostawiając most daleko za sobą. Tymczasem dzieciak, którego ciągnęła za rękę, pośliznął się; zatrzymała się zadyszana. Oudarda i Gerwaza dopędziły ją.

— Ta Cyganek miała ci ukraść dziecko? — rzekła Gerwaza. — Dziwne doprawdy masz urojenia!

Mahietta kiwnęła głową.

— Dziwna rzecz — zauważyła Oudarda — że pokutnica tak samo lęka się Cyganek.

— Cóż to za jedna, ta pokutnica? — zapytała Mahietta.

— Siostra Gudula — odpowiedziała Oudarda.

— Cóż to za jedna ta siostra Gudula? — pytała dalej Mahietta.

— Widać zaraz, że jesteś z Reims; jakże można tego nie wiedzieć! — odparła Oudarda.

— Jest to pokutnica ze Szczurzej Jamy.

— Jak to! — zawołała Mahietta — ta biedna kobieta, dla której niesiemy placek!

— Właśnie. Zaraz ją zobaczysz przez zakratowane okno wychodzące na Plac Stracenia. Nie wiadomo skąd się u niej wziął ten wstręt do Cyganów. Ale ty, Mahietto, dlaczego się tak boisz samego ich widoku?

— O — rzekła Mahietta tuląc głowę dziecka. — Nie chcę, aby mnie spotkało to, co spotkało Różę Perełkę.

— A, musisz nam opowiedzieć tę historię, moja dobra Mahietto! — zawołała Gerwaza biorąc ją pod rękę.

— Zgoda — odpowiedziała Mahietta — ale trzeba w samej rzeczy być paryżanką, żeby tego nie wiedzieć! Powiem więc wam, że Róża Perełka była śliczną osiemnastoletnią

dziewczyną w czasie kiedy i ja nią byłam, to jest, będzie temu lat już osiemnaście, a jej to własna wina, jeżeli dzisiaj nie jest tak samo jak ja pocziwą trzydziestosześcioletnią matką mającą męża i chłopaka.

Otóż była ona córką Guyberaud'a, minstrela w Reims, tego samego, który grał w obecności króla Karola VII podczas jego koronacji, gdy pospołu z Dziewicą Orleańską płynął po naszej rzece Vesle od Sillaty aż do Muison. Stary ojciec odumarał Różyczkę jeszcze dzieckiem; nie miała więc nikogo oprócz matki, siostry sławetnego Pradona, ślusarza i kotlarza, który mieszkał w Paryżu przy ulicy Parin-Garliri a umarł w roku zeszłym. Widzicie, że należała do dobrej rodziny Matka była pocziwą kobietą, ale na nieszczęście nie nauczyła Róży niczego. W roku 66, lat temu blisko szesnaście, właśnie w dzień św. Pawła Róża powiła dziewczynkę. Nieszczęsna! Była to dla niej wielka radość; od dawna już chciała mieć dziecko. Jej matka, dobra kobieta, umarła. Róża nie miała odtąd nikogo na świecie, kto by ją kochał ani kogo by kochała. Od lat pięciu była też to najnieszczęśliwsza istota na ziemi.

— Dobrze — zauważyła Gerwaza — ale gdzie są Cyganie?

— Poczekajże chwilę, Gerwazo! Dobry Bóg zlitował się więc nad nią i dał jej córeczkę. Nie będę wam mówiła o jej radości; był to wybuch łez, pieszczot i pocałunków. Matka szalała z miłości ku niej. Pieściła ją, całowała, myła, stroiła! Odchodziła od zmysłów patrząc na nią, dziękczynne modły niebiosom składała ... Szczególnie śliczne, małe, różowe jej nóżki były przedmiotem ciągłych zachwyty, zapamiętałych uniesień Perełki!

— Ładna to bardzo historia, nie przeczę — rzekła półgłosem Gerwaza — ale nie widzę w niej wcale Cyganów.

— Zaraz zobaczysz — odparła Mahietta. — Pewnego dnia przybyli do Reims dziwacni jeźdźcy. Byli to złodzieje i włóczęgi, przeciągający po kraju pod przewodnictwem swego księcia. Płeć mieli śniadą, włosy kędzierzawe i srebrne obrączki w uszach. Kobiety brzydsze jeszcze były od mężczyzn. Miały twarze ciemniejsze, nędzne kaftaniki na grzbietach, stare, sznurkami powiązane szmaty. Cała banda rozłożyła się obozem w bliskości bramy Braine, na wzgórzu gdzie się znajduje młyn. Tam to mieszkańcy Reims na wyścigi biegli ich oglądać, a oni obmacywali dłonie i dziwne każdemu pletli przepowiednie. Matki triumfowały, bo Cyganki wyczytywały z rąk ich dzieci najrozmaitsze cuda.

Jedno miało być cesarzem, drugie papieżem, inne wodzem. Biedna Perełka uległa także pokusie; i ona zapragnęła wiedzieć, czy czasami jej piękna Anielka nie będzie cesarzową Armenii, lub kimś w tym guście. Poniosła ją więc do Cyganów, a Cyganki dawajże się nią zachwycać, całować, podziwiać jej małe rączki, ku wielkiej radości matki. Wynosiły szczególnie jej drobne nóżki i ładne trzewiczki. Dziewczynka nie miała jeszcze roku; ale już szczebiotała, śmiała się do matki, była okrągłutka, pulchniutka i robiła minki tak czarujące, że choć do rany przyłóż! Nazajutrz, korzystając z chwili kiedy dziecko spało, zostawiła drzwi lekko przymknięte i pobiegła do sąsiadki, mieszkającej przy ulicy Sechesserie, opowiedzieć jak to przyjdzie dzień, w którym Anielce posługiwać będą u stołu król angielski i książę Etiopii oraz wiele innych niespodzianek. Gdy szła z powrotem, nie słysząc na schodach krzyku dziecka pomyślała sobie: Dobrze! mała się nie przebudziła. Drzwi znalazła bardziej; uchylone niżli zostawiła przy wyjściu; miała



jednak siły przestąpić próg i pobiec do łóżeczka... Dziecka w nim nie było. Po Anielce nic nie zostało, nic, oprócz ładnego małego trzewiczka. Matka wypadła z pokoju, zleciała ze schodów i zaczęła głową tłuc o ściany. „Moje dziecko! — krzychała — kto wzięło moje dziecko?” Ulica była pusta, dom odosobniony, nikt jej nie odpowiadał. Chodziła po mieście, przebiegała ulice dzień cały, szalona, nieprzytomna jak dzikie zwierzę po stracie swych małych. Zadyszana, z rozpuszczonymi włosami, przerażająca, z oczami, których ogień suszył łzy, zatrzymywała przechodniów wołając: „Moja córka! moja córka! Moja śliczna mała Anielka! Będę niewolnicą tego, kto mi odda moją córkę!” Spotkawszy proboszcza z Saint-Remy rzekła do niego: „Księżę proboszczu, będę paznokciami orała ziemię, ale wróć mi moje dziecko!” Był to rozdzierający widok, Oudardo. Widziałam człowieka bardzo twardego serca, prokuratora Lacabre'a, jak płakał rzewnymi łzami. Biedna matka !... Wieczorem wróciła do siebie. Podczas jej nieobecności jedna z sąsiadek widziała dwie Cyganki wchodzące ukradkiem do jej mieszkania z jakimś zawiniątkiem w rękach; po chwili wyszły i śpiesznie się oddaliły.

Po tych odwiedzinach u Perelki dały się słyszeć krzyki dziecięce. Matka wybuchnęła śmiechem radosnym, wbiegła, a raczej wleciała po schodach na górę, wywaliła drzwi i weszła... strach pomyśleć, Oudardo! Zamiast jej ślicznej małej Anielki, tak zdrowej, tak świeżej, jakiś mały potwór odrażający, kulawy, ślepy kaleka czołgał się piszcząc po podłodze. Perelka z przestachu zakryła sobie oczy. „O — zawołała — czyżby te czarownice przemieniły moją córkę w to straszliwe zwierzę”. Pośpieszono wynieść straszdyło, bo mogło doprowadzić ją do wściekłości. Było to dziecko jakiejś Cyganki, powite diabłu. Zdawało się mieć około czterech lat i mówiło nieludzkim językiem... Perelka rzuciła się na mały trzewiczek, który jeden tylko jej został z tego wszystkiego co kochała. Długo leżała na nim nieruchoma, niema, bez oddechu; sądzono, że umarła. Nagle zadrżała całym ciałem, pocałunkami pokryła drogą pamiątkę i zalała się tak obfitym potokiem łez, jakby jej serce pękło. Wierście mi, i my byśmy wszystkie tak płakały. Mówiła: „O, moja córko! Moja piękna, mała Anielko, gdzie ty teraz?” Dziś jeszcze mi łzy płyną na samo wspomnienie. Perelka nagle się podniosła i pobiegła przez miasto krzyżąc: — „Do obozu Cyganów! do obozu Cyganów! Dajcie mi żołnierzy! Spalić te czarownice!” — Cyganie już byli daleko. Noc ciemna zapadła. Nie można było ich gonić. Nazajutrz o dwie mile od Reims w zaroślach między Gueux a Tilloy znaleziono resztki wielkiego ogniska, kilka wstążek, które należały do dziecka Perelki i ślady krwi. Perelka, gdy się dowiedziała o tych strasznych rzeczach, ani jednej już łzy nie wylała, tylko poruszała ustami jakby chciała mówić, ale nie mogła. Nazajutrz jej włosy były siwe. Na drugi dzień znikła.

— W samej rzeczy, to okropna historia — rzekła Oudarda. Po chwili Gerwaza zapytała:

— I nie można było dowiedzieć się, co się stało z Perelką?

Mahietta nic nie odpowiedziała. Gerwaza powtórzyła pytanie potrząsając ją za rękę i nazywając po imieniu. Mahietta jakby się przebudziła z zamyślenia.

— Co się stało z Perelką? — rzekła powtarzając machinalnie wyrazy. — A, to dla wszystkich pozostało tajemnicą.

— A mały trzewiczek? — zapytała Gerwaza.

— Znikł razem z matką.

— Biedny mały trzewiczek! — westchnęła Oudarda.

Oudarda, czuła kobiecina, poprzestałaby chętnie na wzdychaniu w towarzystwie Mahietty; lecz ciekawsza od niej Gerwaza nie wyczerpała jeszcze wszystkich swoich pytań.

— A potwór? — odezwała się nagle do Mahietty.

— Jaki potwór?

— Mały potwór cygański, którego czarownice zostawiły u Perelki? Coście z nim zrobiły? Spodziewam się, że utopiliście go.

— Bynajmniej — odrzekła Mahietta.

— Jak to! Więc spaliłyście? Może to nawet lepiej. Dziecko czarownicy!

— Ani to, ani tamto, Gerwazo. Arcybiskup ulitował się nad dzieckiem Cyganki, wyegzorcyzmował je, pokropił święconą wodą, wypędził starannie diabła z jego ciała i posłał do Paryża z poleceniem położenia go na ławie przy kościele Najświętszej Panny, jako podrzutka.

— Och, ci biskupi! — mruknęła Gerwaza. — Pod pretekstem, że są uczeni, wszystko robią nie tak jak inni. No, pytam się, Oudardo, jakże można posyłać diabła do domu podrzutek. Bo nie ma wątpliwości, że ten mały potwór był diabłem. I cóż, Mahietto, co z nim zrobiono w Paryżu? Jestem przekonana, że żadna osoba miłosierna wziąć go nie chciała.

— Nie wiem — powiedziała Mahietta — właśnie w tym czasie mój mąż kupił notariuszostwo w Beru, o dwie mile za miastem i więcej już nie zajmowałyśmy się tą sprawą. Ale, ale — wykrzyknęła — zapominamy o pokutnicy. Pokażcie mi waszą Szczurzą Jamę, niechże tam oddam placek.

Gdy przystąpiły do wieży Rolandowej, Oudarda rzekła do swoich towarzyszek:

— Nie zbliżajmy się wszystkie trzy na raz do otworu, żeby jej nie przestraszyć.

Udawajcie obie, że czytacie Dominus w brewiarzu, podczas gdy ja będę patrzyła przez okienko; pokutnica zna mnie trochę. Uprzedzę was, kiedy będziemy mogły podejść. Sama stanęła przy okienku i po chwili skinęła na Mahietkę. Mahietta zbliżyła się wzruszona.

Widok przedstawiający się oczom dwóch kobiet był w samej rzeczy smutny.

Cela wąska, sklepiona w ostrołuk. W kącie, na gołej kamiennej podłodze siedziała skulona kobieta. Podbródek miała oparty na kolanach, które skrzyżowanymi rękami przyciskała do piersi. Zaledwie można było rozpoznać pod jej włosami surowy profil.

Trzy kobiety — gdyż Gerwaza przyłączyła się niebawem do Mahietty i Oudardy — patrzyły przez otwór. Chociaż ich głowy pozbawiały celę światła, nieszczęśliwa istota nie zwracała na nie najmniejszej uwagi.

— Nie zakłócajmy jej spokoju — rzekła półgłosem Oudarda. — Modli się.

Mahietta jednak ze wzrastającym zajęciem wpatrywała się w tę twarz wynędzniałą i zwiędłą.

— To byłoby nie do uwierzenia — mruzczała.

Gdy się odwróciła od okienka, jej twarz była zalana łzami.

— Jak nazywacie tę kobietę? — zapytała Oudardy. Oudarda odrzekła:

— Siostrą Gudulą.

— A ja — dodała Mahietta — nazywam ją Różą Perelką.  
I kładąc palec na usta dała znak zdumionej Oudardzie, aby popatrzyła uważnie.  
Oudarda posłuchała i spostrzegła w kącie mały trzewiczek z różowego atłasu, pokryty złotymi i srebrnymi wyszyciami.  
Po Oudardzie spojrziała Gerwaza i wtedy trzy kobiety patrząc na nieszczęśliwą matkę zaczęły płakać.  
Gerwaza, najciekawsza z trzech, zawołała: — Siostro! Siostro Gudulo!  
Z kolei Oudarda zawołała:  
— Siostro! Siostro! Święta Gudulo! Toż samo milczenie.  
— Dziwna kobieta — wykrzyknęła Gerwaza.  
Eustaszek, zdjęty także ciekawością, wskoczył na kamienny słupek, podniósł się na palcach i zbliżając swoją pulchną i różową twarzyczkę do otworu zawołał:  
— Mamo, niechże i ja zobaczę!  
Na ten głos dziecięcy, świeży i dźwięczny, pustelnica drgnęła. Gwałtownym ruchem odwróciła głowę, długimi wychudłymi rękami odgarnęła włosy z czoła i utkwiała w dziecku wzrok zdziwiony, gorzki, zrozpaczony.  
— O, mój Boże! — zawołała nagle, tuląc głowę do kolan.  
— Dzień dobry pani — przemówił poważnie Eustaszek.  
— Biedna kobieto! — wymówiła litościwie Oudarda — czy chcesz trochę ognia?  
Pustelnica wstrząsnęła głową na znak odmowy.  
— A więc — dodała Oudarda — oto wino, które cię rozgrzeje; napij się.  
Znowu wstrząsnęła głową, wpatrzyła się w Oudardę i odrzekła:  
— Wody. Oudarda nastawała:  
— Nie, siostro, trzeba wypić trochę wina i zjeść ten placek z kukurydzy, który upiekliśmy dla ciebie.  
Pustelnica odepchnęła placek, który Mahietta jej podawała, i rzekła:  
— Chleba czarnego.  
Gerwaza ulegając także litości zdjęła z siebie narzutkę wełnianą.  
— Oto masz okrycie cieplejsze od twego — rzekła — zarzuć to na plecy.  
Pustelnica odrzuciła płaszczyk, podobnie jak odepchnęła butelkę z winem i placek i odpowiedziała:  
— Wór.  
— Ale musiałaś spostrzec — ciągnęła dobra Oudarda — że wczoraj było święto.  
— Spostrzegam to — odparła pustelnica — już od dwóch dni nie ma wody w moim dzbanku.  
Po chwili milczenia dodała:  
— Święto; zapominają o mnie. Dobrze robią. Dlaczegoż by świat miał o mnie pamiętać, kiedy ja o nim wcale nie myślę.  
I jakby zmęczona tym co powiedziała, opuściła znowu głowę na kolana. Prosta a litościwa Oudarda, której się zdawało, że pustelnica w ostatnich swoich słowach uskarżała się na zimno, odrzekła prostodusznie:  
— Więc chcesz trochę ognia?

Pustelnica nagle podniosła się na kolana, wyciągnęła swoją wychudłą rękę ku dziecku, które spoglądało na nią ze zdziwieniem, i wykrzyknęła:

— Weźcie stąd to dziecko. Cyganka idzie.

To powiedziawszy padła twarzą na ziemię. Po chwili poruszyła się; ujrzały ją pełzającą na kolanach aż do kąta, gdzie się znajdował mały trzewiczek. Wtedy zabrakło im odwagi patrzeć na nią; nie widziały jej, ale słyszały tysiączne pocałunki i tysiączne westchnienia, zmieszane z rozdzierającymi krzykami i głuchymi uderzeniami, podobnymi do uderzeń głową o mur.

— Siostró Gudulo! — powtórzyła Oudarda.

— Zaczekajcie — rzekła Mahietta, po czym zbliżając się do okienka zawołała: — Rózo, Rózo Perelko!

Pustelnica drgnęła, wyprostowała się i podskoczyła do otworu z oczami tak roziskrzonymi, że Mahietta z dzieckiem, Oudarda i Gerwaza odskoczyły ku ogrodzeniu nadrzecznemu.

Ukazała się straszliwa twarz pustelnicy przy kracie.

— O, o! — wykrzyknęła z okropnym śmiechem. — Cyganka mnie woła!

W tejże atoli chwili scena odbywająca się pod pręgierzem przyciągnęła jej wzrok.

— To jeszcze ty? — zawołała. — To ty mnie wołasz, złodziejko dzieci! A więc bądź przeklęta, przeklęta, przeklęta!

## ROZDZIAŁ X

### ŁZA ZA KROPLĘ WODY

Ostatnie słowa były niejako łącznikiem między dwiema scenami, które rozgrywały się dotychczas jednocześnie, każda na właściwej sobie widowni; jedna ta, którą opisaliśmy w Szczurzej Jamie; druga, którą mamy opisać, na stopniach pręgierza. Świadcami pierwszej były tylko trzy kobiety; druga — miała za świadków całą publiczność, gromadzącą się na placu Greve.

Tłum, wyćwiczony w oczekiwaniu na publiczne egzekucje, nie objawiał zbyt wielkiej niecierpliwości. Oglądanie pręgierza, murowanego czworoboku wysokości dziesięciu stóp, wewnątrz' pustego, służyło mu za rozrywkę. Kamiennie strome schody, zwane drabinką, prowadziły na pomost, na którym znajdowało się koło z drzewa dębowego, umieszczone poziomo. Skazanego przywiązywano do tego koła w postawie klęczącej ze związanymi w tył rękami. Słup wprawiony w ruch za pomocą kołowrotu znajdującego się wewnątrz czworoboku, obracał kołem, które w ten sposób przedstawiało kolejno twarz skazanego wszystkim stronom placu; to właśnie nazywano „kręceniem” przestępcy. Delikwent przybył nareszcie przywiązany do tyłu wozu, gdy go wniesiono na pomost, gdy ze wszystkich stron placu ujrzano go skrępowanego powrozami i pasami na kole pręgierza, okropny okrzyk zmieszany ze śmiechem rozległ się na placu. Poznano Quasimoda.

Michał Noiret, trębacz przysięgły króla Jegomości, nakazał milczenie tłumowi i ogłosił wyrok, stosownie do postanowienia i rozkazu kasztelana. Po czym usunął się nieco na stronę, za wóz, razem ze swoimi pomocnikami ubranymi w opończe urzędowe.

Quasimodo obojętny pozwolił się prowadzić, popychać, nieść, wiązać i zawiązywać powtórnie. Na jego twarzy nie można było wyczytać nic prócz zdumienia człowieka dzikiego lub idioty. Wiedzano, że głuchy; teraz rzekłby kto jeszcze, że ślepy. Kazano mu uklęknąć na okrągłej desce; ukląkł. Obnażono go do pasa; nie sprzeciwił się wcale. Okręcono go nową siecią powrozów i pasów; pozwolił i na to. Tylko od czasu do czasu rzeźił głośno jak ciele, którego zwieszony łeb bije o brzeg rzeźniczego wozu. — Bałwan — rzekł Jan Frollo du Moulin do swego przyjaciela, Robka Poussepain. Na widok gołego garbu Quasimoda, jego wielbłądziej piersi, kosmatych i kościstych ramion, tłuszcza wybuchnęła śmiechem. Na pomoście ukazał się człowiek w mundurze grodzkim, niskiego wzrostu ale barczysty i stanął za delikwentem. Jego nazwisko przelatywało z ust do ust wśród obecnych. Był to Pierrat Torterue, przysięgły kat Kasztelu.

Zaczął od postawienia na rogu pręgierza czarnej klepsydry, której górna część była napełniona czerwonym piaskiem, przesypującym się do części dolnej; następnie zrzucił z siebie kaftan i wtedy ujrzano w jego prawej ręce kańczug z białych rzemieni, błyszczących, węzłowatych. Lewą dłonią zakasywał niedbale rękaw koszuli około ręki prawej aż do pachy.

Nareszcie koło zaczęło się obracać, Quasimodo zachwiał się pod powrozami. Wyraz osłupienia, jaki nagle jego potworna twarz przybrała, powiększył jeszcze wesołość tłumu. Wtem, w chwili gdy koło obracając się pokazało katowi garbaty grzbiet Quasimoda, Pierrat podniósł ramię; cienkie rzemienie syknęły ostro w powietrzu jak gadziny i spadły na plecy nieszczęśliwego.

Quasimodo drgnął i zwinął się jakby nagle ze snu zbudzony. Zaczynał pojmować. Skręcił się w swych więzach; gwałtowna boleść i zdziwienie skurczyły mięśnie jego twarzy, ale nie wydał ani jednego jęku. Głową tylko rzucał to w tył, to na prawo, to na lewo, obracając nią jak byk ukąszony przez szerszenia.

Drugie uderzenie nastąpiło po pierwszym, później trzecie, czwarte, piąte, bez końca. Po jakimś czasie Quasimodo odzyskał, na pozór przynajmniej, pierwotną swą obojętność. Z początku próbował zerwać więzy. Widziano jak się wyprężyły mięśnie, a stężały pasy i łańcuchy. Ale stare powrozy kasztelańskie zatrzeszczały i nic więcej. Quasimodo skulił się wycieńczony. Na jego rysach gorzkie a głębokie zwątpienie zajęło miejsce osłupienia. Zamknął jedyne oko, spuścił głowę na piersi i leżał jak nieżywy. Od tej chwili ani drgnął. Nic już nie mogło go poruszyć.

Wreszcie woźny zamku czarno ubrany, na czarnym koniu, stojący przy stopniach pręgierza od początku egzekucji, wyciągnął swą hebanową laskę ku klepsydrze; kat się zatrzymał. Zatrzymało się i koło. Oko Quasimoda zaczęło się powoli otwierać. Biczowanie skończyło się.

Nagle Quasimodo poruszył znowu łańcuchami. — Wody! — powiedział. Młoda dziewczyna, dziwacznie ubrana, wyszła z tłumu. Szła z małą kozą, białą ze złoconymi rogami, a w ręku niosła bębenek góralski.

Zaiskrzyło się oko Quasimoda. Była to Cyganka, którą usiłował porwać poprzedniej nocy, i czuł, chociaż niewyraźnie, że za ten właśnie napad karano go teraz; co zresztą było błędem, gdyż karano go tylko za to, że miał nieszczęście być głuchy i że był sądzony

przez głuchego. Nie wątpił, że Cyganka przychodzi wyrzucić na nim swą zemstę jak i wszyscy inni.

W samej rzeczy ujrzał ją szybko wbiegającą po schodach. Gniew go dusił.

Młoda dziewczyna nie wyrzekłszy ani słowa zbliżyła się do delikwenta, który na próżno silił się uniknąć jej zbliżenia, a odwiązując od swego paska flaszkę podniosła ją łagodnie do spiekłych ust nieszczęśliwego.

Wtedy to oko, tak dotychczas suche i spalone, nabiegło dużą łzą, która spłynęła po potwornej, skurczonej rozpaczą twarzy. Była to, być może, pierwsza łza, jaką nieszczęśliwy wylał w swym życiu.

Zapomniał, że pić mu się chciało. Cyganka przytknęła flaszkę do ust Quasimoda.

Pociągnął łapczywie. Pragnienie jego było wielkie.

W tej właśnie chwili pustelnica spostrzegła przez otwór swej celi Cygankę na pomoście pręgiarza i rzuciła jej to straszne złorzeczenie:

— Bądź przeklęta! Przeklęta bądź! przeklęta! Esmeralda pobladła; chwiejąc się zeszła z rusztowania.

Głos pustelnicy ścigał ją jeszcze:

— Schodź, schodź, złodziejko! Wrócisz tam znowu!

— To zwykłe szaleństwo pustelnicy — tłumaczył sobie lud. I na tym poprzestano. Kobiety tego rodzaju wzbudzały obawę i dlatego też może uważane były za święte. W owym czasie nie lada kto śmiał napaść na tego, kto się modlił we dnie i w nocy.

Nadeszła chwila uwolnienia Quasimoda. Odwiązano go i tłum się rozproszył.

Okolo Wielkiego Mostu Mahietta, wracająca ze swymi dwiema towarzyszkami, zatrzymała się nagle.

— Ale, ale, Eustaszku, cóżś zrobił z plackiem?

— Mamo — odrzekło dziecko — gdy rozmawiałaś z tą kobietą co siedzi w celi, jakiś duży pies napoczał placek. Wtedy i ja także spróbowałem.

— Jak to! Wszystko zjadłeś?

— Mamo, to pies! Mówiłem żeby nie ruszał, ale on nie słuchał, więc ja także spróbowałem trochę.

— To nieznośny dzieciak — mówiła matka śmiejąc się i łajac zarazem. — Czy wiesz, Oudardo? On już sam objada nam wszystkie wiśnie z ogrodu. Jego dziadek powiada też, że będzie z niego wielki wódz... Niech cię raz jeszcze złapię na szkodzie! No, idźże, psotniku!

## ROZDZIAŁ XI

### O NIEBEZPIECZEŃSTWIE POWIERZANIA SWYCH TAJEMNIC KOZIE

Upłynęło kilka tygodni.

Było to w pierwszych dniach marca. Słońce opromieniało jeden z tych dni wiosennych, które mają w sobie tyle słodczy i piękna, że cały Paryż, wysypany na placach i ulicach, święci je jak niedzielę. W tych dniach jasności i pogody jest pewna godzina, kiedy fasada kościoła Najświętszej Panny staje się istotnie godna uwielbienia. Słońce znajduje się prawie naprzeciwko katedry. Promienie jego przybierają kierunek coraz bardziej poziomy,

podnoszą się powoli z placu, ścielą się prostopadle na fasadę i na ciemnym tle jej murów uwydatniają w ten sposób rzeźby, podczas gdy wielka tarcza środkowa zaczyna się rozplomieniać.

Naprzeciwko katedry, zaczerwienionej zachodzącym słońcem, na kamiennym balkonie nad bramą bogatego gotyckiego domu, który stanowił róg placu i ulicy Parois, kilka ślicznych młodych dziewcząt śmiało się i rozmawiało z wdziękiem i wesołością. Balkon, gdzie znajdowały się młode dziewczyny, łączył się z pokojem obitym skórą flamandzką ze złotymi ozdobami. Belki przecinając powalę równolegle, radowały oko niezliczoną ilością rzeźb malowanych i złoconych.

W głębi, obok wysokiego kominka, w fotelu z czerwonego aksamitu siedziała starsza pani de Gondelaurier. Przy niej stał młody człowiek postawy dosyć okazałej, chociaż tchnącej próżnością, jeden z tych młodzików, którzy podobają się młodym kobietom, ale na widok których ludzie poważni wzruszają ramionami. Ten młody kawaler miał na sobie świetny ubiór kapitana straży królewskiej.

Panny zajmowały część balkonu i część pokoju, siedząc jedne na poduszkach z utrechckiego aksamitu ze złotymi frendlami, inne — na stołkach z dębowego rzeźbionego drzewa. Każda z nich trzymała na kolanach róg szerokiej tkaniny, nad którą wspólnie pracowały.

Podczas gdy piękne panny starały się ściągnąć na siebie uwagę kapitana, on z przejściem czyścił łosiovą rękawicą kłamrę u swego pasa.

Od czasu do czasu starsza pani zwracała się ku niemu, a on odpowiadał jej jak mógł najgrzeczniej. Uśmiechy, znaki porozumienia pani Alojzy, spojrzenia, jakie rzuciła ukradkiem na swoją córkę Lilię, wskazywały, że chodziło tutaj o zaręczyny i o ślub, zapewne bliski, między młodym człowiekiem a Lilią. Ale oziębłość oficera była oczywistym dowodem, że ta sprawa mało go zajmuje. Cała jego postawa wyrażała obowiązek i znudzenie.

Pocziwa dama rozkochana w swej córce, jak każda zresztą matka, nie spostrzegła tej obojętności oficera i nie przestawała wychwalać przed nim niezrównanej zręczności, z jaką Lilia dziergała lub rozwijała motek.

— Patrz, kuzynku — rzekła przyciągnąwszy go do siebie za rękaw i szepcząc mu na ucho. — Spójrz na nią!

— W samej rzeczy — odparł obojętnie młody człowiek.

— Ależ przemów do niej — powiedziała pani Alojza popychając go naprzód. —

Powiedzże jej cokolwiek; stałeś się zbyt nieśmiały.

Możemy zapewnić czytelników, że nieśmiałość nie była ani cnotą ani wadą kapitana. Spróbował jednak uczynić to, czego od niego żądano.

— Piękna kuzynko — rzekł podchodząc do Lili — powiedz mi co przedstawia ten deseń, według którego wyszywasz.

— Kuzynie — odparła tonem urazy Lilia — już ci to powiedziałam trzy razy: grootę Neptuna.

— Cudowna robota! — zawołał.

Korzystając z tego Kolumba de Gaillefontaine, piękna blondynka o białej cerze, w sukni z niebieskiego adamaszku, odważyła się przemówić słówko do Lilii w nadziei, że kapitan jej odpowie.

— Kochana — rzekła — czy widziałaś kobierce w pałacu la Roche-Guyon?

— Czy to nie ten pałac, do którego przylega ogród Luwru?—wtrąciła śmiejąc się Diana de Chriseuil, która mając ładne ząbki, szczyrzyła je bez ustanku.

— I gdzie się znajduje duża, stara wieża dawnego okopu paryskiego? — dodała Amelotta de Montmichel, śliczna brunetka, mająca zwyczaj wzdychać bez powodu. W tej chwili Berangera de Champchevier, wysmukła siedmioletnia dziewczynka, która patrzyła na plac z balkonu zawołała:

— Lilio, jaka śliczna tancerka tańczy na bruku i bije w bęben!

W samej rzeczy odgłosy bębna dolatywały do pokoju.

— Zapewne jakaś Cyganka — rzekła Lilia zwracając niedbale głowę w stronę placu.

— Zobaczymy, zobaczymy! — zawołały żywo jej towarzyszki i pobiegły na balkon.

— Kuzynie, wszak opowiadałeś nam o małej Cygance, którą uratowałeś przed dwoma miesiącami, prowadząc patrol nocny, z rąk bandy złodziei?

— Zdaje mi się że tak, piękna kuzynko — odrzekł kapitan.

— A więc — mówiła dalej Lilia — może to ta sama Cyganka tańczy teraz na placu przed kościołem. Chodź, zobacz, kuzynie Phoebusie.

Tajemna chęć zgody przebijała w tym wezwaniu. Kapitan Phoebus de Chateaupers podszedł wolnym krokiem do balkonu.

— No — rzekła Lilia czule, kładąc rękę na ramieniu Phoebusa — przypatrz się tej małej co tańczy pośród tłumu. Twojaż aż to Cyganka?

Phoebus spojrział i odpowiedział:

— Tak, poznaję ją, bo i wtedy była z kozą.

— Patrz, Lilio! — zaszczebotała Berangera. — Jaki to czarny człowiek tam w górze.

Panny podniosły oczy. W istocie, jakiś człowiek stał przy najwyższym ogrodzeniu północnej wieży, od strony Placu Stracenia. Ksiądz najwyraźniej. Można było dokładnie rozpoznać jego ubiór i jego twarz. Stał nieruchomy jak posąg.

— To archidiakon! — rzekła Lilia.

— Masz dobre oczy, jeżeli go stąd poznajesz! — zauważyła panna de Gaillefontaine.

— Wpatruje się w tę małą tancerkę — zawołała Diana de Chriseuil.

— Niech się Cyganka ma na baczości, bo on nie lubi Cyganów! — dodała Lilia.

— Kuzynie Phoebusie — rzekła nagle Lilia — ponieważ znasz tę małą Cygankę, daj jej znak, żeby przyszła tutaj. To nas rozweseli.

— O tak, tak! — krzyknęły wszystkie panny klaszcząc w dłonie.

— Ależ to szaleństwo — odparł Phoebus. — Nie wiem nawet jak się nazywa. Jednak, ponieważ panie tego żądacie, spróbuję.

I wychylając się z balkonu zawołał.

— Hej, mała!

Tancerka nie tańczyła w tej chwili. Odwróciła głowę i wzrok jej padł na Phoebusa.

— Mała! — powtórzył kapitan i skinął na nią.



Młode dziewczę raz jeszcze spojrzało na niego, oblało się rumieńcem i skierowało się przez tłum zdumionych widzów ku bramie domu, z którego Phoebus ją wołał.

Po chwili zasłona u drzwi podniosła się i na progu komnaty stanęła Cyganka zapłoniona, z oczami spuszczoneymi, nie odważając się uczynić dalej kroku.

Ukazanie się jej sprawiło na młodych pannach silne wrażenie. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie miały ukrytą i niejasną chęć podobania się oficerowi i że od czasu jego przybycia istniało między nimi utajone współzawodnictwo, z którego zaledwie same zdawały sobie sprawę. Ponieważ jednak wszystkie były zarówno ładne, walczyły z sobą równą bronią i każda mogła spodziewać się zwycięstwa. Przybycie Cyganki zniszczyło tę równowagę. Była ona tak wyjątkowo piękna, że w chwili gdy się ukazała w drzwiach, zdawało się, iż opromieniła całą komnatę.

Toteż przyjęcie, jakiego doznała Cyganka, było nadzwyczaj zimne.

Kapitan pierwszy przerwał milczenie.

— Na honor — rzekł tonem zuchwałego lekceważenia — śliczne stworzenie! Jak sądzisz, piękna kuzynko?

Lilia odpowiedziała wzgardliwie:

— Niebrzydka! Inne szeptały.

Pani Alojza odezwała się do Cyganki:

— Zbliź się, mała!

— Zbliź się, mała! — powtórzyła Berangera z komiczną powagą, gdyż nie sięgała głową do stanika nowoprzybyłej.

— Śliczne dziecię! — rzekł z napuszeniem Phoebus. — Czy mnie poznajesz? I czy...

— O tak! — przerwała Cyganka.

— Ma dobrą pamięć — zauważyła Lilia.

— Bo też — mówił dalej Phoebus — zbyt prędko uciekłaś tamtego wieczora. Czy się mnie lękasz?

— O nie! — odparła.

— Zostawiłaś mi w zamian, moja piękna — ciągnął kapitan, któremu się język rozwiązał

— zostawiłaś jakiegoś garbusa, który, zdaje się, jest dzwonnikiem biskupa. I on to ośmielił się porwać cię! No proszę! Czego on chciał od ciebie, ten nietoperz? Hę, powiedz!

— Nie wiem — odrzekła.

— Matko Boska! — zawołała nagle pani Alojza — cóż ta się wałęsa pod drzwiami? Ach! Brzydkie zwierzę.

Była to koza, która szukając swej pani tylko co wpadła do pokoju i w drodze ku niej zawadziła różkami o stos materii.

Zdarzenie to pobudziło wszystkich do wesołości. Cyganka w milczeniu pomogła kozie wydostać się z matni.

— O, maleńka kózka ze złoconymi kopytkami! — krzyknęła Berangera skacząc z radości.

Tymczasem Diana pochyliła się do ucha Kolumby.

— Och, mój Boże! — mówiła półgłosem — jakże można było o tym zapomnieć. Toż to Cyganka, włócząca się z kozą. Mówią, że jest czarownicą i że jej koza pokazuje zadziwiające sztuki.

— A więc — odrzekła Kolumba — niechże teraz z kolei koza nas bawi!

Diana i Kolumba odezwały się z żywością do Cyganki:

— Mała, każ swej kozie, żeby nam pokazała jaką sztukę. W tej chwili Lilia spostrzegła woreczek ze skóry, zawieszony na szyi kozy.

— Co to takiego? — spytała.

Cyganka podniosła na nią swe duże oczy i odpowiedziała poważnie:

— To moja tajemnica.

— Chciałabym bardzo poznać tę twoją tajemnicę — pomyślała Lilia.

Wtem sędziwa matrona wstała niezadowolona.

— Cóż znowu — zawołała surowo do Cyganki — jeżeli ani ty ani twoja koza nie chcecie tańczyć, pocóżście tu przysły?

Dziewczyna bez żadnej odpowiedzi skierowała się z wolna ku drzwiom. Lecz im więcej się ku nim zbliżała, tym więźwiała kroku.

Jakiś niewidzialny magnes zdawał się zatrzymywać. Nagle zwilżone oczy podniosła na Phoebusa

— Dalibóg! — zawołał kapitan — tak się nie odchodzi. Wróc i potańcz nam trochę. Ale, ba! piękny amorku, jakże się nazywasz?

— Esmeralda!

Na to dziwne imię śmiech rozległ się między młodymi pannami.

— Dla dziewczyny to straszne imię — zawyrokowała Diana.

— A co, widzicie — rzekła Amelotta — że to czarownica.

Tymczasem Berangera nie zwracając na siebie niczyjej uwagi zwabiła kozę do kąta pokoju i zawiązawszy z nią przyjazną znajomość, już od kilku minut tam pozostawała. Ciekawe dziecko odwiązało zawieszony na szyi kozy woreczek, otworzyło i wypróżniło na dywan. Woreczek zawierał całe abecadło, którego każda litera była napisana na oddzielnej tabliczce bukszpanowej. Zaledwie tabliczki owe wysypały się na dywan, koza, której była to zapewne jedna ze sztuk, ku wielkiemu zdumieniu dziecka zaczęła wysuwać swoją złoconą nóżką niektóre litery i układać je zręcznie w pewnym porządku. W taki sposób powstał wyraz, w składaniu którego koza zdawała się być bardzo wprawna, gdyż utworzyła go bez wahania tak, że Berangera, składając ręce z zadziwienia, zawołała:

— Lilio, zobacz, jaką sztukę potrafi koza!

Lilia przybiegła i zadrżała. Ułożone na posadzce litery tworzyły wyraz:

## PHOEBUS

— Czy to koza napisała? — zapytała zmienionym głosem.

— Tak — odrzekła Berangera.

Nie podobna było wątpić; dziecko nie umiało czytać.

— Oto i jej tajemnica! — pomyślała Lilia.

Na okrzyk dziecka zbiegli się wszyscy, i matka i młode panny i Cyganka i kapitan.

Cyganka zarumieniła się, zbladła i odwróciła się od kapitana. Ten zdziwiony, spoglądał na nią z uśmiechem zadowolenia.

— Phoebus! — szeptały młode panny.

— Masz nadzwyczajną pamięć! — rzekła Lilia do Cyganki. Po czym, skrośszy i łkania, powiedziała z boleścią, zakrywając sobie twarz rękami:

— O, to czarownica! I upadła zemdlona.

— Moja córka! moja córka! — krzyknęła przestraszona matka. — Precz Cyganko! Precz stąd!

Cyganka zebrała nieszczęśliwe litery, skinęła na Dżali i wyszła przez jedne podwoje, podczas gdy przez drugie wynoszono Lilię.

Kapitan Phoebus pozostawszy sam, wahał się przez chwilę między jednymi a drugimi drzwiami, po czym udał się za Cyganką.

Księdzem, którego młode panny spostrzegły na szczycie północnej wieży, pochylonego nad placem i uważnie przypatrującego się tańczącej Cygance, był rzeczywiście archidiakon Klaudiusz Frollo.

Czytelnicy nasi nie zapomnieli zapewne o tajemniczej celi, jaką archidiakon wybrał dla siebie w tej wieży.

Codziennie na godzinę przed zachodem słońca archidiakon wchodził do tej celi i nocą całe niekiedy tam spędzał. Tego dnia w chwili gdy stanąwszy przed niskimi drzwiami wkładał do zamka mały kluczyk, który nosił zawsze przy sobie, odgłos bębna doleciał jego uszu. Odgłos ów szedł z placu kościelnego. Cella miała jedno tylko okienko, wychodzące na dach kościoła. Klaudiusz Frollo szybko wyjął klucz z zamka i po chwili znalazł się na szczycie wieży.

Stał tam poważny i nieruchomy. Jeden tylko punkt ścigał uwagę archidiakona: plac przedkatedralny; w całym tłumie jedna tylko postać go zajmowała: Cyganka.

Cyganka tańczyła sarabandy prowansalskie, kręcąc swój bębenek na końcu palca i podzuczając go w powietrzu.

Tłum mrowił się wokół niej. Od czasu do czasu mężczyzna w pąsowym kaftanie ustawiał publiczność w koło, po czym wracał do stołka o kilka kroków od tancerki i kładł na swe kolana głowę kozy. Z wysokości, na jakiej stał, Klaudiusz Frollo nie mógł rozpoznać jego rysów.

— Co to za człowiek? — mruknął przez zęby. — Widziałem ją zawsze samą.

To rzekłszy skrył się pod krętym sklepieniem schodów i zeszedł na dół. Przechodząc koło drzwi dzwonnicy ujrzał Quasimoda jak pochylony nad otworem jednego z daszków, tworzących rodzaj olbrzymich żaluzji, wyglądał również na plac. Był tak zajęty tym, na co patrzył, że wcale nie zauważył przybranego ojca. Jego dzikie oko miało szczególny wyraz: było pełne zachwyty i słodyczy.

— To nadzwyczajne — mruknął Klaudiusz. — Czyżby się tak przypatrywał Cygance? — I poszedł dalej. Po kilku minutach wyszedł na plac przez drzwi znajdujące się u dołu wieży.

— Gdzież się podziała Cyganka? — spytał mieszając się z gromadą widzów.

— Zdaje się, że poszła pokazywać swe sztuki do tego oto domu naprzeciwko, dokąd ją zawołano.

Archidiakon ujrzał tylko jegomościa w pąsowym kaftanie, który snadź dla zarobienia także kilku groszy, pełzał w kółko z rękami opartymi o biodra, głową odrzuconą w tył, twarzą czerwoną, szyją wyciągniętą i z krzesłem w zębach. Do tego krzesła przywiązał był kota, który miauczał ze strachu.

— Matko Boska! — zawołał archidiakon w chwili, gdy kuglarz oblany potem, przechodził koło niego. — Co tutaj robisz, Piotrze Gringoire?

Surowy głos archidiakona sprawił na biedaku tak silne wrażenie, że stracił równowagę.

Krzeselko i kot runęły na głowy widzom pośród nieopisanych okrzyków tłumu.

Prawdopodobnie Piotr Gringoire miałby ciężką rozprawę z właścicielką kota i z poszkodowanymi, gdyby nie skorzystał z zamieszania i nie ukrył się w kościele w ślad za Klaudiuszem Frolo, który nań skinął.

W katedrze było już ciemno i pusto, nawy boczne zalegał gruby mrok, a lampy kaplic migotały pod czarnym sklepieniem. Tylko wielka różnokolorowa tarcza fasady, przeszzyta poziomymi promieniami słońca, jaśniała w cieniu jak stos diamentów, miotając na drugą stronę głównej nawy, ku ołtarzowi, smugę olśniewających odblasków.

Archidiakon oparł się o filar i spojrzał na Gringoire'a.

— Zbliż no się, mości Piotrze. Musisz mi wiele rzeczy wytłumaczyć. A najprzód powiedz mi, co za przyczyna, żeś się nie pokazywał od dwóch blisko miesięcy i że zjawiasz mi się oto raptem na ulicy, w pięknym stroju zaprawdę! pół żółtym, pół czerwonym.

— Księżę archidiakonie, dobrodzieju! — zaczął Gringoire żałośnie — strój to w samej rzeczy dziwaczny i dlatego widzisz mnie zakłopotanego. Ale cóż chcesz, wielebny ojcze? Wina spada na mój stary surdut, który mnie nikczemnie zdradził w początkach zimy.

— Ślicznym trudnisz się przemysłem! — przerwał archidiakon — nie ma co mówić!

— Przyznaję, mistrzu, że lepiej filozofować i poetyzować, rozdmuchiwać ogień w piecu, lub otrzymywać takowy z nieba, niżli obnosić koty po ulicach. Ale cóż robić, mistrzu? Żyć trzeba, a najpiękniejsze wiersze aleksandryjskie nie zastąpią kawałka normandzkiego sera. Zawiązałem przyjazne stosunki z bandą żebraków i włóczędzów, którzy nauczyli mnie rozmaitych figlów, i oto obecnie co wieczór daję zębom chleb zarobiony przez nie w dzień w pocie czoła.

Archidiakon słuchał w milczeniu.

— Bardzo dobrze, mości Piotrze — zawołał — ale dlaczegóż teraz chodzisz w towarzystwie tej tancerki?

— Rzecz prosta! — odrzekł Gringoire. — Dlatego, że ona jest moją żoną, a ja jej mężem. Gringoire pośpieszył opowiedzieć mu jak można najkrócej wszystko co czytelnikowi już wiadomo.

— Moja żona, jeśli mam wierzyć staremu włóczędze, jest dzieckiem zgubionym, czy podrzuconym, co na jedno wychodzi. Nosi na szyi pewien szkaplerzyk, który ma jej dopomóc do znalezienia rodziców.

Nie zajmuje się wcale wróżbiarstwem i to ją chroni od zatargów z władzą, tak często się przydarzających Cyganom.

Przy tym, opowiadał Gringoire, w razach cięższych, on sam był dla niej bratem. Filozof, sumiennie rzecz biorąc, z ręką na sercu, nie był zupełnie pewny, czy się tak bardzo kochał w Cygance. Prawie tyleż kochał maleńką kozę. Było to zwierzątko miłe, zmyślne,

rozumne. Nic pospolitszego w średnich wiekach nad te uczone bestyjki; budziły one wszędzie wielkie zainteresowanie. Sztuki kozy o złożonych kopytach były bardzo niewinne. Gringoire objaśniał je archidiakonowi Najczęściej wystarczyło pokazać kozie jakiś figielek na bębenu, ażeby ta powtórzyła od razu sztukę. Wdrażała ją do tego wszystkiego Cyganka, posiadająca rzadkie zdolności w tym zakresie. Na przykład w dwa miesiące niespełna nauczyła kozę układać z ruchomych liter wyraz Phoebus.

— Phoebus! — rzekł ksiądz. — Dlaczego Phoebus?

— Nie wiem — odpowiedział Gringoire. — Być może, w jej mniemaniu wyraz ten posiada jakąś własność magiczną. Często powtarza go półgłosem, gdy sądzi, że jest sama.

— Czy jesteś pewny — zapytał Klaudiusz — że jest to tylko wyraz, a nie imię?

— Czyje imię? — odparł poeta. — Alboż ja wiem? — rzekł ksiądz.

— Oto co mi się zdaje, mistrzu, Cyganie czczą słońce. Stąd Phoebus.

## ROZDZIAŁ XII DZWONY

Od czasu sceny pod pręgierzem sąsiedzi katedry Najświętszej Marii Panny zauważyli, że zapał, z jakim dawniej Quasimodo dzwonił, znacznie ostygł. Poprzednio głos dzwonów rozlegał się przy lada zdarzeniu; wielka suma była prawdziwym koncertem gardłaczy, niedzielników i sygnaturek; wysokie gamy wydobywały się z dzwonów mniejszych przy ślubie, przy chrzcie, przy pogrzebie, zlewając się w powietrzu jakby w tkaninę to żalonych, to wesołych tonów. Czuło się obecność jakiegoś ducha muzyki i szaleństwa, który wyśpiewywał ongi przez te wszystkie usta spiżowe. Teraz zdawało się, że duch ów znikł; katedra sponępniała. Tak jakby dzwonnica straciła swego kapelmistrza. Quasimodo wszakże jej nie porzucił; czyżby zaszła więc jaka zmiana w nim samym? I jaka, mianowicie? Czy hańba i rozpacz, jakie go dotknęły na rusztowaniu, trwały jeszcze w głębi serca?

Zdarzyło się, że w roku 1482 Zwiastowanie przypadło we wtorek 25 marca. Dnia tego powietrze było tak czyste i tak lekkie, że w sercu Quasimoda odezwała się jego dawna miłość do dzwonów. Raźniej tedy nieco wstępował na północną wieżę, podczas gdy stróż kościelny otwierał na oścież podwoje katedry.

Doszedłszy do najwyższej klatki dzwoniczej Quasimodo spoglądał czas jakiś na sześć dzwonów, smutnie kiwając głową, jak gdyby ubolewał nad tym, że coś obcego wyrosło w jego sercu między nim a nimi. Lecz gdy wprowadził je w ruch, gdy ujrzał jak drgająca oktawa wznosiła się i spadała po hucznej skali, niby ptak przeskakujący z gałęzi na gałąź, gdy Duch-muzyka, potrząsający roziskrzonym pękiem spiżowych basów, kwint, trel, dźwięków sygnaturkowych, porwał i opętał głuchego dzwonnika, wtedy biedak uczuł się znów szczęśliwy, zapomniał o wszystkim i rozkosz rozpromieniła jego oblicze. Chodził, rzucał się, klaskał w dłonie, biegał od sznura do sznura, głosem i ruchem zachęcał sześciu śpiewaków jak przywódca orkiestry pobudzający swoją kapelę.

— No, Gabrielo — mówił — wylej dziś wszystkie swe dźwięki na miasto! Wszak to święto... Mikołajku, nie próżnuj! Cóż ustajesz? Dźwoń, dźwońże, czyś zardzewiał, hultaju?... Dobrze! Prędeż! Tak, żeby serca nie widziano... Wybornie, Grześku, tak jest,

śmiało!... Wilhelmie! Wilhelmie! Tyś największy, a Pafnucy, który jest najmniejszy, lepiej od ciebie dzwoni. Założyłbym się, że ci co słuchać mogą, słyszą go lepiej. Dobrze, dobrze! Gabrielo, silniej! Jeszcze silniej!... E, cóż wy tam robicie, wy dwaj w górze? Wróble! Nie wydajecie najmniejszego dźwięku... Cóż to za dzioby miedziane, które zdają się ziewać, kiedy śpiewać trzeba? Hej, do pracy!... Toż Zwiastowanie. Słońce świeci, grajcie dzwony... Biedny Wilhelmie! Tchu ci już braknie, mój gruby przyjacielu. Nagle, rzucając od niechcienia okiem przez jeden z otworów pomiędzy szerokimi dachówkami, pokrywającymi na pewnej wysokości prostopadły mur dzwonnicy, ujrzał na placu dziwacznie przystrojoną młodą dziewczynę, przy niej małą kozę, leżącą na rozestłanym kobiercu, a wokół dziewczyny i kozy gromadzący się tłum ciekawych. Widok ten zmienił raptownie bieg jego myśli i zgasił jego zapal muzyczny. Stał, odwrócił się plecami do dzwonów, przytulił twarz do otworu i utkwiał w tancerce spojrzenie czule i słodkie, które już raz zadziwiło archidiakona. Tymczasem zapomniane dzwony zamilkły jeden po drugim, ku wielkiej przykrości miłośników muzyki dzwonów, którzy z mostu z żywym zadowoleniem przysłuchiwali się grze Quasimoda.

## ROZDZIAŁ XIII ANANKE

Pewnego pięknego poranka tegoż samego miesiąca marca nasz młody przyjaciel, Jan Frollo zwany Wiatrakiem, spostrzegł ubierając się, że jego spodnie, w których chował sakiewkę, nie wydawały żadnego metalicznego dźwięku. Ubierał się smutny. Gdy wkładał trzewiki, zaświtała mu w głowie pewna myśl. — Pal go lichu! Niech się stanie, co się ma stać. Pójdę do brata! Będę miał kazanie, ale i dukat będzie. Po tych słowach zarzucił pośpiesznie na plecy opończę podbitą futerkiem, chwycił czapkę i wybiegł. Przeskoczywszy przez Mały Most, przebiegłszy przez ulicę Neuve-Sainte-Genevieve, Jan znalazł się przed kościołem Najświętszej Panny. Tu zatrzymał jakiegoś kościelnego posługacza. — Gdzie jest archidiakon Klaudiusz? — Sądzę, że jest na wieży — odrzekł posługacz — ale nie radziłbym waszmości przeszkadzać mu. Jan klasnął w dłonie. — Dalibóg! Świetna sposobność obejrzenia sławnej jaskini czarnoksiężskiej. Podniecony tą myślą śmiało wstąpił na kręte schody prowadzące na górne piętra wieży. Niebawem znalazł się w korytarzyku u niskich, ostrołukowych drzwi opatrzonych w olbrzymi zamek i mocne, żelazne okucia. — Uf! — westchnął — to zapewne tutaj. Klucz był w zamku; drzwi tuż przed nosem; pchnął je z lekka i wsunął głowę. W celi siedział ktoś schylony nad stołem.

Jan poznał swego brata. Drzwi otworzyły się przecież tak cicho, że Klaudiusz nie spostrzegł jego obecności.

Całość izdebki przedstawiała widok opuszczenia; zły stan sprzętów pozwalał przypuszczać, że gospodarza odwiodły od dbałości o porządek inne kłopoty. Jakoż on sam pochylony nad ogromnym rękopisem, zdobnym w dziwne malowidła, zdawał się być dręczony jakąś namiętnością. Tak przynajmniej sądził Jan, posłyszawszy jego monolog głuchy i przerywany:

— Tak jest, Manu to powiada, Zoroaster tego nauczył! Słońce rodzi się z ognia, księżyc ze słońca, ogień jest duszą wszystkiego. Światło ... złoto; jedno i to samo! Ogień w stanie okrzepłym ... To nie są marzenia... to ogólne prawo natury... Ale jak pochwycić tajemnicę tego prawa?

— Do diabła — mruknął Jan — oto dukat, na który nie każdy umiałby czekać.

— ... Inni sądzili — mówił dalej archidiakon — że lepiej jest próbować doświadczeń na promieniach Syriusza. Promienie te atoli rzadko kiedy znajdują się w stanie czystym, z powodu jednoczesnej obecności innych gwiazd. Flamel mniema, że ogień ziemski najzdatniejszy byłby do tego rodzaju operacji... Flamel! Imię, rzeczywiście, wybrane...

Flamel — Flamma !... Tak jest, ogień. Nic więcej ... Diament znajduje się w węglu, złoto w ogniu...

Zamknął gwałtownie księgę.

Ręką potarł czoło, jakby dla opędzenia się od prześladujących go mar. Następnie wziął ze stołu gwóźdź i mały młotek z rączką, pokrytą kabalistycznymi znakami.

— Od niejakiego czasu — rzekł z gorzkim uśmiechem — nie udają mi się już żadne doświadczenia! A jednakże chodzi tylko o odnalezienie magicznego wyrazu, który Zechiele wymawiał, uderzając w swój gwóźdź.

— Fraszka! — pomyślał Jan.

— Mniejsza o to, spróbujemy — mówił żywo archidiakon. — Jeżeli mi się uda, iskierka błękitnawa wytryśnie z główki gwoździa ... Emen-Hetan! Emen-Hetan !... Nie, nie to... Sigeani! Sigeani! Niech gwóźdź ten otworzy grób osobie noszącej imię Phoebusa... Przekleństwo! ciągle, zawsze, wiecznie ta sama myśl!...

I z gniewem cisnąwszy młotek, tak się na swój fotel osunął, że Jan stracił go z oczu za ogromnym oparciem krzesła. Przez minut kilka widział tylko pięść jego konwulsyjnie zaciśniętą na księdze. Nagle Klaudiusz wstał, porwał za cyrkiel i w milczeniu wyrzył na ścianie wielkimi literami ten oto wyraz grecki:

## ANANKE

— Mój brat oszalał — rzekł w duchu Jan. Bez porównania prościej było napisać Fatum; nie wszyscy przecież obowiązani są umieć po grecku.

Archidiakon znów utonął w krześle, biorąc głowę w dłoń.

Żak spoglądał na brata ze zdziwieniem. Potem cofnął się po cichu od drzwi i zaczął szurać i tupać nogami jak człowiek, chcący uprzedzić o swoim przybyciu.

Archidiakon odwrócił się.

— To ty, Janku?

— Do usług brata! Klaudiusz zasepił się.  
— Po coś tu przybył?  
— Mój bracie — odrzekł młodzieniec starając się przybrać minę przyzwoitą i skromną. — Chciałem cię właśnie prosić...  
— O co?  
— O trochę nauki moralnej, której bardzo potrzebuję. — Jan nie śmiał dodać głośno: — „I trochę pieniędzy, których potrzebuję jeszcze bardziej”.  
— Jestem bardzo z ciebie niezadowolony — rzekł archidiakon zimno.  
— Niestety! — westchnął Janek.  
— Janku, odbieram co dzień skargi na ciebie. Co znaczy ta bójka, w której pokaleczyłeś małego wicehrabiego Alberta de Ramonchamp?  
— E! — odparł Jan — wielka mi rzecz, jakiś nędzny paż, który się bawił obryzgiwaniem żaków, galopując po błocie!  
— A cóż mi powiesz — ciągnął archidiakon — o tym Mahiecie Fargelu, któremu rozdarłeś odzież?  
— A ba! Jakaś licha kapota! Czy nie o tym mówicie?  
— W skardze powiedziano tunicam, nie zaś cappettam. Czy umiesz po łacinie?  
Jan nic nie odpowiedział.  
— Tak jest — zawołał ksiądz kiwając głową. — Oto więc, w jakim stanie znajdują się obecnie nauki i literatura. Język łaciński zaledwie rozumiany, syryjski nieznan, grecki tak nielubiany, że najuczciwsi nie wstydzą się przeskakiwać przez wyraz grecki, nie umiejąc go odczytać nawet, tak iż w przysłowiu już poszło: Graecum est, non legitur.  
Żak śmiało podniósł oczy.  
— Mój bracie, czy chcesz abym ci wytłumaczył dobrą francuszczyznę znaczenie napisanego tam na murze wyrazu greckiego?  
— Jakiego wyrazu?  
— ANANKE.  
Lekki rumieniec pokrył policzki archidiakona.  
— Dobrze, Janie — wycodził starszy brat z trudem. — Powiedz, co znaczy ten wyraz?  
— Fatalizm.  
Bładość wróciła na twarz Klaudiusza, a Jan mówił dalej niedbale:  
— A ten wyraz niżej, wyryty tą samą ręką, ANNTENEIA znaczy nieczystość. Widzisz, bracie, że język grecki nie jest mi zupełnie obcy.  
Archidiakon milczał. Ta lekcja greckiego języka wprawiła go w zdumienie. Młody Jan, sprytny jak każde zepsute dziecko, osądził, że chwila była dogodna dla wyrażenia prośby. Głosem więc jak najśłodszy rzekł:  
— Mój dobry bracie, czyliż więc już wcale mnie nie kochasz, że się tak srożysz na mnie za parę nędznych kuksańców, rozdanych w dobrej sprawie, nie pamiętam już jakim chłopcom i bałwanom?  
Cała ta pieścizna obluda nie wywarła na surowym starszym bracie zamierzonego wpływu.  
— Do czego to wszystko zmierza? — zagadnął sucho.  
— A więc! Oto do czego! — odrzekł odważnie Jan. — Potrzebuję pieniędzy.



Na to bezwstydnie oświadczenie twarz archidiakona przybrała wyraz mentorski i ojcowski.

— Wiesz, że nasza ziemia Tirechappe razem z czynszem z dwudziestu i jednej chaty nie przynosi więcej nad trzydzieści dziewięć lirów, jednaście sous, sześć denarów paryskich. Suma ta jest dwa razy większa niż z czasów dzierżawy braci Paclet, ale nie jest bynajmniej wystarczająca.

— Potrzebuję pieniędzy — rzekł obojętnie Jan.

— I na cóż ich potrzebujesz?

— Ano, więc cóż — zawołał Jan — potrzebuję pieniędzy, żeby się zabawić dzisiejszego wieczora z Izabelką Thierrye w Rajskiej Dolince.

— Rozpustniku! — wykrzyknął ksiądz.

W tej chwili dały się słyszeć kroki na schodach.

— Cicho! — rzekł archidiakon kładąc palec na ustach. — Mistrz Jakub idzie. Słuchaj, Janie — dodał zniżonym głosem — nie waż się nigdy mówić o tym, co tu posłyszysz lub zobaczysz. Schowaj się czym prędzej pod piec i ani słówka!

Żak bez oporu wsunął się pod piec; w kryjówce tej atoli przyszła mu myśl płodna w następstwa.

— Ale, ale, bracie Klaudiuszu, musisz mi dać dwuzłotówkę, żebym milczał.

— Cicho! będziesz ją miał.

— O nie! Zaraz!

— Masz, do stu par! — rzekł archidiakon ciskając mu z gniewem sakiewkę.

Jan wsunął się do kryjówki. Drzwi się otworzyły.

Mężczyzna wchodzący ubrany był czarno, a wyraz twarzy miał ponury. Zupełnie już prawie siwy, pomarszczony, zdawał się mieć lat około sześćdziesięciu. Był to prokurator królewski.

— Dzień dobry, mistrzu Jakubie.

— Do stóp się ściele, mistrzu — odpowiedział człowiek w czerni.

— I cóż? — odezwał się archidiakon. — Cóż ten Marek Cenaine? Czy przyznaje się do czarnoksięstwa? Czy badanie poskutkowało?

— Gdzie tam! — odpowiedział mistrz Jakub. — Ten człowiek to kamień; prędzej da się ugotować niżli co powie. Używamy wszakże wszelkich środków, aby dojść do prawdy. Nic nie pomaga; straszny to człowiek. Nie wiem już co począć.

— Nie znaleźliście nic nowego w jego domu, panie Charmolue?

— Owszem. Znaleźliśmy ten oto pergamin.

To mówiąc Jakub Charmolue rozwinął pergamin.

— Dajcie no — rzekł archidiakon, a rzuciwszy okiem na pismo: — Najczystsze czarnoksięstwo! — zawołał. — Emen Hetan! to krzyk wiedźm, gdy się zbierają na naradę. Per ipsum, et cum ipso, et in ipso! zaklęcie to służy do zakucia w kajdanki diabła wracającego do piekieł. Mistrzu Charmolue! Jesteś waszmość prokuratorem królewskim w izbie duchownej: to ohydny pergamin.

— Weźmiemy znów więźnia na spytki. Ale, ale, byłbym zapomniał. Kiedyż się podoba waszej wielebności dać rozkaz przytrzymania czarodziejki?

— Jakiej czarodziejki?

— A tej Cyganki, co to przychodzi skakać na plac przedkatedralny, wbrew zakazowi oficjała. Posiada ona kożę opętaną przez złego ducha, z czarcimi rogami, która czyta, pisze i zna rachunek jak sam Picatrix. Do procesu wszystko już gotowe. Żywo się doń zabierzemy, o to można być spokojnym! Bo też, na moją duszę, ładne to stworzonko, ta tancerka uliczna! Najcudniejsze czarne oczy! Kiedyż rozpoczniemy?

Archidiakon zbladł.

— Dam waszmości o tym znać! — wycedził. Po czym dodał z wysiłkiem:

— Zajmij się proszę Markiem Cenaine.

— O, bądź spokojny, mistrzu — odrzekł Charmolue z uśmiechem — zaraz każę go rozciągnąć na łożu miedzianym. Ale to diabeł nie człowiek; zmęczy nawet samego Pierrata Torterue, który ma większe ręce od moich.

— Mistrzu Pierrat... mistrzu Jakubie, chciałem powiedzieć, pilnujcie Marka Cenaine.

— Tak, tak, ojczy Klaudiuszu.

W tej chwili zbłąkana mucha, szukająca marcowego słońca, natrafiła na pajęczynę i ugrzęzła w niej. Za poruszeniem siatki ogromny pająk wysunął się nagle z kryjówki, po czym dopadł muchy, którą zgiął przednimi łapkami.

— Biedna mucha! — powiedział prokurator królewski i wyciągnął rękę by ją uratować.

Archidiakon, jakby zbudzony, chwycił go za łokieć.

— Mistrzu Jakubie — zawołał — nie mieszaj się do wyroków losu!

I chwycił gościa za rękę.

Prokurator odwrócił się osłupiały. Oczy księdza pałały.

— O, tak, niezawodnie — mówił Klaudiusz wzburzonym głosem — to symbol wszystkiego. Weseli się, tylko co na świat przyszła; szuka wiosny, czystego powietrza, wolności! O tak! Ale niech no się natknie na zasłonę fatalności, wyskoczy pająk, pająk obrzydliwy. Biedna mucha! Mistrzu Jakubie, daj pokój, to przeznaczenie !... Niestety, pajakiem ... ty Klaudiuszu. I muchą również !... Leciałeś ku wiedzy, ku światłu, ku słońcu. Pragnąłeś wydostać się na wolne powietrze, dotrzeć jasnego dnia prawdy wiekuistej; ale rzucając się ku oślepijącemu, oknu, wychodzącemu na świat jasności, pojęcia i nauki, nie spostrzegłeś, doktorze niebaczny, cienkiej zasłony pajęczej, rozciągniętej ręką losów między światłem a tobą; runąłeś w nią na oślep, szaleńcze, i szamoczesz się oto teraz z głową pobitą i powyrywanyymi skrzydłami w żelaznych obręczach fatalności!... Mistrzu Jakubie! Mistrzu Jakubie! Zostaw, niech pająk dopełni swego!

— Ależ zapewniam waszą wielbność — mówił Charmolue patrząc na księdza ze zdumieniem i nie rozumiejąc go wcale — zapewniam, że się ani tknę. Rękę mi tylko, mistrzu, puść, przez litość. Kamienne masz palce.

Archidiakon nie słyszał.

W tej chwili jakiś odgłos spod pieca uderzył gościa.

— Co to ? ... — spytał Charmolue.

To nasz przyjaciel Jan dawał o sobie znać.

— To kot swawolnik — odrzekł żywo archidiakon.

Tłumaczenie wydało się prokuratorowi wystarczające.

Klaudiusz, lękający się nowego psikusa ze strony Janka, przypomniał gościowi, że mają obejrzeć kilka postaci u drzwi katedralnych; obaj też opuścili celkę ku wielkiej uldze żaka.

## ROZDZIAŁ XIV

### SKUTEK, JAKI WYWOŁAĆ MOŻE SIEDEM SIARCZYSTYCH ZAKŁĘĆ NA WOLNYM POWIETRZU

— Te Deum laudamus! — zawołał Janek wyskakując z kryjówki. — Czym prędzej z tych schodów, za pas kieskę wielebnego brata i śpieszmy zmienić te grosze na butelki.

Zbiegł skacząc po schodach.

W ciemności potknął się o coś, co warcząc usunęło się na bok. Domyślił się, że to musiał być Quasimodo.

Tupnął, gdy się wreszcie znalazł na bruku. W tej chwili posłyszał silny i dźwięczny głos:

— A niech Was pioruny! Do milion kroć stu tysięcy diabłów!

— Daję gardło — zawołał Jan — jeśli to nie mój przyjaciel, rotmistrz Phoebus!

Imię to obilo się o uszy archidiakona w chwili, gdy tłumaczył królewskiemu prokuratorowi znaczenie smoka w wannie, z której w dymach wyłania się głowa żelaznego rycerza.

Klaudiusz drgnął, odwrócił się i ujrzał Janka przystępującego do wojaka o wyniosłej postawie, znajdującego się u bramy domu Gondelaurier.

Był to w istocie kapitan Phoebus de Chateaupers. Oparty o róg bramy, kłął jak poganin.

— Kapitanie — spytał Jan. — Co się stało? Chcesz waszmość napić się?

— Dlaczego by nie? Cóż, kiedy nie mam pieniędzy.

— Ale ja za to mam!

I pokazał kapitanowi sakiewkę. Tymczasem archidiakon pozostawiwszy zdumionego prokuratora podszedł ku nim i bacznie śledził obu, sam niepostrzeżony przez rozmawiających.

Phoebus zawołał:

— Sakiewka w twojej kieszeni, Janku, to księżyc w wiadrze wody. Widzisz go, lecz nie ma go tam. Cień tylko jest. Stawiam co chcesz, że to są kamyki.

Jan odrzekł chłodno:

— Oto są kamyki!

I wypróżnił worek na przyźbie. Phoebus przeliczył pieniądze.

— A czy wiesz, bracie — rzekł — że jest tego dwadzieścia trzy soldów paryskich? Kogóż to obrateś dzisiejszej nocy?

Jan odrzucił w tył jasną, kędzierzawą głowę.

— Rodzonego brata, archidiakona i durnia.

— Do kaduka! — zawołał Phoebus — złoty człowiek!

— Chodźmy pić! — zawołał Jan.

— Chodźmy! Lecz dokąd.... „Pod Jabłuszko Ewy”.

— Ano, to walmy pod Ewę i jej jabłuszko — zgodził się Jan. Dwaj przyjaciele udali się do „Jabłuszka Ewy”. Klaudiusz szedł za nimi chmurny i posępny. Czyżby miał przed sobą tego samego Phoebusa, którego imię od ostatniej rozmowy z Gringoirem mąciło wszystkie jego myśli? Nie potrzebował zadawać sobie trudu, by pochwycić rozmowę dwóch przyjaciół. Mówili głośno, co ślina na język przyniosła: o pojedynkach; dzbanach, dziewczętach, wyprawach.

Na rogu jednej z ulic doleciał ich z sąsiedniego placyku odgłos bębenka. Klaudiusz usłyszał jak wojak rzekł do żaka:

— Do czarta !... Spieszmy!

— Dlaczego, Phoebusie?

— Boję się, żeby mnie Cyganka nie spostrzegła.

— Jaka Cyganka?

— Ta mała, z kozą.

— Esmeralda?

— A tak! Nie mogę spamiętać tego imienia. Gotowa by mnie poznać. Nie chcę, by mnie ta dziewczyna zaczepiała na ulicy.

— Alboż ją znasz, mości rotmistrzu?

Tu archidiakon spostrzegł drwiący uśmiech Phoebusa, który się pochylił do Janka i szepnął mu coś. Po czym kapitan zachichotał głośno.

— Doprawdy? — spytał Jan.

— Na mą duszę! — rzekł Phoebus.

— Tego wieczora?

— Tego wieczora.

— Czy jesteś pewny, że przyjdzie?

— Alboż się wątpi w takich sprawach?

— Rotmistrzu Phoebusie, jesteś waść szczęśliwy.

Archidiakon słyszał całą tę rozmowę. Drżenie przebiegło po jego ciele. Zatrzymał się chwilę, oparł o węgiel pobliskiego domu jak człowiek pijany, po czym podążył w ślady dwóch hultajów.

Ze słynnej gospody „Pod Jabłuszkciem Ewy” słyhać było krzyki, hałasy i brzęki szklanek i naczyń.

Jakiś człowiek przechadzał się przed huczącym szynkiem, zazierał doń bezustannie i czatował tu jak sztyldwach. Okryty był opończą po same uszy. Opończę tę kupił był przed chwilą u łachmaniarza po to zapewne, żeby się zabezpieczyć przed marcowym chłodem, a może i dla zamaskowania się.

Nareszcie otworzyły się drzwi. Dwóch pijaków wytoczyło się z gospody. Człowiek w opończy usunął się na drugą stronę ulicy, ku furtce, i zacząjony uważał.

— Gromy i pioruny! — wołał jeden z pijaków — Siódma! Schadzka nad głową.

— Powiadam ci — ciągnął jego towarzysz — powiadam ci, że nie mieszkam wcale przy ulicy Złorzecznej, indignus qui inter mala verba habitat. Mieszkanie moje jest w ulicy... na... zza... po ulicy Jean-Pain-Mollet, in vico Johannis-Pain-Mollet.

— Janku, przyjacielu mój, jesteś pijany — reflektował drugi.

— Powiedział co wiedział — odrzekł tamten zataczając się. — Ale dowiedzione jest, że nie tylko Platon miał pysk legawca...

Czytelnik poznał już zapewne w kawalerach naszych dwóch przyjaciół, żaka i kapitana. Zdaje się, że człowiek, który na nich czatował, także ich poznał, gdyż wolnym krokiem ciągnął w ślad za nimi.

— Na kark Lucypera! Starajże się iść prosto ! Wiesz przecie, że muszę się z tobą rozstać. Siódma godzina, czy słyszysz? Mam wszak schadzke z dziewczyną.

— To odczep się ode mnie! Widzę i bez ciebie gwiazdy i pochodnie!

— Janie, kochany mój Janie! Opamiętajże się. Alboż nic wiesz, że naznaczyłem małej schadzki na mości ! Nie mogę jej gdzie indziej zaprowadzić jak do Falurdelowej, tam zaś wypadnie zapłacić za stancijkę. Stara baba po to ma siwe wasy, by mi na kredyt nie wierzyła. Janku, zmiłuj się, czyżbyśmy całą sakwę klechy przepili? Nie zostało ci ani jednej złotówki?

— Przeświadczenie o dobrze spędzonym dniu jest najprzyjemniejszym uczuciem!

— A, kiedy tak, magistrze antychrysta, to niechże cię diabli porwą! — zawołał Phoebus i pchnął pijanego żaka, który otarłszy się o mur upadł na bruk. Zdawać by się mogło, że człowiek w opończy nie pójdzie za kapitanem; zatrzymał się bowiem chwilę nad leżącym żakiem i jakby się wahał. Ale niebawem westchnął i podążył w ślad za Phoebusem.

Wchodząc w ulicę St. Andre-des-Ares kapitan spostrzegł, że ktoś go ściga. Zobaczył za sobą rodzaj cienia posuwającego się wzdłuż murów. Zatrzymał się i cień się zatrzymał; szedł, cień także włókł się. Bardzo to go niepokoiło. Zebrawszy się na odwagę huknął:

— Jeśli waszmość jest złodziejem...

Ręka widma w opończy chwyciła Phoebusa za ramię.

— Phoebusie Chateaupers!

— Skąd u licha — rzekł kapitan — znasz jegomość moje nazwisko?

— Nie dość że znam — odpowiedział człowiek w opończy ponurym głosem. — Wiem także cokolwiek. Masz schadzki tego wieczora.

— Tak, mam — mruknął Phoebus wytrzeszczając oczy.

— Bezbożniku! — jęknęło widmo. — Z kobietą?

— Confiteor!

— Która się nazywa...

— Esmeralda — dopełnił weselej już Phoebus.

Na to imię szpony widma wściekle szarpnęły kapitana za ramię.

— Łżesz waść!

Kapitan zgrzytnął zębami i wyciągnął szpadę. Mnich się nie ruszył.

— Phoebusie — odezwał się głosem pełnym goryczy — zapominasz o schadzce.

Kapitan wsadził szpadę do pochwy.

— Idź waszmość na naznaczoną schadzki — powtórzył nieznajomy.

— Mości panie — odrzekł Phoebus z zakłopotaniem — dzięki za grzeczność. Wyznaję, że się waszmość dzielnic zachował. Spieszę tedy na umówione miejsce, na siódmą jak waszmości wiadomo...

Tu Phoebus podrapał się w ucho.

— Psiakość! Na śmierć zapomniałem, że bez grosza.

— Oto są pieniądze!

Phoebus poczuł w swej dłoni chłodną dłoń nieznajomego, wciskającą mu grubą sztukę monety. Nie mógł się wstrzymać od przyjęcia pieniędzy i od uściśnięcia ręki.

— Jak Boga kocham! Poczciwiec z was!

— Jeden warunek — rzekł mnich. — Muszę się przekonać, że waszmość powiedział prawdę. Ukryjesz mnie w kącie, abym mógł widzieć, czy to ta sama kobieta, o której mówiłeś.

— Ua! — odpowiedział Phoebus — dla mnie wszystko jedno. Będziesz waść mógł sobie patrzeć do woli.

— Chodźmy — powiedział chłodno mnich.

— Wprowadzę was pierwszego — rzekł Phoebus — a sam pójdę po dziewczynę. Jego towarzysz przez całą drogę nie odezwał się słowem. Phoebus zatrzymał się przed niskimi drzwiami i zastukał energicznie.

— Kto tam? — zapytał ochryply głos.

— Otwierać! — huknął kapitan.

Drzwi się otworzyły i przybysze ujrzeli zgrzybiałą kobietę z kagankiem w ręku. Wnętrze chałupy wyglądało okropnie. Ściany były poobrywane z tynku i gliny, belki pod powałą zakopcone, piec rozsypywał się, pajęczyny wisiały po wszystkich kątach.

Stara tytułowała kapitana jaśnie panem. Talara schowała do szuflady. Była to ta sama sztuka monety, którą człowiek w opończy wsunął Phoebusowi do ręki. Gdy baba się odwróciła, mały, rozczochrany chłopak grzebiący dotąd w popiele, zwinnie podsunął się do szuflady, wyjął z niej pieniądze i na jego miejsce położył suchy liść.

Stara skinęła na jaśnie panów, jak ich nazywała, by szli za nią, i pierwsza polazła po drabinie. Dostawszy się na górę, postawiła kaganek na kufrze, a Phoebus z miną starego bywalca otworzył rodzaj drzwiczek prowadzących w jakiś ciemny kąt.

— Wejść tam, łaskawco — rzekł do swego towarzysza. Człowiek w opończy usłuchał, drzwiczki się za nim zamknęły; Phoebus zasunął je rygłem i zeszedł ze starą na dół. Klaudiusz Frollo (przyпускаmy bowiem, że czytelnik bardziej spostrzegawczy od Phoebusa poznał w mnichu archidiakona), Klaudiusz Frollo tłukł się czas jakiś po ciemnej jamie, w której go rotmistrz zarygłował.

Co się w tej chwili działo w posępnej duszy archidiakona? On sam tylko i Bóg mogli o tym wiedzieć.

Czekał od kwadransa, a zdawało mu się, że czeka od godziny. Naraz posłyszał skrzypnięcie szczebla u drabinki; ktoś wchodził. Pokazało się światło. W spróchniałych drzwiczkach norki znajdowała się dość szeroka szczelina; Klaudiusz przylgnął do niej twarzą. W ten sposób mógł widzieć wszystko, co się działo w izdebce. Baba z kagankiem w ręku wsunęła się pierwsza, za nią Phoebus. podkręcający wąs, a dalej trzecia osoba, śliczna Esmeralda. Klaudiusz drgnął, mgła zasłoniła mu oczy, serce zaczęło bić, wszystko wokół chwiało się i drżało.

Gdy wrócił do przytomności, Phoebus i Esmeralda znajdowali się sami; siedzieli na drewnianym kufrze obok kaganka.

Dziewczę było zarumienione i zmieszane.

Nie bez wysiłku zdołał Klaudiusz pochwycić co mówili.

— O! — westchnęła dziewczyna nie podnosząc oczu — o, nie pogardzaj mną, wielmożny panie. Wiem, że to co czynię, jest złe.

— Pogardzać tobą? — odpowiedział wojak. — I za cóż?

— Żem pana usłuchała. Ale panie mój, ja cię kocham.

— Kochasz mnie — zawołał z uniesieniem i otoczył ręką kibić Cyganki.  
Klaudiusz widział to i końcem palca dotknął ostrza pugiuału, który chował na piersi.  
— Phoebusie — mówiła dalej Cyganka do kapitana. — Jest pan dobry i szlachetny. Tyś mnie ocalił, mnie, biedne cygańskie dziecko. Phoebusie, naucz mnie swojej religii.  
— Mejej religii? — wybuchnął Phoebus śmiechem. — Ja mam cię uczyć religii? Na cóż ci się przyda moja religia?  
— Bo widzisz, gdy będziemy brali ślub...  
— Tere fere kuku! — przerwał. — Alboż się bez ślubu pobrać nie można?  
Dziewczyna zbladła.  
— Serduszko moje — mówił czule Phoebus — co tam za licho po głowie ci się błąka? Mówiąc to przysunął się do Cyganki. Klaudiusz widział wszystko. Drzwiczki sklecone z klepek, które do szczętu przegniły, miały szerokie szpary.  
Naraz jednym szybkim ruchem Phoebus zdjął kołnierzyk z szyi i ramion Cyganki. Biedne dziewczę skoczyło i w jednej chwili znalazło się na drugim końcu izdebki.  
— Cóż to za szkaplerzyk? — spytał kapitan zbliżając się do urażonej Cyganki.  
— Nie ruszaj! — odpowiedziała żywo. — To moja ochrona. Przez nią to odnajdę rodzinę, jeśli tylko godna tego będę. Ach, zostaw mnie, odejdz ode mnie, proszę! Matko, biedna moja matko, gdzieżeś? Ratuj mnie, matko! Phoebusie, oddaj mi, proszę, kołnierzyk!  
Phoebus cofnął się.  
— Teraz widzę, że mnie wcale nie kochasz.  
— Ja cię nie kocham! — jęknęło dziewczę.  
Z tymi słowami zarzuciła mu ręce na szyję i spoglądała nań błagalnie.  
Nagle nad głową Phoebusa ujrzała drugą twarz, obcą i straszną, a wyżej rękę z połyskującym pugiuałem. Była to twarz i ręka Klaudiusza, który wyłamał drzwi. Phoebus nie mógł go widzieć. Dziewczę skamieniało na widok poczwary.  
Nie zdołała już nawet krzyknąć. Pugiuał ugodził Phoebusa.  
— Przekleństwo! — jęknął kapitan padając. Esmeralda mdlejąc osunęła się na ziemię.  
Gdy przyszła do przytomności, ujrzała że jest otoczona żołnierzami. Okno wychodzące na rzekę było szeroko otwarte. Wynoszono kapitana ociekającego krwią; oglądano opończę podjętą z posadzki. Naokoło rozlegały się szepty:  
— Czarownica jakaś zasztyletowała rotmistrza z poczty łuczników Króla Jegomości!

## **ROZDZIAŁ XV**

### **TALAR PRZEMIENIONY W ZESCHŁY LIŚĆ**

Gringoire i cały Dziedziniec Cudów niepokoił się okropnie. Od miesiąca nie było wiadomo, gdzie się podziała Esmeralda.

Gringoire nie umiał sobie wytłumaczyć zniknięcia Esmeraldy. Opanowała go głęboka tęsknota. Byłby schudł, gdyby to było rzeczą możliwą. Zapomniał o wszystkim, nawet o swoim zamiłowaniu do literatury.

Pewnego dnia, gdy smutny wałęsał się po mieście, ujrzał tłumy cisnące się do jednej z bram Pałacu Sprawiedliwości.

— Cóż tam, takiego? — spytał młodzieńca, który stamtąd wychodził.

— Nie wiem; łaskawy panie — odrzekł młody człowiek. — Powiadają, że sędzić będą jakaś kobietę, zbrodniarkę, która zamordowała rycerza. Że zaś w sprawie tej są podobno i czary, więc też i biskup z oficjałem biorą udział; brat mój, archidiacon, całe dni tam spędza. Chciałem z nim właśnie pomówić, ale nie mogłem się dostać; bardzo mi to nie na rękę, gdyż potrzebuję pieniędzy.

Żak poszedł w swoją stronę. Gringoire zaś jął wstępować za tłumem na schody wielkiej izby trybunalskiej.

Obszerna komnata była pogrążona w mroku. Dzień miał się ku schyłkowi. Rozstawione na stołach świeczniki były już zapalone. Ponad głowami sędziów niewyraźnie rysował się wielki krucyfiks.

— Panie — odezwał się Gringoire do sąsiada — co to za osobistości?

— Są to, proszę waszmości — odpowiedział zagadnięty — radcowie wielkiej izby.

— A ponad nimi — pytał dalej Gringoire — ten oto opasły jegomość?

— To marszałek trybunału.

— Te zaś barany z tyłu za nim? — ciągnął poeta, nie mający, zbyt wielkiego nabożeństwa do władz sądowniczych.

— Są to referendarze dworu królewskiego.

— A na lewo ten gruby, czarny?

— Mistrz Jakub Charmolue, prokurator królewski przy sądzie duchownym.

— No dobrze, miłościwy panie — rzekł Gringoire — lecz cóż oni wszyscy robią?

— Sądzą.

— Kogo sądzą? Nie widzę oskarżonego.

— Oskarżoną, proszę waszmości, jest kobieta. Nie możemy jej stąd widzieć. Odwrócona jest do nas tyłem, a zakrywają ją przed nami tłumy.

— Cóż to za kobieta? — pytał Gringoire. — Czy nie wiesz waszmość jak się nazywa?

— Nie, panie!

W tej chwili publiczność nakazała milczenie rozmawiającym. Słuchano niezmiernie ważnego zeznania.

— Jaśnie panowie — mówiła z pośrodku sali jakaś staruszka. — Nazywam się Falurdelowa. Jednego wieczora przędę sobie kądziel; naraz słyszę, ktoś stuka. Pytam kto. Otwieram. Weszło dwóch mężczyzn. Czarny z rycerzem wysokim. Widziałam tylko oczy czarnego; dwa rozpalone węgle. Dają mi talara. Chowam do szuflady i powiadam: — „Będzie za co kupić jutro flaków w rzeźni”. Wchodzimy na górę. Gdyśmy przybyli do komory, zanim się odwróciłam, już czarny znikł jak dym. To mnie trochę zastanowiło.

Tymczasem rycerz, piękny jak królewicz, opuszcza się ze mną po drabince.

Wychodzi. Nie uprządlbyś garstki Inu, gdy wrócił. Z nim młoda, ładna dziewczyna, laleczka, cacko prawdziwe.. Miała z sobą kozła, wielkiego kozła czarnego czy białego, już nie pamiętam. To dało mi do myślenia. Dziewczyna, to nie moja sprawa, ale — kozioł! Nie lubię tych zwierząt, mają brodę i rogi. Nie rzekłam jednak ani słowa. Dali mi talara.

Co, czy nie słusznie, panie sędzio? Prowadzę dziewczynę i kapitana do komory na górę i zostawiam samych, to jest z kozłem. Schodzę i zasiadam do kądzieli. Trzeba wiedzieć, że dom mój składa się z dwóch pięter; tyłem obrócony do rzeki, jak i wszystkie domy



mostu, a okna pierwszego piętra i drugiego wychodzą na wodę. Zabrałam się tedy najspokojniej do przedzenia. Raptem słyszę krzyk na górze, a zarazem uderza coś po szybach i okno się otwiera. Biegnę czym prędzej do swego okienka na dole, patrzę: jakaś czarna masa miga przed oczyma i wpada do wody. Było to widmo przebrane za mnicha. Księżyc świecił jak we dnie. Widziałam dobrze. Płynęło ku Staremu Miastu. Wtedy drżąc całą wołam straż. Ichmościowie z patrolu nocnego wchodzą i nie wiedząc nawet o co chodzi, w pierwszej chwili poczęli mnie tłuc. Ale im wytłumaczyłam. Idziemy na górę i cóż znajdujemy? Oto biedna moja komora cała we krwi; kapitan rozciągnięty jak długi z puginałem w szyi; dziewczyna niby martwa; kozioł skacze jak szalony. „Masz tobie, powiadam, będzie na cały tydzień mycia”. Wyniesiono rycerza — biedny młody człowiek !... i dziewczynę. Poczekajcie! Najgorsze ze wszystkiego jest to, że nazajutrz, gdy poszłam do szuflady wziąć talara na flaki, znalazłam tylko na jego miejscu suchy listek. Stara zamilkła. Szmer zgrozy rozległ się po izbie.

— Owo widziadło, ów kozioł, wszystko to strasznie jakoś trąci czarami — odezwał się jeden z sąsiadów Gringoire'a.

— A tenże liść suchy! — wtrącił drugi.

— Falurdelowa — rzekł pan marszałek solennie — czy nic więcej nie macie do powiedzenia?

— Nie, jasny panie!

— Falurdelowa, czy przyniosłaś ów liść, w który się przemienił talar?

— Tak, wielmożny panie!

Jeden z woźnych doręczył zasuszony listek prokuratorowi królewskiemu przy sędzie kościelnym tak, że cała izba mogła mu się choć z dala przyjrzeć

— Liść to brzozy — zauważył mistrz Jakub Charmolue. — Nowy dowód czarnoksięstwa. Prześwietni sędziowie mają przed sobą dokumenta — dodał wielki mówca królewski siadając — mogą zatem rozejrzeć się w sprawie Phoebusa de Chateaupers.

Na odgłos tego imienia podniosła się oskarżona; głowa jej górowała nad zbiorowiskiem. Gringoire przerażony poznał Esmeraldę. Była blada jak trup; jej włosy, niegdyś tak wdzięcznie splecione, spadały w nieładzie; usta miała sine, oczy podkrążone.

— Phoebus! — rzekła jakby nieprzytomnie — gdzie jest Phoebus? O, jaśni panowie! Raczcie powiedzieć, zanim mnie zabijecie, czy żyje on jeszcze?

— Milcz — odrzekł marszałek izby — nie możemy się tym zajmować. Woźny, każ wprowadzić współniczkę oskarżonej.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę drzwi, które się otwały i dały przejście ślicznemu stworzeniu o połączonych rogach i kopytkach.

Wystąpił Jakub Charmolue.

— Za pozwoleniem prześwietnej izby, przejdziemy teraz do badania kozy.

Była to w rzeczy samej druga obwiniona. Nic bardziej zwykłego na owe czasy jak proces o czarodziejstwo, wytoczony zwierzęciu.

Prokurator przy sędzie kościelnym zawołał uroczyście:

— Jeżeli szatan, który tę kozę opętał i przed żadnymi egzorcyzmami ustąpić nie chciał, upierać się będzie przy swych bezceństwach, my go uprzedzamy, że zmuszeni będziemy użyć szubienicy lub stosu.

Gringoire'owi pot zimny wystąpił na czoło. Charmolue wziął bowiem właśnie ze stołu bębenek Cyganki i podsuwając kozie zagadnął ją:

— Która teraz godzina?

Koza popatrzyła nań rozumnie, podniosła złocone kopytko i wyliczyła siedem uderzeń. Była w rzeczy samej godzina siódma. Poruszenie obiegu tłumy. Gringoire nie mógł wytrzymać.

— Ależ się gubi biedne stworzenie! — krzyknął głośno. — Wszak widzicie, że sama nie wie co czyni.

Marszałek zwrócił się do Esmeraldy:

— Jak wytłumaczysz obciążające cię fakty?

Odrzekła urywanym głosem:

— Powiedziałam już. Nie wiem. To jakiś zakonnik, ksiądz, którego nie znam; mnich piekielny, co mnie prześladowuje.

Mistrz Jakub Charmolue odezwał się ze słodyczą:

— Zważywszy na upór obwinionej wnoszę o zastosowanie tortury.

— Zezwalam — rzekł marszałek.

Po przejściu kilkunastu stopni na dół i pod górę do lochu, Esmeralda, otoczona strażą, wepchnięta została przez pachołków do jakiejś izby.

Była to izba tortur.

Na łożu siedział rozwalony Pierrat Torterue, kat przysięgły. Dwaj jego pachołkowie w skórzanych fartuchach, w zgrzebnych kurtach, przewracali żelastwa w piecu.

— Drogie moje dziecię — rzekł Charmolue — zaprzeczasz więc w dalszym ciągu?

— Zaprzeczam — odpowiedziała gasnącym głosem.

Na znak Charmolue dwaj pomocnicy kata porwali ją i posadzili na łożu.

— Panie prokuratorze królewski — rzekł opryskliwie Pierrat — od czego zacząć?

Charmolue wahał się chwilę, po czym wskazał na jedno z narzędzi tortur.

Gdy Cyganka, blada, wróciła kulejąc do izby trybunalskiej, przyjęły ją odgłosy zadowolenia. Ze strony publiczności było to uczucie zaspokojonej niecierpliwości.

Cyganka nie bez wysiłku doszła do swego miejsca. Charmolue usiadł najprzód, później znów się podniósł i rzekł:

— Obwiniona przyznała się do wszystkiego.

— Dziewczyno cygańska — jął marszałek — przyznałaś się do praktyk czarnoksięstwa, wszetecznictwa i morderstwa Phoebusa de Chateaupers?

Ból chwycił ją za serce. Słyszano jak łkała.

— Wszystko co chcecie — odpowiedziała — tylko zabijcie mnie prędeej.

— Mości prokuratorze królewski przy sądzie duchownym — powiedział wówczas marszałek — izba gotowa jest do wysłuchania waszych wniosków.

Mistrz Charmolue wygłosił wielką mowę oskarżycielską. Z kolei wstał drugi jegomość w czarnej sutannie; był to jej obrońca. Sędziowie, głodni, poczęli mruzczyć.

— Streszczaj się, mistrzu! — polecił marszałek.

— Marszałku — odrzekł obrońca — ponieważ oskarżona przyznała się, słówko mam tylko do powiedzenia prześwietnemu trybunałowi. Oto jest brzmienie ustawy salickiej: „Gdy czarownica zjadła człowieka i dowiedziono jej tego, ma być skazana na grzywnę w wysokości ośmiu tysięcy denarów, co czyni dwieście złotych soldów... Raczy sąd prześwietny skazać klientkę moją na grzywnę.

— Ten tekst już zniesiony — oświadczył adwokat nadzwyczajny króla jegomości.

— Do głosowania! — zawołał któryś z radców.

— Zbrodnia jest oczywista, a pora spóźniona.

Przystąpiono do głosowania. Sędziowie głosowali nie opuszczając sali. Następnie marszałek odczytał wyrok:

— Córo cygańska, w dniu kiedy się spodoba królowi, panu naszemu miłościwemu, zawieziona zostaniesz w koszuli, z bosymi nogami, z powrozem u szyi przed wielki fronton Najświętszej Panny, gdzie kajać się będziesz publicznie z dwufuntową woskową pochodnią, skąd odprowadzona na Plac Stracenia, zostaniesz tam powieszona jako winna czarów, guseł i morderstwa na osobie Phoebusa de Chateaupers. Niech Bóg ma duszę twą w świętej swej pieczy!

Pewnego dnia zgrzytnęły ciężkie drzwi w celi Esmeraldy, zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy.

Esmeralda ujrzała człowieka z latarnią na schodach. Czarny płaszcz spadał mu aż do stóp, kaptur zakrywał oblicze.

— Ktoś ty? — zapytała.

— Duchowny.

Ten wyraz, ton, jakim został wymówiony, i głos człowieka przejęły ją dreszczem.

— Czy jesteś gotowa?

— Do czego?

— Na śmierć.

— O! — rzekła — czy prędko?

— Jutro. Czy wiesz — pytał zakonnik po chwili — dlaczego tu jesteś?

— Zdaje mi się, że wiedziałam — odparła trąc sobie czoło chudymi palcami, jakby dla obudzenia pamięci — ale już zapomniała.

Nagle zaczęła płakać jak dziecko.

— Chciałabym wyjść stąd, panie. Zimno mi i straszno!

— A więc chodź ze mną.

I zakonnik ujął ją za ramię.

— O! — wyszeptała nieszczęsna. — Ktoś ty taki? Zakonnik podniósł kaptur; spojrzała nań. Była to ta sama

straszna twarz, która ją prześladowała od dawna, ta sama głowa szatańska, która się jej ukazała u Falurdelowej ponad ubóstwianą głową Phoebusa.

— Ach! — zawołała z konwulsyjnym drżeniem, zakrywając oczy rękami. — To ten sam, to ten ksiądz.

— Boisz się mnie? — zapytał.

Odsłaniając oczy wykrzyknęła:

— O! Nędzniku! Ktoś ty? Com ci uczyniła? Dlaczego mnie tak nienawidzisz? Co masz przeciwko mnie?

— Kocham cię! — zawołał zakonnik. — Zanim cię spotkałem, dziewczyno, byłem szczęśliwy.

— I ja także! — westchnęła słabo Cyganka.

— Tak, byłem szczęśliwy, za takiego się przynajmniej uważałem. Byłem czysty, miałem duszę pełną jasności. Nauka była wszystkim dla mnie. Post, modlitwa, nauka, klasztorne umartwienia dawały duszy władzę nad ciałem. Niestety! jeśli nie odniósł zupełnego zwycięstwa, wina spada na tego, który nie dał równej siły człowiekowi i szatanowi... Tutaj zatrzymał się i westchnął.

— Pewnego dnia stałem oparty o okno celi... Okno wychodziło na plac. To, com ujrzał, wielu innych widziało, a jednak nie był to widok dla oczu ludzkich. Na bruku tańczyła jakaś dziewczyna. Dziewczyna tak piękna, że Bóg wolałby ją od Dziewicy i ją wybrałby na matkę, gdyby istniała wtedy, kiedy się wcielił. Oczy jej były czarne i pełne blasku. Wśród hebanowych kędziorów kilka włosów jasných, opromienionych słońcem, pobłyskiwało jak złote pasemka. O, jakże cudowna była ta postać!... Tą młodą dziewczyną byłaś ty... Zdziwiony, upojony, olśniony, nie mogłem oderwać od ciebie wzroku. Tak, tego dnia odkryłem w sobie człowieka, którego przedtem nie znałem. Broniąc się chciałem wyczerpać wszystkie środki: klasztor, ołtarz, praca, książki. Szaleństwo! O, jakże próżny dźwięk wydaje nauka, gdy w nią uderza z rozpaczą głowa, przepelniona namiętnością! Czy wiesz, dziewczyno, co odtąd widziałem ciągle między sobą a książką?, Ciebie, twój cień! Ale ten obraz nie miał już swej pierwotnej barwy; stał się ponury, ciemny, zamglony jak czarne koło prześladowające człowieka, który usiłował wpatrzeć się w słońce.

Dowiedziałem się kim jesteś... Przyszła mi myśl porwania cię. Pewnej nocy spróbowałem to uczynić. Było nas dwóch. Mieliśmy cię już w naszych rękach, gdy zjawił się ten przeklęty żołdak. Uwolnił cię i w *ten* sposób dał początek twojemu, mojemu i swojemu nieszczęściu...

Pewnego dnia... Dzień był jasny... Spostrzegam przed sobą człowieka, który wymawia twe imię ze śmiechem i w którego oczach przebija się bezwstyd. Przekleństwo!

Poszedłem za nim. Wiesz resztę.

Zamilkł. Dziewczyna wykrzyknęła:

— O, mój Phoebusie!

— Precz z tym imieniem! — zawołał zakonnik chwytając ją gwałtownie za ramię. — Nie wymawiaj tego imienia! O, my nieszczęśliwi, to imię nas zgubiło! Czy wiesz com wycierpiał? Byłem na twoim procesie. Siedziałem na ławie oficjała.

— Co się stało z moim Phoebusem? — spytała Cyganka cicho.

— A! — rzekł zakonnik puszczając jej rękę — czy tak...

— Co się stało z Phoebusem? — powtórzyła.

— Umarł! — zgrzytnął mnich. — O, tak — mówił jakby sam do siebie — nie wątpię, że już nie żyje. Ostrze weszło głęboko. Zdaje mi się, że trafił w serce. O, życie moje całe było na końcu tego pugińału.

Dziewczyna rzuciła się nań i pchnęła na stopnie schodów.

— Precz, potworze! Precz, morderco! Pozwól mi umrzeć! Niech krew jego i moja napiętnuje twe czoło wieczystą plamą! Być twoją, mnichu? Nigdy! Nie, nic nas nie złączy! Nawet piekło! Nic i nigdy! Precz, przeklęty! Nigdy!

Zakonnik zachwiał się. W milczeniu podjął latarnię i wolnym krokiem zaczął wchodzić po stopniach prowadzących do drzwi; otworzył je i wyszedł.

Nagle dziewczyna ujrzała go znów. Wyraz jego twarzy był przerażający, usta wykrzywione w grymasie wściekłości i rozpacz.

— Powiadam ci, że skonał! Esmeralda padła na ziemię.

## ROZDZIAŁ XVI

### MATKA

Nie sędzę, aby na świecie było coś radośniejszego od myśli, jakie się budzą w sercu matki na widok małego trzewiczka jej dziecka.

Lecz gdy matka straci dziecko, wszystkie te obrazy radości, wdzięku, czułości, jakie się skupiają wokół trzewiczka, stają się okropnymi wspomnieniami. Mały trzewiczek przemienia się w narzędzie tortury, które wiecznie kraje serce matki.

Pewnego poranku, gdy słońce majowe wschodziło na niebie ciemnobłękitnym, pustelnica z Wieży Rolandowej usłyszała turkot wozów, tętent koni i brzękania żelastwa na Placu Stracenia. Nie zwróciła na to uwagi; klękawszy zaczęła się przyglądać martwemu przedmiotowi, który w taki sposób od lat piętnastu czciła. Ten mały trzewiczek, jakeśmy to już powiedzieli, był dla niej całym światem.

Nagle wesole głosy dziecięce dały się słyszeć przed celą. Ile razy spostrzegła dzieci lub słyszała ich głos, nieszczęsna matka biegła w najciemniejszy kąt swej celi i przytulała się do ściany, aby ich nie słyszeć. Tym razem przeciwnie, podniosła się i chwytła dźwięki dziecięcej mowy. Jeden z małych chłopców właśnie zawołał:

— To dziś mają wieszać Cyganekę.

Pustelnica podbiegła do okienka wychodzącego na Plac Stracenia. W rzeczy samej, obok szubienicy stała drabina, a kat czyścił zardzewiałe od deszczu łańcuchy. Tłum zaczął się zbierać na placu.

Śmiejąca się grupa dzieci była już daleko. Pustelnica poczęła szukać wzrokiem przechodnia, którego by się mogła zapytać. Zatrzymała oczy na jakiejś postaci duchownej, na zakonniku, który stał w pobliżu celi i zdawał się czytać brewiarz.

Pustelnica go poznała; był to archidiakon, święty człowiek.

— Mój ojciec — odezwała się — kogóż to mają wieszać? Ksiądz spojrział na nią i nic nie odpowiedział; powtórzyła pytanie. Wówczas rzekł:

— Nie wiem.

— Dzieci mówiły tu, że ma to być Cyganka, czy prawda? — nastawała pustelnica.

— Być może — powiedział. Oczy starej zabłyśły.

— Siostrze moja — spytał archidiakon — azaliż tak bardzo znieść nie możesz Cyganekę?

— Czy ich nie mogę znieść — wrzasnęła — toż to one mi porwały moją córeczkę! dziecię moje, jedyne moje dziecię!

Kapłan milczał.

— Szczególnie jedną z nich przeklinam, jedną z nich nienawidzę — mówiła dalej; — to ta mała, mająca może tyle lat, ile by miała moja córka. Za każdym razem, gdy przesuwa się koło mej celki, krew mi się burzy.

— Jeżeli tak, siostró moja, to się ciesz — rzekł ksiądz. — Tę małą Cyganekę ujrzysz niebawem na szubienicy.

Głowa mu opadła na piersi i oddalił się z wolna. Pustelnica zawołała radośnie:

— A czy nie przepowiedziałam jej tego ... *Bóg zapłać, księżę!*

I zaczęła się przechadzać wielkimi krokami po celi, rozkudłana, tłukąc się o mury z dzikim wyrazem wilczycy, która przeczuwa zbliżającą się godzinę żeru.

## ROZDZIAŁ XVII OCALENIE

Phoebus nie umarł. Młodość wzięła górę i, jak się to często zdarza, pomimo prognostyków lekarzy, spodobało się naturze uzdrowić umierającego.

Pewnego pięknego poranka, czując się nieco lepiej, zostawił swe złote ostrogi znachorowi zamiast zapłaty za ziółka i drapnął.

Pośpieszył połączyć się ze swoją kompanią łuczników na leżach w Quene-en-Brie, w hrabstwie Ile-de France, o jeden, dwa popasy od Paryża.

Ale gdy tylko poczuł się zdrowszy, obraz Lilii zjawił się w jego sercu. Phoebus nudził się okropnie w Quene-en-Brie, miasteczku kowalów.

Toteż pewnego cudnego poranka zakochany rycerz strojnie i zbrojnie stanął przed bramą mieszkania pani Gondelaurier.

Nie zwrócił uwagi na tłumy gromadzące się na placu katedralnym przed frontem katedry Najświętszej Panny; uwiązał konia u, haka przy bramie i pobiegł do pokojów pięknej narzeczonej. Zastał ją z matką.

Dziewczyna wyglądała powabniej niż zwykle. Przepyszne jasne włosy spletały się w gruby warkocz. Ubrana była w niebieską suknię, która harmonizowała z jej delikatną bladą twarzą.

Phoebus był oczarowany narzeczoną. Zgoda została zawarta bez dłuższych formalności. Sama nawet pani Gondelaurier, jak zwykle spoczywająca w głębokim fotelu, nie miała serca zburzyć kapitana, jak na to zasługiwał.

Śliczne dziewczę siedziało przy oknie haftując.

— No, ale cóż to się z tobą działo, niedobry, przez te dwa długie miesiące? Mów mi zaraz!

— Przysięgam ci — odpowiedział Phoebus zakłopotany trochę pytaniem. — Przysięgam ci, że papieżowi byś głowę zawróciła, tak jesteś piękna.

— Dobrze, dobrze, niech i tak będzie, mości panie. Zostaw już tę moją piękność i odpowiadaj.

— No, jeśli tak, kochana kuzynko, to ci powiem, że przeniesiono mnie.

— I dokądże to, jeśli łaska? Dlaczegoż nie przyszedł pożegnać się z nami?

— Do Quene-en-Brie.

Phoebus był rad, że tak szczęśliwie wyminął drugie pytanie.

— Ależ to niemal zaraz za okopami, łaskawy panie. Czemużeś nie przyjechał mnie odwiedzić?

— Byłem chory.

— Chory?

— Tak jest... ranny! --- Ranny!

Dziewczę aż pobladło, ze wzruszenia.

— O, nie trwoż się, droga kuzynko — pochwycił kapitan z lekceważeniem. — Drobiazg. Kłótnia i parę młyńców szpadą. Cóżby to cię miało obchodzić?

Kłamacz wiedział doskonale, że zatarg honorowy w oczach kobiety zawsze dodaje waloru mężczyźnie. I w istocie. Lilijka patrzyła mu w oczy z uwielbieniem. Ale nie była jeszcze całkowicie zaspokojona.

— Byłeś mi tylko, Phoebusie, był zdrow!

— Jestem zdrow! — odrzekł i zbliżył się do okna. — Co za tłumy!

— Nie wiem dobrze — mówiła Lilia — ale zdaje się, że jakaś czarownica ma odbywać pokutę publiczną; później zostanie powieszona.

Rotmistrz tak był pewny, że sprawa Esmeraldy musiała już być skończona, że słowa Lili nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Zadał jej wszakże pytanie:

— Jak się nazywa czarownica?

— Nie wiem — odrzekła panienka Tłum zalegał plac.

Ponad hałasem rozległ się jeden ogłuszający okrzyk z placu, z okien, z dachów:

— Jada!

Lilia zakryła twarz rękami.

— Czy chcesz wejść, aniołku? — spytał Phoebus.

— Nie — odpowiedziała i oczy jej, które strach przymknęła, otworzyła teraz ciekawość. Wóz, ciągniony przez silnego normandzkiego konia i otoczony jeźdźcami, wyjechał z ulicy Saint-Pierre-aux-Boeufs. Wśród jeźdźców znajdowało się kilku urzędników trybunalskich. Mistrz Jakub Charmolue paradował na czele. Na wózku siedziała młoda dziewczyna ze związanymi rękami. Była w koszuli; długie czarne włosy (zwyczajem ówczesnym warkocz ucinano dopiero u stóp szafotu) spadały w nieładzie na szyję i ramiona.

— Jezus Maria! — wykrzyknęła Lilia. — Spójrz no, kochany kuzynie, toż to ta niegodziwa Cyganka z kozą!

— Jaka? — wybełkotał pobladły i zrobił krok do wyjścia.

— Co się z tobą dzieje, kuzynie? — spytała Lilia.

— Ja ... Ależ ! Nic !... Bynajmniej ...

— W takim razie proszę zostać! — rzekła rozkazująco. — Patrzmy do końca.

Kapitan chcąc nie chcąc musiał zostać. Ponura kawalkada przerznęła się tymczasem przez tłumy. Wóz wtoczył się na plac przedkatedralny. Zatrzymał się naprzeciw głównego wejścia kościelnego. - Straż stanęła po obu stronach. Tłumy umilkły i wśród tej uroczystej ciszy zagrały hałaśliwie piszczałki.

Ujrzano głębię ciemnego kościoła w całej jego długości, wysłaną żałobnie, oświetloną zaledwie kilkoma gromnicami, pobłyskującymi w dali na wielkim ołtarzu. Cała nawa była pusta. Tylko w odległych ławkach chóru biskupiego poruszały się jakby we mgle postacie

ojców duchownych, a w chwili gdy się wielkie drzwi otwały, wydobył się z kościoła śpiew poważny, wysoki i monotony.

...„Non timebo millia populi circumdantis me: exsurge, Domine; salvum me fac Deus!”

Lud przysłuchiwał się w pobożnym skupieniu.

Nieszczęśliwa wbiła spojrzenie w próg wielkich drzwi kościelnych. Usta jej poruszały się jakby w cichej modlitwie, a gdy pomocnik oprawcy zbliżył się, by jej pomóc zleźć z woza, posłyszał jak powtarzała szeptem wyraz: Phoebus.

Rozwiązano jej ręce, sprowadzono z wozu wraz z kozą i zmuszono iść bosą po ostrym bruku aż pod same stopnie schodów. Powróż, który miała na szyi, ciągnął się za nią. Śpiewy umilkły w kościele. Niebawem długa procesja księży w ornatach i diakonów w dalmatykach ukazała się oczom tłumów.

— O! — powiedziała z cicha Esmeralda z drzeniem. -I znów on! Ksiądz!

Był to w rzeczy samej archidiakon. Po lewej ręce miał podkantora kościelnego, po prawej — kantora. Kroczył z głową w tył odrzuconą, z oczami otwartymi i nieruchomymi, śpiewając:

„De ventre inferi clamavi et exaudisti vocem meam”.

W chwili gdy wychodził na światło dzienne, mijając wysokie drzwi ostrołukowe, okryty szeroką kapą srebrną z czarnymi pasami na krzyż, był tak blady, że niejeden z tłumu mógł sobie zadać pytanie, czy to który z biskupów marmurowych, klęczących na grobowcowych płytach chóru, nie powstał by spotkać na progu wieczności tę, która szła na śmierć.

Ona, nie mniej blada, zaledwie spostrzegła, że jej wetknięto do ręki ciężką, zapaloną gromnicę z żółtego wosku i nie słyszała głosu pisarza, odczytującego tekst pokuty publicznej; gdy jej kazano powiedzieć „amen”, powiedziała „amen”. Dopiero wtedy wróciła nieco do sił, gdy ujrzała, że kapłan celebrujący dał znak strażnikom, aby się oddalili, i sam ku niej zmierzał.

Poczuła wtedy jak krew uderzyła jej do głowy.

Archidiakon zbliżył się powoli i odezwał się podniesionym głosem:

— Dziewczyno, prosilaś Boga o przebaczenie grzechów?

Zarazem nachylił się do jej ucha i dodał (wizjowie mniemali, że ostatniej słuchał spowiedzi):

— Mogę cię jeszcze wybawić! Ona popatrzyła nań z przerażeniem.

— Precz, szatanie! Albo cię wydam!

— Nie uwierzą ci... Do zbrodni dodasz tylko błazeństwo. .. Odpowiadaj prędko!

— Cóżeś zrobił z Phoebusem?

— Już nie żyje! — odparł.

Lecz w tej chwili nikczemny archidiakon podniósł machinalnie głowę i ujrzał na drugim końcu placu, na balkonie mieszkania pani Gondelaurier, kapitana stojącego przy Lillii.

Przetarł dłonią oczy, spojrzał raz jeszcze; rysy jego twarzy ściągnęły się gwałtownie:

— Jeśli tak, giń! — syknął.

I wznosząc rękę nad Cyganką zawołał grobowym głosem:

— Et nunc, anima anceps et tibi Deus misericors!



Była to złowroga formuła, którą kończono zwykle żałobne nabożeństwa. Był to umówiony znak kapłana dla wykonawców sprawiedliwości państwowej.

Lud ukląkł.

— Kyrie elejson — zaintonowali księża pozostali u podwojów katedralnych.

— Kyrie elejson — powtórzyły tłumy z pomrukiem przebiegającym ponad wszystkimi głowami jak odgłos wzburzonego morza.

— Amen! — wyrzekł archidiakon.

Odwrócił się od skazanej, głowa opadła mu na piersi.

W parę sekund później zniknął z krzyżem, świecami i ornatami w posępnym mroku pod arkadami katedralnymi.

Zanim nieszczęśliwa wstąpiła na wóz, który miał ją zawieźć na stracenie, dała się prawdopodobnie opanować rozdzierającemu uczuciu żalu i tęsknoty za życiem.

Podniosła bowiem poczerwieniałe oczy ku niebu, ku słońcu, ku obłokom. Nagle, podczas gdy człowiek w żółtym kaftanie okręcał sznurem jej łokcie, wydała okrzyk radości. Tam oto na tym balkonie, przy placu na rogu spostrzegła jego, Phoebusa. Sędzia skłamał!

Ksiądz skłamał! Był to on! Ten sam, młody, piękny, w mundurze, z szablą przy boku!

— Phoebusie! — krzyknęła. — Phoebusie mój!

Oto skazana została za morderstwo Phoebusa de Chateaupers, a on żył. Ten ostatni cios był nazbyt ciężki. Padła na bruk.

— No i cóż tak wielkiego! — rzekł Charmolue do oprawców. — Zanieść ją na wóz! Czas kończyć.

Do ostatniej chwili nikt nie zauważył, że i na galerii posągów królewskich, wykutej bezpośrednio nad ostrołukowymi spięciami trzech wejść frontowych katedry, znajdował się także widz przypatrujący się wszystkiemu z bolesnym zdumieniem.

I nagle, w chwili gdy pomocnicy mistrza — oprawcy wzięli się do wykonania rozkazu Jakuba Charmolue, widz ów przesadził balustradę galerii i po gzymsach stoczył się na dół. Po czym z szybkością kota rzucił się na katów, porwał Cygankę jedną ręką jak dziecię lalkę i lamparcim podskokiem znalazł się na progu świątyni. Wówczas uniósł omdlałą dziewczynę w górę ponad swą głową i ryknął:

— Miejsce święte, schronienie!

Stało się to tak szybko i gwałtownie, że oprawcy oniemieli.

— Schronienie! Wiwat! Schronienie! — powtórzyły tłumy i dziesięć tysięcy oklasków pochwaliło czyn Quasimoda. Oklaski i wstrząśnienie obudziły skazaną. Podniosła omdlałe powieki, spojrzała na Quasimoda i zaraz zamknęła oczy jakby przerażona widokiem swojego zbawcy.

Charmolue zgłupiał, oprawca również, strażnicy stali jak, bałwany kamienne. W rzeczy samej, w obrębie kościoła Najświętszej Panny skazana była już nietykalna. Katedra posiadała przywilej ochrony i ratunku. Wszelka sprawiedliwość, wszelki sąd i władza kończyły się u jej progów.

Quasimodo wszedł do kościoła. Po chwili ujrano dzwonnika na jednym z rogów galerii królów Francji; pędził po niej jak wściekły, podnosząc w rękach swą zdobycz i wrzeszcząc: „Opieka! Schronienie!” Nowe oklaski tłumy dodały mu zachęty. Przebiegłszy galerię garbus skrył się znowu we wnętrzu kościoła. Chwilę później zjawił się po raz drugi

już na krużganku, z Cyganką w ramionach. Lud huczał z zadowolenia. Wreszcie Quasimodo raz jeszcze pokazał się na samym szczycie wieży.

— Schronienie! Opieka! Wolność! — wrzeszczał.

— Górą nasi! — odwrzasnął lud ze swojej strony. — Brawo! Niech żyje! — a ten okrzyk dotarł i na drugi brzeg Sekwany, na Plac Stracenia, gdzie niepomiernie zdziwił tłumy wyczekujące na egzekucję.

Klaudiusza Frollo nie było już w katedrze, kiedy jego przybrany syn tak niespodziewanie rozciął węzeł, którym niefortunny archidiakon omotał siebie i Cygankę. Gdy tylko wrócił do zakrystii, zerwał z siebie komżę, kapę i stułę, rzucił na ręce osłupiałego sługi kościelnego i wymknął się boczną furtką z klasztoru.

Udał się za miasto. Uciekał od siebie, od ludzi, od Boga.

Błąkał się tak do zmroku.

Przed wieczorem wrócił do miasta. Drzwi klasztorne były zamknięte; ale archidiakon miał przy sobie klucz od wieży, w której się znajdowała jego pracownia.

W kościele panowała ciemność i cisza. Gdy szedł przez kościół, uroiło mu się, że katedra się poruszyła, zatrzęsała ożyła.

Gorączka i obłąkanie doszły w nim do tego stopnia natężenia, że świat zewnętrzny wydał mu się rodzajem Apokalipsy.

Pod sklepieniem bocznej nawy spostrzegł czerwony odbłask światełka. Była to lampka oświecająca we dnie i w nocy brewiarz publiczny Najświętszej Panny, osłonięty żelazną kratą. Rzucił się z upragnieniem do świętej księgi w nadziei, że w niej znajdzie jakąś pociechę. Księga była otwarta.

„I duch przeszedł przed obliczem moim i słyszałem tchnienie słabe i włosy powstały na ciele moim”.

Przy czytaniu tych ponurych słów doznał dziwnego wrażenia. Wspomniałszy tę, która tego dnia umarła, zachwiał się i opadł na posadzkę. Gdy mu wróciły siły, pomyślał o schronieniu się w wieży, u boku wiernego Quasimoda. Podniósł się, a że strach go przejmował, wziął lampkę od brewiarza.

Zwolna począł wstępować na schody wieży. Rogaty księżyc, płynący pośród obłoków, podobny był do okrętu podniebnego.

Klaudiusz pochylił głowę i przypatrywał się czas jakiś dachom Paryża.

Zegar zaczął wydzwaniać północ.

Silniejszy podmuch wiatru zgasił mu lampkę i Klaudiusz ujrzał zjawiający się na przeciwnym rogu wieży jakiś cień, postać w bieli, niewiastę. Drgnął. Czuł, że nie śnił. Tuż obok mary biegła mała koza.

Odważył się przypatrzeć niewieście.

Była blada. Włosy spadały jej na ramiona tak jak z rana; ale już sznura nie było na szyi i ręce miała rozwiązane.

Szła ku niemu zwolna, patrząc w niebo; koza szła za nią. Za każdym krokiem kobiety on robił krok w tył. Cofnął się w ten sposób aż pod ciemne sklepienie schodów.

Ona tymczasem zbliżała się tylko do wejścia, zatrzymała się przy nim chwilę, wyminęła i poszła dalej.

Gdy się oddaliła, zaczął zstępować ze schodów struchlały, ze zgaszoną lampką w ręku.

Schodząc tak, powtarzał odczytany przed chwilą werset: „I duch przeszedł przed obliczem moim i słyszałem tchnienie słabe, i włosy powstały na ciele moim”. Każde miasto w wiekach średnich, a do Ludwika XII każde miasto we Francji, posiadało owe miejsca święte, nietykalne, które dawały tzw. prawo azylu. Każdy przestępca, który się tam schronił, był ocalony. Pałace królewskie, dwory książęce, kościoły przede wszystkim, miały przywilej azylu. Znalazłszy się w takim miejscu zbrodniarz był osobą nietykalną, ale nie mógł opuszczać swego schronienia.

Kościół posiadał zwykle izdebkę przygotowaną do przyjęcia błagających o ratunek. W roku 1407 Mikołaj Flamel kazał dla nich zbudować nad sklepieniem św. Jakuba izbę. W katedrze Najświętszej Panny izdebka taka znajdowała się u szczytu naw bocznych, pod filarami, naprzeciwko klasztoru.

Tutaj Quasimodo zaniósł Esmeraldę.

Gdy dzwonnik katedralny zdyszany złożył ją w izdebce, gdy poczuła jego grube ręce rozwiązujące ostrożnie powrozy, doznała czegoś w rodzaju wstrząśnienia. Uprzymiła sobie, że jest w katedrze Najświętszej Panny, przypomniała sobie, że została wyrwana z rąk kata, że Phoebus żył, że Phoebus już jej nie kochał, i te dwie myśli ścisnęły jej serce. Zwróciła się do Quasimoda stojącego przed nią i zapytała:

— Pocóżeście mnie ratowali?

Rzucił wtedy na nią spojrzenie pełne głębokiego smutku i uciekł.

W jakiś czas powrócił z zawiniątkiem. Była to odzież złożona dla ocalonej na progu świątyni przez kilka, litościwych kobiet.

Nieboga poczęła ubierać się pośpiesznie. Włożyła sukienkę z białą zasłoną. Był to strój nowicjatkki od sióstr miłosierdzia przy szpitalu Św. Ducha.

W pewnej chwili ujrzała powracającego ponownie Quasi-moda. W jednej ręce niósł kosz, w drugiej siennik.

W koszu znajdowała się butelka, chleb i trochę żywności. Postawił kosz na posadzce. — Proszę jeść. — Rozciągnął siennik w kątku i powiedział: — Proszę spać.

Cyganka chciała podziękować, ale nie mogła wymówić ani słowa. Nieboraczysko był straszny.. Zwiesiła głowę.

— Lękacie się... lękasz się mnie. Jestem bardzo brzydki. To nie patrz na mnie; słuchaj tylko. Dzień trzeba tu spędzić; w nocy można się przechadzać po całym kościele. Ale ty z kościoła nie wychodź ani we dzień, ani w nocy. Zginęłabyś niechybnie. Zabiliby cię, a ja bym skonał.

Wzruszona podniosła głowę, by mu podziękować. Ale dzwonnika już nie było. Znalazła się znów sama.

Nagle poczuła mordkę, podsuwającą się pod jej dłonie. Drgnęła. Była to biedna kóзка, Dźali wiatronoga, która podążyła za swą panią. Cyganka okryła ją pocałunkami.

— O, moja Dźali! — mówiła. — Więc nie myślisz mnie opuścić... O, ty nie znasz niewdzięczności!

I zaczęła płakać.

Ale gdy nadszedł wieczór, noc wydała się jej tak piękna, księżyc tak wdzięczny, że wyszła na galerię otaczającą katedrę.

Nazajutrz z rana ocknąwszy się spostrzegła, że zasnęła. Radosny promień wschodzącego słońca przekradłszy się przez okienko muskał ją po twarzy. Ale tuż przy framudze zobaczyła coś, co ją przeraziło; zobaczyła nieszczęśliwą twarz Quasimoda. — Proszę się nie lękać. Jestem twoim przyjacielem. Przyszedłem zobaczyć cię. To ci szkodzić nie może, wszak prawda, że przychodzę spojrzeć, gdy śpisz. Cóż cię to może obchodzić, że stoję tu, gdy masz oczy zamknięte. Teraz już odchodzę. Ot, skryłem się za ścianą. Możesz już otworzyć oczy.

Wzruszona Cyganka podeszła do okna i zobaczyła biednego garbuska, skurczonego pod ścianą. Usiłowała przemóc wstręt, jaki w niej budził.

— Chodźże! — rzekła łagodnie.

Z poruszenia jej ust Quasimodo zrozumiał, że go odpędza, i oddalił się kulejąc.

— Chodźże! — krzyknęła.

Ale nieborak wciąż się oddalał. Wtedy wybiegła z celi, rzuciła się za nim i pochwyciła go za ramię. Poczawszy jej dotknięcie Quasimodo drgnął, podniósł błagalnie oko i opierał się na progu.

— Nie, nie — mówił — sowa nie wchodzi do gniazdka jaskółki.

Chwilę stali bez słowa.

Quasimodo pierwszy przerwał milczenie.

— Więc kazałaś mi wrócić?

Potwierdziła skinieniem głowy. — Tak jest.

— Bo też niestety — rzekł jakby się wahając, czy ma dokończyć — jestem głuchy.

— Biedny człowiek! — zawołała Cyganka.

Uśmiechnął się boleśnie.

— Znajdujesz, że tego mi tylko brakło, prawda? W istocie — głuchy. Ale ty będziesz do mnie mówiła znakami. Mam pana, który w ten sposób ze mną rozmawia. A przy tym bardzo prędko odgadnę twą wolę z ruchu ust, z twojego spojrzenia.

— Zobaczymy — podchwyciła z uśmiechem. — Powiedzże mi, po coś mnie ratował?

On patrzył uważnie na jej usta.

— Zapomniałaś widocznie o nędzarzu, który pewnej nocy usiłował cię porwać; nędzarzu, któremu sama ty nazajutrz przyszłaś z pomocą. Kropelka wody, trochę litości... nie zapomnę ci tego nigdy!

Słuchała go z rozczuleniem. Łza zabłysła w jego oku.

— Nie — rzekł — nie powinienem tu bawić za długo. Wiem, że tylko przez litość nie odwracasz ode mnie wzroku.

Wyciągnął z kieszeni małą gwizdawkę.

— Weź to — dodał — gdy ci czego będzie potrzeba, gdy zechcesz żebym przyszedł, gdy ci obecność moja nie będzie zanadto przykra, zagwizdzesz.

Położył gwizdawkę na ziemi i wyszedł.

## **ROZDZIAŁ XVIII**

### **GLINA I KRYSZTAŁ**

Dnie biegły.

Esmeralda odzyskiwała powoli spokój. Zbytek boleści jak zbytek rozkoszy zanadto jest gwałtowny, by mógł trwać długo.

Z bezpieczeństwem zaświtała i nadzieja. Phoebus żył; była tego pewna, widziała go na własne oczy.

Ilekoć myśl o Phoebusie zostawiała jej chwilę wolnego czasu, Cyganka myślała także niekiedy i o dzwonniku. Był to jedyny związek, jedyna nić łącząca ją z ludźmi.

Nieszczęśliwa! Więcej jeszcze odgradzona była od świata niż Quasimodo.

Gwizdawkę, którą od niego otrzymała, zostawiła na podłodze. Nie przeszkadzało to garbuskowi zjawiać się od czasu do czasu. Ona ze swej strony robiła co mogła, by się nie odwracać ze wstrętem, ilekroć nadchodził niosąc koszyk z żywnością i dzbanek z wodą.

Pewnego razu nadszedł w chwili, gdy bawiła się z Dżali. Postał parę minut zamyślony; po czym wstrząsając kudłatym łbem powiedział:

— Całe moje nieszczęście, że za bardzo podobny jestem do człowieka. Wolałbym już być zwierzęciem.

Pewnego dnia Esmeralda wystąpiwszy na krawędź dachu przyglądała się ulicy.

Quasimodo znajdował się przy niej.

Nagle Cyganka drgnęła i wyciągnawszy ręce w stronę placu zawołała:

— Phoebus! — Głos jej drżał. — Phoebus! Mój Phoebus! — wołała. — Tu! Chodź tu!

Słówko, jedno tylko słówko! Na pamięć matki! Phoebusie!

Quasimodo wychylił się i ujrzał, że przedmiotem zachwytu Cyganki był młody mężczyzna, piękny jeździec, strojny, cały błyszczący od broni, paradujący konno w głębi placu i kłaniający się puszystym kołpakiem pięknej pani, uśmiechającej się doń z balkonu. Rozumie się, że kawaler nie posłyszał ani jednego słówka z wołań Esmeraldy. Natomiast głuchy słyszał dobrze. Odwrócił się.

Cyganka nie zwracała nań uwagi. Nieborak zgrzytając zębami powtarzał z cicha:

— Przekleństwo! Więc to takim być trzeba! Dość jest błyszczeć!

Ona tymczasem wołała:

— Ach, oto zsiada z konia!... Wejdzie zaraz do tego domu ... Phoebusie !... Nie słyszysz mnie ! .. Phoebusie !!... O, jakże złośliwa jest ta kobieta, że mówi doń teraz !.. Phoebusie! Phoebusie!

Oko dzwonnika napłynęło łzami. Naraz pociągnął z lekka dziewczynę za rękaw.

Odwróciła się.

— Czy chcesz, żebym go przyprowadził? Dziewczyna krzyknęła z radości.

— Ach, idź! Pędź! Czym prędzej! Wiesz, ten kapitan! Przyprowadź mi go!

— Pójdę, przyprowadzę go — rzekł słabym głosem. Odwrócił się i szybkim krokiem rzucił się ku schodom. Zanosił się od płaczu.

Gdy przyszedł na plac, ujrzał konia uwiązanego przy bramie mieszkania Gondelaurier; kapitana nie było. Postanowił czekać, póki kapitan nie wróci.

W mieszkaniu Gondelaurier trwała zabawa poprzedzająca wesele. Quasimodo widział wielką ilość osób wchodzących. Z domu wybiegł koniuszy, odwiązał konia i poprowadził do stajni.

Dzień cały minął w ten sposób. Quasimodo u węgła, Esmeralda na dachu, Phoebus bez wątpienia u stóp Lilijki.

Nadeszła noc bezksiężycowa, ciemna. Quasimodo daremnie wyężał wzrok, by ujrzeć Esmeraldę.

Widział jak od góry do dołu frontu w mieszkaniu Gondelaurier zapalały się światła w oknach.

Okolo godziny pierwszej po północy goście zaczęli się rozchodzić. Ukryty w ciemnościach Quasimodo uważnie przyglądał się każdej postaci przechodzącej pod krążgankiem oświetlonym pochodnią.

Naraz ujrzał otwierające się szklane drzwi balkonu, którego balustrada kamienna rysowała mu się nad głową. Nie bez trudu zdołał rozpoznać w mężczyźnie pięknego kapitana, w niewieście młodą panią, którą widział tego rana, gdy uprzejmie witała rycerza z wysokości tego samego balkonu. Na placu było zupełnie ciemno.

O ile nasz dzwonnik mógł sądzić, rycerz i piękna pani oddali się słodkiemu sam na sam. Młode dziewczę pozwoliło się kapitanowi objąć i słabo opierało się natarczywym całusom.

Niebawem jednak pod bramą rozległ się stuk kopyt końskich i wspaniały rycerz, owinięty w opończę, przemknął szybko przed oczami Quasimoda.

Dzwonnik puścił się za nim ze zwinnością małpy, wołając:

— Hej, kapitanie! Phoebus się zatrzymał.

— Czego chce ten huncwot?

Quasimodo dopadł tymczasem do jeźdźca i śmiało chwycił konia za cugle.

— Jedź ze mną, kapitanie; ktoś chce pomówić z waszą miłością.

— Do kroćset! — zgrzytnął Phoebus. — A to mi kudłate ścierwo!

— Kapitanie, czy nie pytasz kto taki?...

— Powiadam ci, puść cugle! — wrzasnął Phoebus zniecierpliwiony. — Co ci przyszło do głowy, łajdaku?

Quasimodo nie mogąc sobie wytłumaczyć oporu kapitana, pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Żywo, mości kapitanie, czeka na ciebie kobieta. I dodał z wysiłkiem:

— Kobieta, która cię kocha.

— Ot, dureń! — zawołał kapitan. — Zdaje mu się, że jestem obowiązany łązić do wszystkich kobiet, które mnie kochają.

— Słuchaj no, mości kapitanie! — rzekł Quasimodo pewny, że jednym słowem przewycięży wahanie rycerza. — To ta Cyganka!

— Cyganka! — krzyknął przerażony Phoebus, który sądził, że Esmeralda nie żyje. — Toś ty nie z tego, jak widzę, świata...

Phoebus spiał konia ostrogami, zakławszy siarczyście. Quasimodo stracił go z oczu w ciemnościach ulicy.

Powrócił do Notre-Dame, zapalił lampkę i wszedł po schodach na górę. Cygankę zastał na tym samym miejscu.

— Sam jeden! — krzyknęła boleśnie, załamując ręce.

— Nie mogłem go odszukać — wycedził chłodno Quasimodo.

— Trzeba było czekać — odparła z uniesieniem.

— Dopilnuję go lepiej innym razem — powiedział zwieszając głowę.

— Idź precz! — sarknęła. Odszedł.

Od tej pory nie pokazywał się już Cygance.

Koszyk z żywnością zabierała co wieczór niewidzialna ręka, by go wstawić następnego dnia. Któregoś poranka Esmeralda znalazła na oknie klatkę z ptaszkami.

Pewnego rana, budząc się ujrzała na okienku dwa wazony pełne kwiatów, jeden był kryształowy, bardzo ładny i błyszczący, ale nadpęknięty. Wyciekła z niego woda, a kwiaty zaczynały już więdnąć. Drugi był prostym garnkiem glinianym; kwiaty w nim były świeże.

Esmeralda wzięła zwiędły bukiet i cały dzień nosiła go na piersi. Zresztą wkrótce przestała już zupełnie widywać Quasimoda. Biedny dzwonnik znikł, zdawałoby się bez śladu, z katedry. Pewnej przecież nocy gdy nie mogła zasnąć i myślała o swoim kapitanie, słyszeć się dało w pobliżu jej celi westchnienie. Przerazona podniosła się z posłania i ujrzała przy świetle księżyca jakąś bezkształtną masę, rozciągniętą w poprzek jej drzwi, na ziemi. Był to Quasimodo; spał na gołych kamieniach.

## ROZDZIAŁ XIX

### KLUCZ OD CZERWONYCH PODWOI

Do archidiakona doszła wieść, w jaki sposób Cyganka została uratowana. Gdy się o tym dowiedział, zdumiał się. Pogodził się już był ze zgonem Esmeraldy i był spokojny. Serce ludzkie (Klaudiusz często nad tym rozmyślał) objąć może tylko pewną miarę rozpacz. Otóż śmierć Esmeraldy była ostatnią łzą jego duszy; z nią wszystko się dla Klaudiusza skończyło na ziemi. Ale wiedzieć, że ona żyje i Phoebus także — znaczyło dlań tyle, co nowe tortury i udręki.

Gdy ta wiadomość doszła do niego, zamknął się w celce i nie wychodził.

Janek, jego brat, przyszedł raz pode drzwi, stukał, błagał, na próżno; Klaudiusz nie otworzył.

Dnie całe spędzał z czołem przy szybie. Z okna widział kryjówkę Esmeraldy; ją samą widział często, z kozą lub w towarzystwie Quasimoda.

— Niechby jeszcze Phoebus, ale oni... — Myśl ta dobijała go.

Noce miał okropne. Nie miał ani chwili spoczynku. We dnie i w nocy męczyły go urojenia.

Pewnej nocy wreszcie skoczył z posłania, narzucił płaszcz na ramiona i wybiegł z celki z latarką w ręku, na pół przytomny.

Wiedział, jak się otwierają czerwone podwoje, prowadzące przez katedrę do wieży schodowej, od której klucz, jak nadmieniliśmy, nosił przy sobie.

Tej nocy Esmeralda zasnęła pełna nadziei, jak zawsze. Sen zwykle miała lekki. Budził ją najłżejszy szmer. Otworzyła powieki. Noc była straszliwie ciemna. Pomimo to ujrzała w okienku jakąś twarz. W chwili gdy podnosiła głowę, napastnik dmuchnął na kaganek.

Tym niemniej miała czas dostrzec go.

— On — jęknęła. — Mnich przeklęty! — I jak szalona zerwała się z posłania.

Napastnik podpełzł ku niej i objął obiema rękami.

— Precz, morderco! — powiedziała ochryłym głosem, drżąc z przerażenia.

— Litości! Litości! — szeptał nikczemnik.

— Puść mnie! — wrzasnęła.

Uczyniła ostatni wysiłek i zaczęła krzyczeć:

— Ratunku! Upiór!

Nagle natrafiła ręką na coś chłodnego i metalicznego. Była to gwizdawka Quasimoda.

Chwyciła ją i podniósłszy do ust zagwizdała.

— Co to jest? — spytał szaleniec.

I w tejże prawie chwili uczuł, jak czyjaś dłoń porwała go za kark. Nie mógł rozpoznać dokładnie, w którym się znalazł ręku; ale posłyszał szczękające ze złości zęby i spostrzegł pobłyskującą nad sobą klingę.

Nędznikowi wydało się, że zobaczył Quasimoda. Przypomniał sobie, że wchodząc potrafił jakby o kupę szmat, leżącą na rogu.

Chwycił rękę trzymającą nóż, krzycząc: — Quasimodo! — Zapomniał, że Quasimodo jest głuchy.

W jednej chwili leżał na ziemi; kolano jak ołów ciężkie przygniatało mu pierś.

Ginał. Młoda dziewczyna, bez litości, ani myślała śpieszyć mu z ratunkiem. Nóż raz i drugi błysnął w powietrzu, jakby ręka co go trzymała próbowała ciosu. Raptem przeciwnik się zawahał.

— Ani kropli krwi na niej! — mruknął ponuro. Nieszczęsny poczuł wtedy, że żelazne palce chwyciły go

za nogi i jednym zamachem wywlekły na zewnątrz izdebki; tam miał umrzeć.

Na szczęście księżyc wzeszedł od kilku minut.

Gdy się znaleźli za progiem, blady promień padł na twarz posiniałej poczwary.

Quasimodo pochylił się ku niej. Drgnął, puścił ofiarę i cofnął się.

Cyganka ze zdumieniem ujrzała zmieniające się nagle role. Złoczyńca teraz z kolei groził, Quasimodo błagał.

Scena była gwałtowna, ale krótka. Dzwonnik otrzymał znak do odejścia.

Garbusek zwiesił głowę, po czym podszedł do Cyganki i ukląkł.

— Panie — powiedział — zrobisz później co zechcesz, ale zabij mnie pierwej.

Mówiąc to podawał nóż przeciwnikowi. Ten wyciągnął rękę. Ale go uprzedziła

dziewczyna; wyrwała nóż z ręki Quasimoda i zawołała: — Zbliź się teraz! Nie śmiesz?

Czy nie śmiesz już teraz zbliżyć się, łotrze! Myślisz, że nie wiem, iż Phoebus mój żyje.

Mnich obalił Quasimoda jednym uderzeniem kolana i trzęsąc się z wściekłości wyszedł.

Młoda dziewczyna padła bez ducha na pościel i zanosła się płaczem.

## **ROZDZIAŁ XX**

### **HULAJ DUSZA!**

Gdy tylko Piotr Gringoire przekonał się, jaki obrót przybrała sprawa, postanowił dać spokój wszelkim interwencjom. Cech hultajski ze sprawozdania Gringoire'a dowiedział się, że małżonka jego skryła się w Notre-Dame, i był temu szczerze rad.

Pewnego dnia zatrzymał się nasz poeta w pobliżu kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois. A tu nagle klepie go ktoś po ramieniu!... Odwraca się. Losy chyba strzegły przybysza... był nim bowiem nie kto inny, tylko stary przyjaciel artysty, archidiakon we własnej osobie.



— Jak się miewasz, mości Piotrze?

— Dziękuję — odrzekł Gringoire. — At! Można by o tym powiedzieć i tak i owak.

— Nie masz żadnych kłopotów? — zagadnął archidiakon.

— Ot, dalibóg, chyba że nie.

W tej chwili dał się słyszeć tętent i rozmawiający ujrzeni rozwijającą się kompanię łuczników poczty królewskiego, ze wzniesionymi lancami, z dowódcą na czele.

— Dziwnie się patrzysz, mistrzu, na tego wojaka! — rzekł Gringoire do archidiakona.

— Bo mi się zdaje, że go sobie przypominam.

— A jakże by mu było na imię?

— Jeżeli się nie mylę — odpowiedział archidiakon — zwie się Phoebus de Chateaupers.

Ale Piotrze Gringoire, cóżeś zrobił z tą małą tancerką cygańską!

— Esmeraldą... Szybko i nagle zmieniasz, mistrzu, rozmowę.

— Nie była twoją żoną?

— Była i nie była! Mówiono mi, że oddała się w opiekę Najświętszej Pannie katedralnej.

Ot, wszystko, co wiem o niej.

— To ja ci powiem więcej — zawołał Klaudiusz. — Skryła się w rzeczy samej w Notre-Dame. Ale za trzy dni sprawiedliwość ją znowu dosięgnie i powieszona zostanie na placu grevsklm. Jest ponowny wyrok trybunalski.

— I któż u licha — spytał poeta — zajął się wyjednaniem wyroku? Cóż to komu szkodzi, że biedna dziewczyna ukrywa się w katedrze?

— Są szatani na świecie — wtrącił archidiakon. — Jak ją ocalić? — mruczał.

Gringoire uderzył się po czole.

— Posłuchaj no, mistrzu, nie zbywa mi na wyobraźni; znajdę sposoby. Ot, żeby tak np. postarać się o ułaskawienie u króla.

— U Ludwika XI-go? Ułaskawienie?

— Dlaczegoż by nie ?

— Idź odbierz kość tygrysowi. Archidiakon poklepał poetę po ramieniu.

— Mości Piotrze, namyśliłem się dobrze, jeden jest tylko dla niej środek ocalenia.

— Jaki?

— Słuchaj no, panie Piotrze. Nie zapominaj, że to jej właśnie winieneś życie... Kościół strzeżony jest we dnie i w nocy; wypuszczają tych tylko, których widziano jak weszli.

Będziesz więc mógł wejść. Przyjdiesz do mnie. Zaprowadzę cię do niej. Zamienicie ubrania. Ona włoży twoją kapotę, ty wdziejesz jej spódnicę.

— Jak dotąd, to nieźle — wtrącił poeta — No, a dalej?

— Dalej. Ona wyjdzie w twoim ubraniu. Bardzo możliwe, że cię powieszają; ale ona będzie ocalona.

Gringoire złapał się za ucho.

— Przysięgą — rzekł — że myśl podobna nigdy by mi samemu nie przyszła do głowy.

— I cóż, Gringoire?

— Wydaje mi się, że powieszają mnie niechybnie.

— Ocaliła ci życie. Spłacisz tylko dług.

— Hm, ostatecznie...

— Więc zgoda?

— Bo i cóż to jest śmierć — medytował dalej Gringoire. — Momencik, myto u rogatki, przejście od niewielkich rzeczy do niczego.

Archidiakon podał mu rękę.

— No, więc skończone. Czekam cię jutro. Wówczas Gringoire zreflektował się.

— A, przepraszam, co to, to nie! Być powieszonym! Znadto to niedorzeczne. Nie chcę.

— Więc bywaj zdrów! — I archidiakon dodał przez zaciśnięte zęby: — Znajdziemy się!

— Wcale sobie tego nie życzę — pomyślał Gringoire i pobiegł za Klaudiuszem.

— Słówko, archidiakonie! Tylko bez kwasów. Co byś powiedział, gdybym znalazł sposób wyciągnięcia jej z biedy nie narażając szyi? Nie byłoby ci tego dość? Jestże absolutnie konieczne, abym dał gardło?

Ksiądz rwał guziki na sutannie z niecierpliwości.

— Do rzeczy! Jaki jest twój sposób? Mów!

— Niewątpliwie — mruczał do siebie Gringoire — tak jest... dzielna wiara z tej hołoty... ergo, powstaną na pierwszy sygnał... Nic łatwiejszego ... Raz, dwa trzy ... Pod zasłoną rozruchu... nocką... zaraz od jutrzejszego wieczora... Uniosą jak piórko... W to im graj.

— Powiesz, czy nie? — przerwał ksiądz potrząsając go za kurtkę.

Gringoire najgrzeczniej zwrócił się ku archidiakonowi.

— Ależ zostaw, mistrzu! Alboż nie widzisz, że kombinują. — Rozważał jeszcze chwil kilka, po czym jął klaskać w dłonie wołając:

— Cudne! Powodzenie zapewnione.

— Słucham — rzekł ksiądz sucho. Gringoire był rozplomieniony.

— Daj ucha, mistrzu, powiem ci na ucho! Ale, ale... czy koza jest przy dziewczynie?

— Jest i niech cię piorun spali!

— Byliby ją także powiesili, wszak prawda?

— I cóż mnie to obchodzi.

— Powiesiliby na pewno!

— Przekłęty głupcze! — krzyknął Klaudiusz. — Sposób, gdzie twój sposób?

— Oto jest!

Gringoire pochylił się i począł szeptać na ucho archidiakonowi rzucając niespokojne spojrzenia. Gdy skończył, Klaudiusz wziął go za rękę i rzekł:

— Dobrze. Do jutra.

Archidiakon wrócił do klasztoru i u drzwi swej celi zastał Jana du Moulin, który oczekując nań, z nudów rysował węglem na ścianie profil starszego brata z wydłużonym nosem.

— Kochany bracie — odezwał się nieśmiało Janek — przyszedłem cię odwiedzić.

— I cóż dalej?

— Bracie mój — mówił obłudnik — jesteś tak dla mnie dobry i takie dobre mi dajesz rady, że zawsze się do ciebie zwracam.

— No, i cóż dalej?

— Mój bracie najdroższy, masz oto przed sobą winowajcę, zbrodniarza, nędznika, libertyna. Dopóki miałem pieniądze, wyprawiałem hulanki, biesiady, szaleństwa. Obecnie nie mam już ani jednego tynfa; sprzedałem swe prześcieradło, koszulę et caetera.

Dziewczęta naigrawają się ze mnie. Wodę już tylko piję. Dokuczają mi wyrzuty sumienia i wierzyciele.

— Skończyłeś?

— Niestety, najdroższy mój bracie, jestem grzesznikiem żadnym poprawy. Spowiadam się. Biję się w piersi z całych sił. Masz rację, bracie, gdy żądasz, bym został magistrem kolegium Torchi. Oto właśnie poczułem w tych czasach gorące do tego stanu powołanie. Ale atramentu nie mam, trzeba go kupić; papieru nie mam, trzeba go kupić; piór nie mam, książek nie mam, trzeba to wszystko kupić. Trochę gotówki byłoby tu rzeczą zbawienną i w tym celu udaję się do ciebie, najukochańszy bracie, z sercem pełnym skruchy.

— Czy to już wszystko?

— Tak jest — odpowiedział żak. — Trochę pieniędzy.

— Nie mam ani grosza.

Żak oświadczył wtedy z miną poważną i stanowczą:

— Jeżeli tak, bracie mój, to bardzo mi przykro, ale gdzie indziej robią mi najpiękniejsze propozycje. Nie chcesz mi dać pieniędzy?... Nie... W takim razie zaciągam się do włóczęgów.

Archidiakon rzekł na to chłodno:

— Zaciągnij się do włóczęgów.

Jan złożył mu głęboki ukłon i gwizdząc zbiegł po schodach.

W chwili gdy przechodził przez dziedziniec klasztorny, pod oknem celi swego brata, posłyszał jak się okno otworzyło, podniósł głowę i ujrzał wychylającego się archidiakona.

— Idź do szatana! — zawołał Klaudiusz. — Oto są ostatnie pieniądze, jakie otrzymujesz ode mnie.

Jednocześnie ksiądz cisnął Jankowi sakiewkę, z którą żak odszedł uradowany jak pies z kością pełną szpiku.

Pewna część Dziedzińca Cudów otoczona była starymi murami Paryża, których baszty w tej epoce zaczynały się już rozsypywać w gruzy. Jedna z tych baszt obrócona została przez cech hultajów na dom zabawy.

Szynk znajdował się w niższej izbie, reszta na górnych piętrach. Miejsce to było najbardziej ożywione, a przeto najohydniejsze z całej siedziby mętów paryskich; rodzaj potwornego ula, huczącego we dnie i w nocy.

Na drzwiach szynku znajdowało się malowidło przedstawiające w niebieskim polu monetę i martwe kury z napisem u spodu: „Pod Dzwonnikiem dla Umarłych”.

Pewnego wieczora, w chwili kiedy ze wszystkich wieżyc paryskich otrąbiono: — Gaście ogień! — pachółkowie miejscy, gdyby im danym było wejść na straszny Dziedziniec, mogliby zauważyć, że w gospodzie panował większy jeszcze ścisk i rwetes niż zwykle.

Okragła, obszerna izba była zatłoczona. Kilka zapalonych łójówek stało na stołach.

Pomimo okropnego zamętu można było rozróżnić w tłumie trzy gromady zebrane dokoła trzech osobistości. Jedną z tych osobistości, dziwacznie przybraną w liczne blaszki i szychy wschodnie, był Matias Hungadi Spikali. Hultaj siedział na stole ze skrzyżowanymi nogami, z rękami wyciągniętymi ponad głowami hałastry i podniesionym głosem wykladał naukę białej i czarnej magii. Druga grupa mrowiła się około dopina Trouillefou, dzielnego króla włóczęgów, który rozdzielał broń. Z ogromnej beczki sypały się szable, siekiery,

kolczugi, groty, czekany, młoty, koncerze. Każdy chwycił to czego potrzebował, ten zamek ruszniczny, ów — pałasz, trzeci — puginał.

Ostatnia wreszcie gromada, najhałaśliwsza i najliczniejsza, zalegała ławki i stoły, gdzie perorował rycerz w ciężkiej zbroi. Indywiduum to miało na sobie pas ze sztyletami i puginałami, wielką szpadę u boku i zardzewiałą kuszę.

Nad wrzaskami tłuszczy górował głos młodego łobuza, uzbrojonego od stóp do głowy.

— Wiwat! Kochajmy się! Przyjaciele, zwę się Jan Frolo du Moulin. Bracia! czeka nas triumf! Jesteśmy dzielni. Otoczyć kościół, wywalić drzwi, porwać dziewczynę, ocalić ją od sędziów, ocalić od klechów; zburzyć klasztor i spalić biskupa!

Sprawa nasza jest słuszna; złupimy Notre-Dame do ostatniej szpilki. Ale stawiam warunek: Quasimodo zostanie powieszony. Znacie Quasimoda? Hulaj dusza!

Szynkareczko, duszko moja, innego dawaj wina, mam czym płacić. Nie chcę już więcej tej lury. Dostanę zapalenia gardła.

Tłuszcza klaskała i zanosila się od śmiechu.

Tymczasem tłum nie przestawał się zbroić i szeptać.

— Biedna ta Esmeralda! — mówił jeden z Cyganów. — Toż to siostrzyczka nasza.

Trzeba ją koniecznie stamtąd wyciągnąć.

Clopin Trouillefou skończył rozdawnictwo broni i zbliżył się do Gringoire'a, który siedział przy piecu.

— Bracie Piotrze — rzekł król włóczęgów — nad czym się tak, u diabła, zamyśliłeś? Gringoire obrócił się doń z uśmiechem.

— Lubię ogień, mój panie.

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli coś rozumiem! — rzekł król. — Nie wiesz, która godzina?

— Północ — odpowiedział Gringoire. Wtedy Clopin wrzasnął:

— Północ!

Na ten wyraz, który wywołał efekt jak komenda: Na koń! — wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci tłumnie rzucili się z izby z ogłuszającym szczękiem broni i żelastwa.

W dziesięć minut później czaty konne z przerażeniem usuwały się przed długim pochodem czarnej, milczącej zgrai, sunącej przez kręte ulice.

## ROZDZIAŁ XXI

### PRZYJACIEL NIE W PORĘ

Tej samej nocy Quasimodo nie zmrużył powiek. Właśnie skończył obchód kościoła. Ale nie zauważył, gdy zamykał główne podwoje, że archidiakon przeszedł koło niego i skrzywił się, widząc jak dzwonnik zaryglowywał ogromne żelazne drzwi. Klaudiusz miał bardziej zakłopotaną minę niż zwykle. Zresztą od nocnego zajścia w izdebce bez ustanku czepiał się Quasimoda; nic jednak nie mogło zachwiać cierpliwości i przywiązania wiernego sługi. Znosił on ze strony archidiakona obelgi i pogroźki bez szemrania.

Tej nocy Quasimodo wszedł na sam szczyt północnej wieży i postawiwszy na dachu latarenkę przypatrywał się Paryżowi. Noc była bardzo ciemna. Paryż w tej epoce nie miał

żadnego oświetlenia. W jednym tylko oknie Quasimodo dojrzał światelko od strony bramy w. Antoniego, w gmachu niewyraźnie rysującym się ponad resztą dachów. Tam również ktoś czuwał.

Nagle wydało mu się, że poziom nadbrzeżnej alei zmienił się tak, jakby tam coś się ruszało.

Zdziwiło go to. Wytężył wzrok.

Nie zdołał jeszcze dociec, co by to mogło być, gdy to samo zjawisko powtórzyło się, tym razem jednak już nie nad Sekwaną lecz na ulicy Przedkatedralnej, przecinającej Gród w kierunku prostopadłym do frontonu Najświętszej Panny.

Nareszcie, jakkolwiek grube ciemności zalegały miasto, spostrzegł wysuwające się z tej ulicy czoło kolumny i rozplywające się niebawem po całym placu tłumy.

Raptem zabłysło światelko, a po nim siedem czy osiem zapalonych pochodni zapłonęło nad tłumem.

Quasimodo ujrzał wtedy na placu morze mężczyzn i kobiet w łachmanach, uzbrojonych w kosy, piki, halabardy, których tysiączne ostrza pobłyskiwały w świetle pochodni.

Quasimodo wziął latarkę i zeszedł na krużganek, by się przyjrzeć lepiej i obmyśleć środki obrony.

Clopin Trouillefou przybywszy przed główny fronton katedry ustawił swą armię w szyku bojowym.

Przedsięwzięcia w rodzaju tego, do spełnienia którego zabierały się w tej chwili męty paryskie przed katedrą Najświętszej Panny, w miastach średniowiecznych nie należały do rzeczy niezwykłych. To, co nazywamy dziś policją, wówczas jeszcze nie istniało. W miastach, w stolicach głównie, nie było władzy centralnej. Feudalizm w dziwaczny sposób zbudował te wielkie gminy. Miasto było zbiorem udzielnych dominiów. Stąd dziesiątki oddzielnych straży policyjnych, skłóconych ze sobą. W Paryżu na przykład, niezależnie od stu czterdziestu i jednego panów z prawami fiskalnymi, było jeszcze dwudziestu pięciu pretendentów tak do pobierania podatków, jak do wymiaru sprawiedliwości, od biskupa paryskiego, który miał sto pięć ulic pod sobą, do przeora Najświętszej Panny Polnej, który takich ulic miał cztery. Wszyscy ci feudalni sędziowie, poborcy i możnowładcy nominalnie tylko uznawali zwierzchnią władzę króla. Każdemu przysługiwało prawo strzeżenia porządku na własnych śmieciach. Każdy był u siebie panem.

Skoro tylko pierwsze przygotowania zostały ukończone, przywódca bandy wstąpił na podwyższenie przedkatedralne. Po czym zwrócony twarzą do kościoła i powiewając pochodnią zawołał chrapliwym głosem:

— Tobie, Ludwiku de Beaumont, biskupie paryski, radco wielkiej izby najjaśniejszego trybunału, ja Clopin Trouillefou, król włóczęgów, powiadam co następuje: Siostra nasza, fałszywie skazana za czary, ukryła się w twoim kościele. Winienesz być dać jej przytułek i ochronę. Teraz wielka izba trybunalska chce ci ją odebrać i ty na to przystałeś, tak, że gdyby nie Bóg i brać włóczęgowska, powieszonoby ją jutro na placu. Do ciebie tedy przychodzimy, biskupie. Jeżeli kościół twój jest nietykalny, nietykalna jest i siostra nasza. Oto dlaczego wzywamy cię, abyś nam oddał dziewczynę, jeżeli pragniesz ocalić kościół.

W przeciwnym razie oświadczamy ci, że dziewczynę zabierzemy, a kościół złupimy. Niech Bóg ma cię teraz w świętej swej opiece, biskupie paryski!

Na nieszczęście Quasimodo nie mógł słyszeć tych słów. Jeden z włóczęgów podał proporzec Clopinowi, który go uroczyście zatknął w bruk, pomiędzy kamienie. Był to drag rosochaty, na którego rogach wisiała skóra końska.

Co uczyniwszy król odwrócił się i powiódł okiem po swoim wojsku, dzięki tłuszczu. Nastąpiła chwila ciszy jak przed burzą. Po czym wznosząc pochodnię Clopin zawołał: — Naprzód, dziatwa! Hajże, do roboty!

Trzydziestu barczystych drabów wystąpiło z szeregów z młotami, obcęgi i żelaznymi dragami na ramieniu. Skierowali się ku środkowym podwojom kościoła, weszli na stopnie i jęli podważać drzwi lewarami.

Podwoje jednak nie ustępowały tak łatwo.

— Śmiało, towarzysze! — zachęcał Clopin. — Słyszycie? Zamek zdaje się już pęka. Clopinowi przerwał przeraźliwy huk, który się rozległ w tej chwili od tyłu. Obrócił się. Ogromna belka przygniotła tuzin opryszków na stopniach.

Rozległy się okrzyki przerażenia. W mgnieniu oka wąski plac przedfrontowy opróżnił się. Robotnicy, acz zabezpieczeni głęboką powalą sklepień portykowych, porzucili pracę, sam nawet Clopin cofnął się na przyzwoitą odległość od kościoła.

— A tożem umknął — zawołał Janek. — Dmuchnęła mi tylko, psiawiara, koło ucha. Trudno powiedzieć jakie zdumienie, jaki postrach spadł na włóczęgów razem z belką. Król włóczęgów ochłonawszy z pierwszego wrażenia znalazł nareszcie tłumaczenie, które się towarzyszom wydało dość naturalne.

— Czyżby się kapituła broniła? W takim razie pal! Rabuj!

— Rabuj! — powtórzyła tłuszczka. I grad pocisków posypał się z rusznic i kusz na fronton katedralny.

Strzały te obudziły spokojnych mieszkańców sąsiednich domów. Kilkadziesiąt okien otworzyło się.

— Pal do okien! — wrzasnął Clopin. Okna pozamykały się natychmiast.

— Do dzieła! — wołał Trouillefou. — Wyłamać drzwi! Nikt się nie ruszył.

— Ba! Potrzeba by na to tarana! — zauważył ktoś.

Król włóczęgów poskoczył ku belce i postawił na niej nogę.

— A to czy nie taran? — krzyknął. — Sama kapituła wam go posyła.

Po czym pokłonił się katedrze.

— Bóg zapłać, wielbni ojcowie!

Odwaga wstąpiła w serca atakujących. Niebawem ciężka belka, porwana jak piórko przez dziesiątki rąk, uderzyła w wielkie podwoje. Podwoje huknęły jak bęben, ale nie ustąpiły. Jednocześnie deszcz kamieni jał spadać z wyżyn fasady na oblegających.

— Święty Jacku z pierogami! — wołał Janek — czyżby wieże strząsały nam już swoje posążki na głowy.

Ale zapal już rozgorzał; król dawał przykład. Nie ulegało wątpliwości, że biskup się bronił. Z tym większą zaciętością i zapalem grzmocono we drzwi nie zważając na kamienie. Czytelnik domyśla się, że opór pochodził od Quasimoda.

Ale atakującym nie ubywało zapалу i męstwa. Już ze dwadzieścia razy grube podwoje zadrżały pod ciężarem dębowego tarana. Okucia trzeszczały, zawiasy za każdym wstrząśnieniem drżały na hakach, z drzewa sypała się miazga.

Szczęściem dla Quasimoda więcej tam było żelaza niż drzewa.

Dzwonnik czuł jednak, że podwoje się chwiały. Jakkolwiek huku nie słyszał, każde uderzenie tarana powodowało wstrząs.

Ażeby odeprzeć oblegających trzeba było znaleźć coś skuteczniejszego niż kamienie. Uwagę jego zwróciły gardziele rynien na tym samym poziomie posadzki krużganku, na którym stał. Nowy pomysł przyszedł mu do głowy, przyniósł ze swej izdebki wiązkę chrustu, na chrust położył parę desek, a na to kilkanaście zwitków blachy ołowianej, po czym ułożywszy stos przy otworach dwóch rynien, podpalił go płomieniem swego kaganka.

Podczas tych przygotowań kamienie przestały niepokoić atakujących. Tym gorliwiej wzięli się do dzieła, cisnąc się dokoła drzwi.

Naraz, właśnie w chwili, gdy znów dźwignęli taran by zadać ostatni cios, wyrwał się z ich piersi straszliwy krzyk. Ci, którzy ocaleli, rozglądali się z przerażeniem. Dwa strumienie roztopionego ołowiu lały się z wyżyn gmachu w sam środek ciżby.

Wrzaski rozdzierały powietrze. Atakujący rozbiegli się bezładnie, porzuciwszy belkę. Najśmielsi nie dotrzymali placu.

Oczy wszystkich wzniosły się ku górze. Ponad najwyższą galerią między dwiema dzwonicami piął się w górę słup płomieni i iskier. Poniżej tego płomienia dwie kamienne rynny o potwornych paszczach pluły bez przerwy potokami rozpalonej lawy.

Wśród oblegającej czerni zapanowało ponure milczenie, podczas którego dawały się słyszeć wołania o ratunek. Clopin Trouillefou gryzł z wściekłości paznokcie.

— Widzicie tego szatana, co się tam przed ogniem przechadza! — zawołał ktoś.

— Ba! — rzekł Clopin — to ten przekłety dzwonnik Quasi modo.

— Patrzcie — zawołano w tłumie. — Oto i nasz mały Janek.

— A cóż on tam ciągnie?

Był to Janek w rzeczy samej. Nadbiegał z szybkością, na jaką mu pozwalała długa drabina, którą ciągnął z hałasem po bruku.

— Zwycięstwo! — wrzeszczał. — Mamy drabinę... Z najlepszego źródła... Od robotników portowych.

— Wybornie — powiedział Clopin — lecz po co drabina? Janek spojrzał nań złośliwie.

— Po co drabina pytasz, królu. Widzisz ten oto... hen tam w górze, ten szereg bałwanów o oślich minach.

— No widzę, więc co?

— Jest to galeria królów francuskich.

— Pal ich diabli, cóż mnie to obchodzi?

— Ależ słuchaj! W końcu tej galerii są drzwi zamykane na kłódkę...

— Rozumiem, dawaj drabinę.

— O nie, braciszku, drabina moja. Chodź, będziesz drugi po mnie.

— Zwariowałeś! — rzekł nachmurzony Clopin — nigdy drugim nie byłem i być nie chcę.

— W takim razie poszukaj sobie drabinki, najjaśniejszy panie.

I Janek poskoczył ku środkowi placu ciągnąc za sobą drabinę i wrzeszcząc:

— Za mną, dziatwa!

W jednej chwili drabina została wzniesiona i oparta o poręcz galerii niższej, zwanej królewską. Janek pierwszy postawił stopę na drabinie. Droga do przebycia nie była krótka. Galeria królów francuskich wyniesiona jest dziś na stóp blisko sześćdziesiąt. Jan wstępował powoli, obciążony zbroją; jedną ręką przytrzymał się drabiny, w drugiej miał kuszę.

Dotarł wreszcie do galerii i nagle zatrzymał się tam. Za jednym z posągów królewskich spostrzegł zaczajonego Quasimoda.

Zanim drugi z kolei napastnik zdołał postawić nogę na galerii, okropny garbusek rzucił się do drabiny, potężnymi rękami chwycił wystające drążki, podciągnął ku sobie i odsunął od muru, obwieszoną ludźmi.

Była sekunda, w której najdzielniejszym serce bić przestało. Drabina odepchnięta zachwiała się, po czym zakreślając łuk, zwała się z całym ładunkiem ludzi na bruk.

Okropny wrzask, jęki i przekleństwa rozdarły ciszę nocy.

Quasimodo niewzruszony, oparłszy się łokciami o krawędź balustrady, patrzył. Wyglądał na kudłatego króla tych murów.

Jan Frollo znajdował się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Pozostał na galerii sam na sam z okropnym dzwonnikiem.

Wtedy w półmroku nocnym, rozjaśnionym światłem pochodni, ujrano rzecz straszną.

Quasimodo porwał Jana jak kukłę, poniósł go na krawędź balustrady i zrzucił w przepaść.

Z tysiąca piersi wyrwał się jeden okrzyk rozpacz i oburzenia.

— Zemsta! — wrzasnął Clopin.

— Zburzyć na proch i popiół! — odpowiedziały tłumy.

— Naprzód! Hurmem!

Wrzawa, jaka się wówczas podniosła, była już tylko długim, nieludzkim wyciem.

Quasimodo przerażony ujrzał, jak całe mrowie ludzkie zaczęło się gramolić ze wszystkich stron po ścianach katedry. Ci co nie mieli drabin, mieli sznury, ci co nie mieli sznurów, wdrapywali się po wypukłościach rzeźb i posągów. Czepiali się jeden drugiego.

Z daleka słychać było jak biją dzwony na alarm. Ludzie wyli, przeklinali, wdzierali się.

Quasimodo, bezsilny wobec tylu nieprzyjaciół, drżący z obawy o Cygankę, widząc rozgorączkowane twarze napastników, załamywał z rozpacz ręce i błagał niebiosa o cud.

## ROZDZIAŁ XXII

### ZACISZE, W KTÓRYM LUDWIK XI ODPRAWIA GODZINKI

Nie uszło może uwagi czytelnika, że na parę minut przed dostrzeżeniem tłumu włóczęgów Quasimodo z wysokości dzwonnicy zauważył jedyne w całym mieście światełko. Poblyskiwało ono przez szybę górnego piętra wyniosłej i ciemnej budowli, położonej tuż obok bramy Świętego Antoniego. Gmachem tym była Bastylia; światłem za szybą — świeca w komnacie Ludwika XI.



Król Ludwik XI od dwóch dni bawił w Paryżu. Nazajutrz miał odjechać do swojej twierdzy w Montilz-les-Tours. Od dawien dawna stało się u niego zwyczajem odwiedzać stolicę swego państwa bardzo rzadko i tylko na krótko, nie czuł się w niej bowiem bezpieczny. Dnia tego przeniósł się z Luwru na nocleg do Bastylli.

Komnatka, którą król sobie urządził w słynnym więzieniu, była dość obszerna, choć zajmowała ostatnie piętro jednej z wieżyczek, wchodzącej w skład głównej baszty zamkowej.

Okno było tylko jedno, wąskie, ostrołukowe, zabezpieczone siatką z mosiężnego drutu i żelaznymi kratami.

Jedno tylko również było wejście, drzwi nowej budowy i kształtu, zasłonięte makatą od wewnątrz. Przy krześle w pobliżu okna stał stół nakryty kobiercem w desenie z kwiatów i figur zwierzęcych. Na stole znajdowały się: kałamarz, kilka piór, zwitki pergaminów i srebrny puchar.

Komnatę zwano „zaciszem, kędy godzinki swe odprawował Jego Miłość Ludwik Francuski”.

W chwili, gdyśmy czytelnika wprowadzili w to ustronie, było już prawie ciemno. Ostatni hejnał wieczorny już otrąbiono, noc zapadła, w komnacie zaś migocąca na stole świeca woskowa oświecała pięć osób.

Pierwszą, na którą padało światło, był wielmoża przepyszenie ubrany, w opończy ze złotogłowi o czarnych centkach. Ów strój wspinały zdawał się ociekać złotem.

Spojrzenie tego człowieka było złe, wyraz twarzy dumny, głowa wzniesiona wyniośle.

Stał on z długim rejestrem w ręku, za krzesłem, na którym siedziała mizerna, zgięta we dwoje osobistość, bardzo dziwnie ubrana. Wyobraźmy sobie tułów opięty kurtą półsukienną, podszytą futerkiem, brudną mykę, spod której sterczało zaledwie parę włosków, i to już będzie wszystko, czym się wyróżniała ta postać. Głowa jej zwieszona była na piersi tak, że twarzy okrytej cieniem nie mogłeś dostrzec. Z ręki chudej i pomarszczonej można się było domyślać starca. Był to Ludwik XI.

W pewnej odległości od niego rozmawiali z cicha dwaj cudzoziemcy, ubrani z flamandzka. Byli to dwaj główni posłowie flamandzcy, Wilhelm Rym i Jakub Coppenole, ulubieniec gminu, sławny pończosznic. Wiadomo, że ci dwaj byli dopuszczani do spraw tajnej polityki Ludwika XI.

Wreszcie u drzwi stało w cieniu wyprostowane i nieruchome chłopisko o niedźwiedzim karku, w kolczudze rycerskiej.

Wielmoża czytał królowi memorandum, którego Jego Królewska Mość zdawał się słuchać z wielkim skupieniem. Dwaj Flamandzcy szeptali sobie coś na ucho.

W tej chwili dał się słyszeć głos króla.

— Pięćdziesiąt soldów na suknie pacholków, dwanaście liwrow na opończe palestrantów? Zwariowałeś czy co, Olivier?

Mówiąc to starzec podniósł głowę. Na szyi błyszczał mu złoty łańcuch orderu Św.

Michała. Światło świecy padało na jego chude i zgryzione oblicze. Wyrwał papiery z rąk dostojnika.

— Rujnujecie nas bez sumienia i miary! — zawołał. — Co za ekspensa! I na co nam dwór tak huczny? Dwóch kapelanów po dziesięć liwrow na miesiąc każdemu! Jeden

wikariusz — sto soldów! Podkomorzy — dziewięćdziesiąt liwrów rocznie! Szaleństwo oczywiste! Wypadnie sprzedać naczynia stołowe! I na rok przyszły, gdy Bóg i Najświętsza Panna doczekać pozwolą, wypadnie nam chyba pić rumianek z cynowego kubka!

Mówiąc to spojrzął na srebrny puchar połyskujący na stole i odkaszlnął.

— Mistrzu Olivier, panowie rządzący w swych włościach, równie jak króle i cesarze, nie powinni pozwalać, ażeby zbytek i pycha do domów ich się zakradały, gdyż zaraza i zły przykład ciągną stąd na prowincje i parafie... Owóż, mości Olivier, zanotuj to sobie.

Wydatki nasze wzrastają z roku na rok. Wcale nam się to nie podoba!

Umilkł zadyszany; po czym zawołał z uniesieniem:

— Tak jest! Dokoła siebie nie widzę nikogo, oprócz ludzi, którzy się krwią moją tuczają! Albo znów ta prośba szlachty francuskiej, domagającej się od nas, byśmy ponowili przywileje i wielkie obowiązki korony! Prawda, że wielkie obowiązki!

W tej chwili drzwi się otworzyły i jakiś człowiek wpadł do komnaty wołając:

— Najjaśniejszy panie! najjaśniejszy panie! Rebelia ludowa w Paryżu!

Surowe oblicze Ludwika XI skurczyło się i drgnęło. Król podniósł głowę i zauważył chłodno:

— Coictier, zbyt gwałtownie wchodzisz.

— Najjaśniejszy panie! Bunt w mieście! — powtórzył przybysz.

Król podniósł się z siedzenia, chwycił nowoprzybyłego za ramię i nachyliwszy się mu do ucha rzekł gniewnie, spoglądając zezem na Flamandów:

— Milczże lub mów ciszej!

Coictier zaczął mówić szeptem. Król słuchał z zimną krwią. W końcu parsknął śmiechem.

— Doprawdy! Czemuż nie mówisz głośno, Coictier! Cóż ci jest, ochrypleś, że tak szepczesz? Bogu i Najświętszej Pannie wiadomo, że nie mamy nic do ukrycia przed miłymi nam posłami flamandzkimi.

— Ale, najjaśniejszy...

— Proszę mówić otwarcie. Coictier oniemiał ze zdziwienia.

— Więc — zaczął król — więc niechże waszmość opowiada.... Są tam jakieś zamieszki?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Które wymierzone są, powiadasz waszmość, przeciwko staroście Pałacu Sprawiedliwości?

— Niby, w gruncie, pozory takie... — odpowiedział Coictier, oszołomiony nagłą i niespodziewaną zmianą w tonie króla.

Ludwik XI ciągnął:

— A gdzie, mówisz, strażę spotkały tłumy?

— Na drodze do mostu. Ja sam też natknąłem się na rebelię idąc tu. Słyszałem jak niektórzy krzyczeli: — Na postronek starostę pałacowego!

— I jakież oni mają urazy względem starosty?

— Ba! — rzekł Coictier. — Jedyne uraza, że jest ich władcą.

— Ehe! — rzekł król.

Zacierał dłonie i śmiał się, czego nikt ani pojąć, ani wytłumaczyć sobie nie umiał.

— Wielu ich było?

— Najmniej sześć tysięcy.

Król nie mógł się powstrzymać od powiedzenia:—Wybornie! Lecz zaraz dodał:

— A jak uzbrojeni?

— W kosy, piki, rusznice, łopaty. Jeżeli Wasza Królewska Mość nie da odsieczy, zginie pan starosta niechybnie.

— Damy! damy! — powiedział król. — A jakże! Ma się rozumieć, że damy. Pan starosta jest naszym przyjacielem. Sześć tysięcy! Ależ to łotry! Tylko, że mało mamy ludzi przy sobie tej nocy... Będzie na to czas jutro z rana.

Coictier zawołał:

— Najjaśniejszy panie! trzeba natychmiast! Do jutra starostwo z ziemią zostanie zrównane. Król spojrzał mu w oczy.

— Powiedziałem już waszmości, jutro, jutro rano.

Było to jedno z owych spojrzeń, na które nie ma nic do powiedzenia.

— Ach, zapomniałem, najjaśniejszy panie — odezwał się Coictier — na śmierć zapomniałem, że strażę przychwyciły dwóch ludzi z bandy. Jeżeli wasza królewska mość chce zobaczyć tych ludzi, to są właśnie tu.

— Czy ich chcę zobaczyć? — krzyknął król. — Ależ przez Bóg żywy! Czy to już i o takich rzeczach zapominasz... Biegnij czym prędzej, Olivier! Dawaj ich natychmiast!

Olivier wyszedł i wrócił po chwili, prowadząc za sobą dwóch jeńców, otoczonych łucznikami królewskimi.

Król przypatrywał się im chwilę, nie mówiąc słowa, po czym zagadnął raptem pierwszego:

— Jak się nazywasz?

— Geffroy Pincebourde.

— Zajęcie twe?

— Włóczęga, proszę jegomości.

— Pocóżeś laź do rozruchu?

— Nie wiem — odrzekł. — Szli, to i ja poszedłem.

— Czy nie chcieliście napaść i zrabować swojego pana, starostę pałacu?

— Wiem, że coś chcieli wziąć u kogoś. Ot i wszystko. Jeden z łuczników pokazał królowi nóż ogrodniczy, znaleziony przy hultaju.

— Czy to twoja broń? — badał król.

— A tak, proszę jegomości, bo ja ogrodnik.

— Ten zaś człowiek, to twój towarzysz. Poznajesz go? — spytał Ludwik XI, wskazując na drugiego jeńca.

— Nie, nie znam go.

— Dość — powiedział król. I dając znak palcem milczącemu drabowi u drzwi, na którego zwracaliśmy już uwagę czytelnika: — Tristanie — zawołał — masz, to dla ciebie.

Tristan Hermita pokłonił się. Dał rozkaz dwom łucznikom, którzy wyprowadzili ogrodnika.

Król zbliżył się do drugiego jeńca.

— Nazwisko? — Najjaśniejszy panie, Piotr Gringoire.

— Rzemiosło?

— Filozof, najjaśniejszy panie.

— Jakżeś sobie pozwolił, niecnoto, iść oblegać przyjaciela naszego, pana starostę Pałacu i co masz do powiedzenia o tej ruchawce?

— Najjaśniejszy panie, nie należałem do niej.

— Alboż cię czaty nie pochwyciły w łajdackiej tej kompanii?

— Nie, najjaśniejszy panie; zaszła pomyłka. Najjaśniejszy panie, błagam waszą królewską mość, byś mnie łaskawie wysłuchać raczył. Jestem poetą. Taki już zwyczaj ludzi mojego stanu, że chodzą po ulicach w nocy. Szedłem właśnie tamtędy tego wieczora. Traf straszliwy. Niesłusznie mnie przytrzymano! Wasza królewska mość widzi, że mnie włóczęga nie poznał. Zaklinam waszą królewską...

— Milczże! — powiedział król.

Tristan Hermita wystąpił i wskazał na Gringoire'a:

— Najjaśniejszy panie, można i tego także powiesić?

— Ba! — odrzekł król niedbale. — Czemuż by nie? Filozof nasz pobladł. Z chłodnej i obojętnej twarzy króla

sposzregł, że jedyną deską zbawienia mogło być chyba coś nader wzniosłego i szczytnego; rzucił się tedy do stóp Ludwika XI wołając rozpaczliwie:

— Najjaśniejszy panie, wasza królewska mość raczy łaskawie nakłonić ucha.

Najjaśniejszy panie! Nie uderzaj gromami w rzecz tak lichą. Pioruny Boga żywego nie mierzą do główek kapusty. Najjaśniejszy panie, jesteś wielkim monarchą, potężnym monarchą, miejże litość nad biednym, pocziwym człekiem, któremu by trudniej bunt wzniecić, niżli skrzesać iskrę z bryłki lodu! Najmiłościwszy królu! Wspaniałomyślność jest cnotą królewską!

Gringoire mówiąc to całował trzewiki króla, który w tej chwili zeskrobywał paznokciem płamkę ze swej kurty.

— Toż to przeklęty nudziarz — powiedział i zwrócił się do Tristana Hermitę:

— Puść go, do kaduka!

— Uf! — zawołał Gringoire — ot, wielki król!

I z obawy, żeby nie odwołano rozkazu, rzucił się do drzwi. Król bębnił tymczasem wesoło palcami marsze na poręczach krzesła. Nagle podszedł do okna i otworzył je gwałtownie.

— A, na rany Chrystusa! — krzyknął klaszcząc w dłonie. — Otóż mi łuna nad Grodem!

O, pocziwy mój ludku! Przychodzisz mi nareszcie w pomoc przeciwko magnaterii.

W tej chwili wrócił Olivier.

— Najjaśniejszy panie — oświadczył Olivier. — To nie przeciw staroście Pałacu rzuca się ów motłoch.

— Więc przeciw komu?

— Przeciw Tobie, najjaśniejszy panie.

Stary król zerwał się na równe nogi jak młodzik.

— Wytłumacz się, Olivier! Wytłumacz! — zawołał. — I pilnuj swej głowy! Pilnuj jej, bracie, bo klnę się na krzyż Św. Lwa, że jeśli zmyślasz, miecz ten, co ściął pana Luksemburskiego, nie wyszczerbił się jeszcze do tyła, by twojej szyi nie uciął.

— Najjaśniejszy pa...

— Na kolana! — wrzasnął piorunującym głosem król. — Tristan! Pilnuj mi tego człowieka! Olivier ukląkł i mówił chłodno:

— Najjaśniejszy panie, czarownica została skazana na śmierć przez wielką izbę twego trybunału. Skryła się w Notre-Dame. Czerń chce ją gwałtem odebrać. Pan kasztelan i pan dowódca straży nocnych, którzy idą z miejsca rokoszu, są tu oto, by mi kłam zadać, jeśli cokolwiek zmyślam. Motłoch oblega kościół Najświętszej Panny.

— Ooo! — wybuchnął król zsiniały i drżący. — Najświętszą Pannę! Oni — Najświętszą Pannę, Królową moją, we własnej Jej katedrze obiegli!... Wstań, Olivier. Masz słuszość. To napaść na mnie.

Czarownica jest pod opieką kościoła, kościół pod moją opieką. A ja sądziłem, że chodzi o pana starostę!

Jak odmłodzony począł biegać po izbie. Przestał uśmiechać się, był straszny. Złość zdawała się go dławić. Nagle podniósł głowę. — W pień, Tristan! Wyrznij w pień to gałęństwo! Na koń, Tristan!

Po ochłonięciu z pierwszego wybuchu rzekł z hamowaną wściekłością:

— Tristan!... Jest tu u nas w Bastylji pięćdziesiąt znaków wicehrabiego Gif, co czyni koni trzysta: weźmiesz to. Jest również kompania łuczników pana Chateaupers, weźmiesz ją. Masz swoją straż marszałkowską, zabierz ją. W pałacu Saint-Pol znajdziesz czterdziestu łuczników nowego pocztu Delfina Francji, zabierz. I leć z tym do Notre-Dame... A, hołoto paryska! Czy tak? Tristan! Zmieć mi to, żeby ani jedna żywa dusza nie została!

Tristan pokłonił się.

— A co mam zrobić z czarownicą? Pytanie to zastanowiło króla.

— A, a! — rzekł — z czarownicą! Panie d'Estouteville, czego lud od niej chciał?

— Najjaśniejszy panie! — odpowiedział kasztelan paryski — mniemam, że ponieważ lud zamierzał ją porwać, więc chcą wiedźmę powiesić.

Król zdawał się być chwilę głęboko zamyślony, po czym zwrócił się do Tristana Hermyty:

— Zgnieciesz motłoch, czarownicę powieszysz!

## ROZDZIAŁ XXIII

### CHATEAUPERS PRZYBYWA Z ODSIECZĄ

Wydostawszy się z bastylji Gringoire biegł ulicą Św. Antoniego i szedł w kierunku kamiennego krzyża, wznoszącego się pośrodku placu. W ciemności dostrzegł postać męską, czarno ubraną i zakapturzoną, siedzącą u stóp krzyża.

— Czy to ty, mistrzu? — spytał Gringoire. Postać się podniosła.

— O, męko piekielna! Nie mogłem się doczekać. Strażnik z wieży Św. Gerwazego obwieścił pół do drugiej.

— Ba! Nie moja wina — sarknął Gringoire. — Wina straży kasztelańskich i króla jegomości. Ledwo się wymknąłem, ledwo uniknąłem szubienicy. Takie już me przeznaczenie.

— Masz szczęście — wtrącił drugi. — Lecz śpieszmy. Masz hasło?

— Wyobraź sobie, mistrzu, widziałem króla! Co za awantura!

— Nic mnie te twoje awantury nie obchodzą. Czy masz hasło?

— Mam, nie lękaj się, mistrzu. Ognisty miecz!

— Dobrze. Inaczej byśmy nie doszli do kościoła. Wszystkie ulice obstawione. Szczęściem, hołota napotkała zdaje się na opór. Być może zdążymy jeszcze na czas.

— Tak, mistrzu. Ale jak wejdziemy do Notre-Dame?

— Mam klucz od wieży.

— A jak stamtąd wyjdziemy?

— Na tyłach klasztoru znajduje się furtka. A stamtąd jest wyjście do rzeki. Wziąłem z sobą klucz i łódź uwiązałem u brzegu.

— Alem się gracko wywinął spod szubienicy! — począł znów swoje Gringoire.

— Nie marudź! Idziemy! — przerwał drugi. Szybkimi krokami podążyli w stronę Grodu. Czytelnik przypomina sobie zapewne krytyczne położenie, w jakim zostawiliśmy Quasimoda. Dzielną garbus, opadnięty ze wszystkich stron, stracił jeśli nie odwagę, to przynajmniej nadzieję ocalenia, nie siebie (gdyż o sobie nie myślał), lecz Cyganki. Biegał jak obłąkany z jednego końca galerii na drugi. Katedra Najświętszej Panny wpadała już w ręce napastników... Nagle huraganowy tętent napełnił sąsiednie ulice i długi szereg pochodni nad kolumną jezdnych z pochyłymi lancami rozdarł przy strasznych okrzykach tłumów szarawoczerwone tło placu.

— Francja! Francja! Bij, zabij! Chateaupers, na odsiecz! Kasztelania! Kasztelania! Quasimodo nie słysząc nic ujrzał tylko obnażone pałasze, pochodnie, ostrza lanc, jazdę, rycerstwo, na którego czele poznał kapitana Phoebusa; zobaczył zamieszanie w szeregach tłumy, przerażenie wśród jednych, osłupienie wśród innych i ta niespodziewana pomoc dodała mu tyle sił, że odepchnął pierwszych szturmujących, którzy się już dobierali do poręczy galerii.

Było to w rzeczy samej wojsko królewskie.

Dziady należycie przyjęli natarcie rycerstwa. Bronili się jak potępieńcy. Wzięci z boku od ulicy Saint-Pierre-aux-Boeuf, a z tyłu od ulicy Przedkatedralnej, przyparci do katedry Najświętszej Panny, której bronił Quasimodo, oblegający i oblężeni zarazem znaleźli się w beznadziejnym położeniu.

Bój był straszny. Kawaleria królewska, wśród której dzielnie walczył Phoebus de Chateaupers, siekła bez pardonu i litości; czego miecz jej nie dosięgnął, tego dokonał koncerz. Ale tłum też bronił się mężnie. Szczególnie jeden z walczących dokonywał okropnych czynów. Miał szeroką kosę, którą zataczał poziomo dokoła. Śpiewał przy tym jakąś piosnkę. Ciął po nogach. Był to Clopin Trouillefou... Powaliła go na bruk kula z rusznicy.

Tymczasem pootwierały się okna. Mieszkańcy posłyszawszy wojenne okrzyki wmieszali się do rozprawy i ze wszystkich pięter sypnęły się na żebraków kule.

Co do Quasimoda, który ani na chwilę walczyć nie przestał, widział on dokładnie cały przebieg akcji; gdy w końcu ujrzał porażkę tłumów, padł na kolana i wznosił ręce do nieba; po czym pobiegł do celi, do której wstępu z taką zaciętością bronił. Był teraz przejęty tylko jedną myślą: klęknąć czym prędzej przed tą, którą po raz drugi ocalił. Ale gdy wszedł do izdebki, nie zastał w niej nikogo.

## ROZDZIAŁ XXIV TRZEWICZEK

W chwili napadu tłumu na kościół Esmeralda spała.

Niebawem atoli wzrastająca wrzawa obudziła ją. Wstała i zaczęła się przysłuchiwać. Zaniepokojona światłami i hukiem wybiegła z izdebki. Widok placu, wrzask tłumów, czerwone pochodnie, błakające się i krzyżujące jak ogniki — cała ta scena zrobiła na niej wstrząsające wrażenie.

Gdy się tak przypatrywała, usłyszała czyjeś kroki.

Dwóch mężczyzn, z których jeden niósł latarnię, stanęło obok niej.

— Nie lękaj się — odezwał się znajomy głos. — To ja.

— Kto taki? — spytała.

— Piotr Gringoire.

Poznała poetę, ale obok niego znajdowała się jakaś postać, okryta od stóp do głowy czarną szatą.

— Ach — powiedział Gringoire tonem wyrzutu — Dżali mnie pierwej poznała niż ty.

— Kto jest z tobą? — spytała Cyganka.

— Bądź spokojna — odrzekł filozof. — To jeden z moich przyjaciół...

Człowiek w czerni nie pozwolił mu dokończyć. Zbliżył się do Gringoire'a i potrząsnął go za ramię.

— Prawda — rzekł Gringoire — zapomniałem, że nam śpieszno... Drogie moje dziecko, życie twoje jest w niebezpieczeństwie. Jesteśmy twymi przyjaciółmi i przychodzimy cię ocalić.

— Czy to możliwe! — zawołała wzburzona.

— Tak jest. Chodź prędeż.

— Idę!

Gringoire wziął ją za rękę. Pozwoliła się prowadzić. Koza postępowała za nimi skacząc.

— Takie jest nasze życie — powtarzał filozof za każdym potknięciem się. — Najczęściej upadek gotują nam przyjaciele.

Szybko zeszli po schodach i wyszli na dziedziniec klasztorny.

Człowiek w czerni otworzył furtkę kluczem i zmierzał prosto do rzeki. Za zwaliskami ogrodzenia ukryta była mała łódź. Przewodnik skinął na Gringoire'a i towarzyszkę, by weszli do łodzi. Koza pobiegła za nimi. Sam wskoczył ostatni, po czym odczepił linę, odepchnął łódź od lądu, siadł i chwyciwszy za wiosła począł odbijać od brzegu.

Skoro tylko filozof uczył pierwsze poruszenie łódki, klasnął w dłonie.

— Nareszcie! — zawołał. — Otośmy ocaleni wszyscy czworo.

I dodał z powagą głębokiego mędrca:

— Losowi niekiedy, a czasem przebiegłości zawdzięczamy szczęśliwe rozwiązanie wielkich przedsięwzięć.

Czółno z wolna posuwało się ku prawemu brzegowi.

Pewne jest, że Gringoire znajdował się w wielkiej rozterce ducha.

Lekkie wstrząśnienie oznajmiło im nareszcie, że łódź przybiła do lądu. Złowrogie hałasy wciąż jeszcze przepelniały wyspę. Nieznajomy podniósł się, zbliżył się do Cyganki i chciał ją wziąć za rękę, by pomóc wysiąść z łodzi. Odsunęła go i wyskoczyła sama. Była tak przygnębiona, że stała chwilę jak osłupiała, ze wzrokiem bezmyślnie wlepionym w

wodą. Dopiero gdy przyszła do siebie, ujrzała, że jest sama z nieznajomym. Zdaje się, że Gringoire skorzystał z tej chwili i umknął z koza.

Nagle nieznajomy wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Pozwalała się prowadzić i biegiem podążała za nim.

Ale wreszcie zdobyła się na odwagę i szepnęła sapiąc ze zmęczenia: — Kto jesteś? Kto jesteś? Powiedz!

On milczał.

Biegnąc tak wyszli na jakiś plac. Był to Plac Straceń. Pośrodku wyróżniało się coś w rodzaju ogromnej, czarnej litery T. Była to szubienica.

Nieznajomy stanął, zwrócił się ku dziewczynie i odrzucił kaptur z głowy.

— On! — jęknęła Cyganka. — Byłam tego prawie pewna. Przed nią stał mnich.

— Słuchaj! — rzekł do niej. — Słuchaj! Jesteśmy tu. Rozmówmy się. Plac ten, to Plac Stracenia. Przeznaczenie splotło nas jednym łańcuchem. Ja mam stanowić o twoim życiu; ty o moim zbawieniu. Oto plac i noc, za którymi nic już nie widać. Posłuchajże, co chcę ci powiedzieć. Zapadł wyrok trybunału, skazujący cię ponownie na szubienicę. Wyrwałem cię z rąk siepaczy. Ale oto nadchodzą... Patrz!

Wyciągnął rękę w stronę Grodu. Poszukiwania zdawały się trwać tam ciągle. Wrzawa się zbliżała; wieża pałacu namiestnika, położona naprzeciwko Placu Stracenia, przepelniona była światłami i hałasem; na przeciwległym zaś brzegu biegała służba z pochodniami i okrzykami: — Cyganka! Gdzie jest Cyganka?

— Widzisz, że cię ścigają i że nie kłamię... Ja cię kocham. .. Mogę cię uratować!

Wszystko przygotowane. Wybieraj: ja lub szubienica!

Cyganka wyrwała mu się z rąk.

— Jesteś dla mnie wstrętniejszy od tej szubienicy!...

Klaudiusz zakrył sobie twarz rękami. Młoda dziewczyna posłyszała, że zapłakał. Po raz pierwszy może w życiu. Trwało to chwilę. Po czym archidiakon odstłonił twarz.

— Umieraj więc! — zawołał.

Cyganka ujrzała jego przerażające spojrzenie i chciała uciekać. Klaudiusz znów ją pochwyił, wstrząsnął, rzucił na ziemię i wlokąc po bruku skierował się ku Wieży Rolandowej. Stanąwszy tu odwrócił się. — Pytam się ciebie po raz ostatni...

Odpowiedziała z mocą:

— Nie! Nie!

Wtedy krzyknął głośno:

— Gudulo! Gudulo! Oto Cyganka, mścij się!

Młoda dziewczyna poczuła, że ją ktoś ujął za ramię. Spojrzała. Wychudła ręka wychodząca z okienka w murze ścisnęła ją jak żelaznymi kleszczami.

— Trzymaj ją dobrze — rzekł ksiądz. — To zbiegła Cyganka. Nie puszczaj. Idę po żołnierzy. Ujrzysz jak ją będą wieszać.

Gardłowy śmiech odpowiedział mu z wnętrza celi.

— Ha, ha, ha!

Klaudiusz oddalił się biegiem w kierunku mostu Najświętszej Panny. Odgłos przechodzącego oddziału dochodził z tamtej strony.



Młoda dziewczyna poznała złośliwą pustelnicę. Drżąc z trwogi próbowała się uwolnić. Szarpnęła się, ale pustelnica trzymała ją z niezwykłą siłą. Kościste i wychudłe palce wpijały się w jej ciało.

— Ha, ha, ha! Będziesz wisieć!

— Cóżem ci uczyniła? — spytała, prawie omdlała.

— Coś mi uczyniła, pytasz... Coś mi uczyniła, Cyganko ? ... Otóż słuchaj... Miałam dziecko! Rozumiesz! Śliczną małą córeczkę! Moją Anielkę — dodała obłąkana. — Otóż widzisz, Cyganko! Odebrano mi moje dziecko; skradziono, mi je; skradziono mi moje dziecko!.... Oto, coś mi uczyniła.

Młoda dziewczyna odrzekła:

— Nie było mnie jeszcze wówczas na świecie.

Od strony mostu Najświętszej Panny dał się słyszeć tętent zbliżającej się jazdy.

— Pani! — zawołała Esmeralda składając ręce. — Pani! Miej litość! Już idą!

— Oddaj mi moje dziecko! — rzekła pustelnica.

— Litości! Litości!

— Oddaj mi moje dziecko!

— Niestety! — wyszeptła Cyganka. — Ty szukasz twego dziecka, ja zaś szukam mych rodziców.

— Oddaj mi moją małą Anielkę — mówiła Gudula. — Ty wiesz, gdzie ona, moja mała córka! Poczekaj, pokażę ci coś. Czy wiesz, gdzie się znajduje drugi podobny? Jeśli wiesz, powiedz, a chociażby to było na drugim końcu świata, na kolanach tam pójde. To mówiąc, drugą ręką wysuniętą przez okienko pokazała Cygance mały, wyszywany trzewiczek. Na dworze było już dosyć jasno, aby móc rozpoznać jego kształt i kolor.

— Pokaż mi ten trzewiczek — rzekła z drżeniem Cyganka. — Boże! Boże!... — I w tej samej chwili otworzyła szybko medalion ozdobiony zielonymi paciorkami, który nosiła na szyi.

— Dobrze! Dobrze! — mruzczała Gudula. — Szperaj sobie w twoim szatańskim worku! — Nagle urwała, drgnęła i krzyknęła wielkim głosem: — Moja córka!

Cyganka wyciągnęła z woreczka mały trzewiczek zupełnie podobny do pierwszego. Do tego trzewiczka była przywiązana kartka z napisem:

W dniu, w którym znajdziesz drugi, podobny do tego,

Matka cię przytuli do serca swojego.

Pustelnica porównała dwa trzewiczki, odczytała napis na pergaminie i przyciskając rozplómiętą twarz do kraty okienka, wołała:

— Moja córka! Moja córka!

— Moja matka! — odpowiedziała Cyganka.

— O, jeszcze i to! — krzyknęła pustelnica. — Widzieć ją i nie móc jej uściskać.

Naraz z wściekłością lwicy chwyciła obiema rękami żelazną kratę celi. Lecz sztaby trzymały się mocno. Wtedy pobiegła do jednego z kątów nory, chwyciła duży kamień, który służył jej za poduszkę, i cisnęła nim w kratę z taką siłą, że jedna ze sztab pękła rzucając tysiące iskier. Drugie uderzenie wywaliła zupełnie żelazny krzyż przegradzający okienko.

Wtedy wyrwała rękami zardzewiałe końce sztab. Są chwile, kiedy ramię kobiety posiada siłę nadludzką.

Po utworzeniu w ten sposób przejścia pustelnica schwyciła swą córkę w pól i wciągnęła do celi.

— Chodź! na dnie przepaści cię odnajduję — szepnęła.

W tej chwili o mury celi odbił się szczęk zbroi i tętent koni pędzących od mostu Najświętszej Panny ku nadbrzeżu. Cyganka rzuciła się w objęcia pustelnicy.

— Ratuj mię! Ratuj mię, matko! Już przychodzą! Pustelnica zbladła.

— O nieba! Co mówisz... Zapomniałam! Cóżes uczyniła?

— Nie wiem — odpowiedziało nieszczęśliwe dziecko — ale jestem skazana na śmierć.

— Na śmierć! — rzekła Gudula ślaniając się. — Na śmierć! — powtórzyła.

Wrzawa i szczęk jakby się zatrzymały i dał się słyszeć głos:

— Tędy, Tristanie! Człowiek ów powiedział, że ją znajdziemy przy Szczurzej Jamie.

Pustelnica wyprostowała się i stanęła w oknie.

— Zbliżają się! Będę z nimi mówiła! Schowaj się w kącie. Nie spostrzegą. Powiem im, żeś uciekła!

Umieściła Esmeraldę w kącie celi, który jej się wydawał najciemniejszy. Kazała jej zwinąć się w kłębek, szybko ułożyła jej odzież w ten sposób, iżby nawet noga nie wysuwała się z cienia, i postawiła przed nią swój dzbanek i kamień sądząc, że dzbanek ten i kamień zasłonią córkę. Co uczyniwszy, spokojniejsza już, uklękła i zaczęła się modlić.

W tej chwili głos mnicha odbił się o mury Wieży.

— Tędy, rotmistrzu Phoebusie de Chateaupers, tędy! Na to imię skurczona w kącie Esmeralda drgnęła.

— Nie ruszaj się! — syknęła Gudula.

Zaledwie wymówiła te słowa, gdy tłum ludzi zatrzymał się przy celi. Matka podniosła się szybko i stanęła w okienku zasłaniając je sobą.

— Stara — odezwał się dowódca. — Szukamy czarownicy, którą mamy powiesić.

Powiedziano, że jest tutaj, u ciebie.

Matka przybrała najobojętniejszy wyraz i odpowiedziała:

— Nie rozumiem o co pytasz? Tamten krzyknął:

— Więc cóż nam, do diabła, plótl, ten wariat archidiakon. Gdzie on?

— Panie! — odrzekł jeden ze straży. — Przepadł gdzieś.

— No, dość tego, babo! — zaczął znów dowódca. — Dano ci czarownicę do pilnowania, cóżes z nią zrobiła?

Pustelnica nie chcąc wszystkiemu zaprzeczać, żeby nie obudzić podejrzeń, odparła opryskliwie:

— Jeżeli gadacie o tej dziewczce, którą przed chwilą wepchnięto mi w ręce, to ugryzła mnie w palec i uciekła. Nic więcej! Dajcie mi święty spokój.

Dowódca Tristan, on to bowiem był, skrzywił się, niezadowolony.

— Do kaduka! Prawdziwa Herod-baba!... Więc czarownica umknęła, powiadasz? W którą stronę?

Gudula odpowiedziała swobodnie:

— Zdaje mi się, że pobiegła ulicą Barania;

— Miłościwy panie — odezwał się naraz jeden z łuczników — racz zapytać tę wiedźmę, z jakiego to powodu kraty u jej okna są wyłamane?

— Nigdy nie było inaczej — odrzekła pustelnica.

— Ba! — odciął się łucznik. — Wczoraj jeszcze kraty były całe!

Wtem nadbiegł inny strażnik wołając: — Panie, stara zmyśla. Czarownica nie uciekła ulicą Baranią. Strażnik nikogo przechodzącego nie widział.

Tristan, którego twarz zasepiała się coraz bardziej, spytał Gudulę:

— Co powiesz na to?

— To, wielmożny panie, że mogłam się omylić! Jakoż myślę, że przeszła na tamten brzeg rzeki.

— Nie ma co — odsapnął Tristan przez zęby — w drogę. Szukajmy dalej.

I dosiadł konia.

Serce matki zabiło żywiej. — Ocalona! — szepnęła.

Biedna dziewczyna trwała przez cały czas bez ruchu, mając obraz śmierci przed oczami.

Nie straciła ani jednego słowa z rozmowy Guduli z Tristanem. W tej chwili posłyszała znajomy głos: — Nie moja to sprawa wieszać czarownicę. Wracam do mojej chorągwi!

Był to głos Phoebusa de Chateaupers. Tu się znajdował on przyjaciel jej i obrońca.

Zerwała się z miejsca i zanim matka zdążyła jej przeszkodzić, rzuciła się do okienka z okrzykiem:

— Phoebusie! Phoebusie mój!

Phoebusa już nie było. Zawrócił i odjechał galopem. Ale Tristan jeszcze był.

— Oho! — zawołał z chichotem. — Dwie myszki w jednej norze! No — dodał — gdzież jest Henriet Cousin?

Człowiek, nie mający nic żołnierskiego ani w postawie ani w stroju, wysunął się z szeregów. W ręku trzymał pęk sznurów.

— Przyjacielu — powiedział Tristan. — Odnaleźliśmy czarownicę. Powiesz ją. Masz drabinkę?

— Jest tam jedna na poddaszu.

— Spiesz się! — rzekł Tristan krótko.

— Panie, którą to z nich trzeba brać?

— Młodą.

Henriet Cousin podszedł do okna. Pustelnica zaczęła wrzeszczeć:

— Nie ma! Nikogo nie ma! Nie ma żywego ducha!

— Gdzież tam — począł kat — wszak wiecie dobrze? Pozwólcie mi wziąć młodą. Nic wam złego zrobić nie chcę.

Z dzikim szyderstwem odparła:

— Mnie? Mnie nie chcesz zrobić nic złego?

Henriet wrócił do Tristana zakłopotany. Sznury położył na ziemi i przestępując z nogi na nogę, miał kapelusz w rękach.

— Miłościwy panie — spytał — którędy wejść?

— Ależ drzwiami.

— Drzwi nie ma.

— Więc oknem.

— Zanadto wąskie, panie.

— Rozszerz je, do pioruna! — zawołał Tristan gniewnie. — Alboż nie masz dragów i młotów?

Henriet Cousin poszedł po pudło z narzędziami na poddaszu. Wyniósł stamtąd zarazem drabinę, którą też natychmiast oparł o szubienicę. Pięciu czy sześciu ludzi ze straży uzbroiło się w piki i dragi żelazne. Tristan poprowadził ich sam do okna.

— Słuchaj, stara, oddaj nam tę dziewczynę. Pustelnica spojrzała nań jakby nie rozumiejąc.

— I wreszcie — tłumaczył Tristan — co ci na tym zależy, do stu par diabłów, że się opierasz powieszeniu czarownicy?

Gudula zaczęła się śmiać dzikim śmiechem.

— Co mi na tym zależy? To moja córka.

— Przykro mi bardzo — powiedział Tristan. — Ale taka jest wola króla, pana naszego najmiłościwszego.

— I cóż mnie obchodzi twój król? Powiadam ci, że to moja córka.

— Wywalić ścianę — rozkazał Tristan.

Dla zrobienia otworu odpowiednio szerokiego wystarczyło wyrwać jeden z dolnych kamieni oprawy okna. Gdy matka posłyszała łomot dragów i motyk, podkopujących się pod jej celę, wydała przerażający okrzyk. Nagle porwała za piaskowcową bryłę, którą zwykle kładła pod głowę, i obiema rękami cisnęła nią na pracujących. Kamień źle rzucony nie ugodził nikogo i zatoczył się pod nogi rumaka Tristana.

Słońce miało wzejść niebawem. O tej porze otwierały się zwykle okiennice wielkiego miasta. Spieszący na targ wieśniacy na objuczonych osłach ukazywali się na ulicach. Pustelnica usiadła przy córce i przysłuchiwała się biednemu dziewczęciu, które skulone i nieruchome powtarzało wciąż jeden wyraz: „Phoebus! Phoebus!” W miarę jak praca burzycieli postępowała, matka cofała się i coraz bardziej przyciskała córkę do ściany. Naraz ujrzała, że się kamienna posada okna zachwiała. Jednocześnie dał się słyszeć głos Tristana zachęcający robotników. Wówczas wyszła ze stanu omdlenia.

I zwracając się do Tristana z obłąkanym wzrokiem, zawołała:

— Zbliź się! Zbliź się do mojej córki!! A może nie rozumiesz kobiety, gdy ci powiada, co to jest córka? Może nie wiesz, co to jest być matką?

— Odwalić kamień — powiedział Tristan.

Dragi podważyły ciężką bryłę. Piaskowiec poruszony przez sześciu ludzi z wolna osunął się na ziemię.

— Teraz wziąć dziewczynę! — rzekł Tristan, nieugięty. Nikt się nie ruszył.

— A, do Lucypera! Czy tacy z was rycerze? Lękacie się kobiety?

Kat i strażnicy weszli do celi. Matka nie stawiała już żadnego oporu, podczołgała się tylko do córki i nakryła ją swym ciałem. Cyganka ujrzała zbliżających się żołnierzy.

— Matko moja — krzyknęła. — Matko moja! Nadchodzą! Broń mnie!

— Tak, duszo moja, bronię cię! — odrzekła matka gasnącym głosem.

Obie na ziemi, matka osłaniająca córkę, tworzyły widowisko godne współczucia i litości. Henriet Cousin objął dziewczynę w pól. Usiłował daremnie oderwać matkę. Zatem wywłókł za sobą dziewczynę i matkę.

Słońce wschodziło właśnie i plac zalegała już znaczna ciżba ludu.

Henriet Cousin zatrzymał się przy drabinie i dysząc ze zmęczenia zarzucił sznur na szyję dziewczęcia. Esmeralda zadrżała.

— Nie! Nie! Nie chcę!

Kat skorzystał z chwili omdlenia matki i szybko oderwał jej rękę, obejmując skazaną.

Wówczas podniósł dziewczynę stawiając stopę na drabinie.

W tej chwili matka ocknęła się, zerwała się jak dziki zwierz, rzuciła się na kata i ukaśiła w rękę. Stało się to błyskawicznie. Kat zawył z bólu. Odepchnięto pustelnicę brutalnie; upadła na kamienie i nie podniosła się już. Skonała.

## **ROZDZIAŁ XXV**

### **ARCHIDIAKON**

Gdy Quasimodo ujrzał pustą izbę, wypadł zrozpaczony i zaczął obchodzić cały kościół, szukając Esmeraldy. Biegał tak długi czas bezskutecznie. Nie znajdując jej doszedł do przekonania, że nie kto inny, tylko archidiakon porwał Esmeraldę. Tak jednak czcił kapłana, że nie poddawał się zazdrości.

Rozmyślał nad postępkami archidiakona.

Bijąc się z uczuciami gwałtownymi a sprzecznymi, ujrzał na górnym piętrze katedry jakąś postać. Postać ta zmierzała w jego stronę. Poznał ją. Był to archidiakon. Quasimodo podążył za nim. Gdy wszedł na szczyt dzwonnicy, ksiądz stał obrócony tyłem.

Piękny był stąd widok Paryża, oglądanego z wysokości dzwonnicy Notre-Dame.

Quasimodo powiódł okiem w kierunku, w którym patrzył Klaudiusz, i w ten sposób wzrok jego padł na Plac Stracenia.

Ujrzał to, na co ksiądz patrzył. Drabina wznosiła się przy szubienicy. Na placu znajdowała się gromada gminu i wojsko. Człowiek jakiś włókł po bruku coś białego.

Człowiek ten zatrzymał się u podnóża drabiny. Tu powstał zamęt, w którym Quasimodo nie mógł się zorientować.

Człowiek zaczął wstępować na drabinę. Tym razem Quasimodo mógł go widzieć dokładnie. Niósł on dziewczynę w bieli; dziewczyna miała pętlę na szyi. Quasimodo poznał w skazanej Esmeraldę.

Człowiek doszedł do wierzchołka drabiny. Tu zatrzymał się i poprawił pętlę. Nagle człowiek odtrącił drabinę i Quasimodo na wpół przytomny ujrzał jak sznur się rozwinął, a na jego końcu ponad brukiem zawisła nieszczęsna dziewczyna.

W chwili kaźni najstraszniejszy śmiech, szatański śmiech, na jaki się zdobyć można dopiero wtedy, gdy się już przestało być człowiekiem, wyrwał się z ust Klaudiusza. Nie słyszał tego śmiechu Quasimodo, ale go widział. Dzwonnik cofnął się o kilka kroków od archidiakona i naraz biegnąc nań, w pędzie obiema rękami pchnął go w przepaść, nad którą Frolo był zawieszony.

Ksiądz krzyknął: — Przekleństwo! — i spadł.

Rynna, ponad którą się znajdował, powstrzymała zbrodniarza w locie. Uczepił się jej rękami, w chwili zaś gdy otwierał usta do krzyku o pomoc, ujrzał przesuwającą się ponad

krawędzią krużganka, tuż nad swą głową, potworną, mściwą twarz Quasimoda. Wtedy zamilkł.

Pod nim była przepaść. W tym strasliwym położeniu archidiakon nie wyrzekł ani jednego słowa, nie wydał ani jednego jęku. Trzymał się rynny i starał się wspiąć na krużganek.

Garbusowi dość było sięgnąć ręką aby nędznika wydzwignąć; ale on nawet nie spojrzał nań. Patrzył na plac, patrzył na szubienicę. Oparłszy się łokciami o poręcz, w miejscu gdzie stał przed chwilą archidiakon, patrzył, oniemiały, a łzy toczyły mu się z oka. Archidiakon tymczasem walczył beznadziejnie o swe życie. Z rąk ciekła mu krew, kolana raniły się o mur. Słyszał jak jego sutanna zaczepiona o rynnę pruć się i pękała za każdym poruszeniem. Na domiar grozy rynna zakończona była rurą łożowaną, która się chwiała pod ciężarem wiszącego.

Było rzeczywiście coś przerażającego w milczeniu tych dwóch ludzi. Podczas gdy archidiakon o kilka stóp pod dzwonnikiem konał w sposób tak straszny, garbus płakał i patrzył na Plac Stracenia.

Archidiakon mdlejąc ze strachu rozumiał nareszcie, że wszystko było daremne. Zebrał wszakże resztę sił i spróbował ostatniego sposobu. Wyprężył się na rynnie, podparł się kolanami o mur, chwycił rękami za jeden z gzymsów kamiennych i zdołał podsunąć się w górę. Wysiłkiem tym atoli zgiał dziób łożowany, na którym się zaczepił. Wówczas czując, że ręce mu omdlewają, nieszczęśliwy zamknął powieki i puścił rynnę. Runął.

Pod wieczór tego dnia, gdy urzędnicy sądowi biskupa przyszli zabrać trupa archidiakona, Quasimodo znikł z katedry.

Wiele różnych pogłosek krążyło na temat tej sprawy. Na ogół przypuszczano, że nadeszła chwila, w której na mocy zawartego kontraktu Quasimodo, to jest diabeł, zabrać miał Klaudiusza Frollo, czyli czarnoksiężnika. Przypuszczano, że diabeł porywając duszę, rozbił pierwaj ciało, jak to robią mały, które dla wydobycia jądra rozłupują skorupę.

Dlatego to archidiakon nie był pochowany na poświęconej ziemi.

Został Piotr Gringoire. Ten zdołał ocalić kożę i osiągnął sukcesy w tragedii. Zdaje się, że po przestudiowaniu kolejno astrologii, filozofii, architektury, hermetyki i wielu innych tym podobnych nedorzeczności, wrócił do tragedii, sztuki najnidorzeczniejszej ze wszystkich. W sprawie jego triumfów dramatycznych czytamy właśnie pod r. 1483, w rachunkach ordynacji dworskiej: „Janowi Marchand i Piotrowi Gringoire, cieśli i kompozytorowi, jako że dali i sporządzili misterium wystawione na zamku paryskim przy wjeździe Jego Miłości Legata Ojca Św.; za dobór osób żywych, ubranie i ustroje onych wedle przyzwoitości w rzeczonym misterium; a także, że zbudowali rusztowanie ku temu niezbędne i za zrobienie tego, liwrów sto”.

Phoebus de Chateaupers skończył również tragicznie: ożenił się.

## **ROZDZIAŁ XXVI**

### **ŚLUBNA KOMNATA DZWONNIKA KATEDRALNEGO**

Nadmieniliśmy, że Quasimodo znikł z kościoła Najświętszej Panny Paryskiej w dniu śmierci Cyganki i archidiakona. W istocie, nie widziano go już od tej pory; nikt się nie mógł dopytać, co się z nim stało. Następnego nocy po powieszeniu Esmeraldy służba mistrza oprawcy odwiązała jej ciało od szubienicy i wedle obyczaju odniosła do lochów Montfaucon.

Montfaucon była to, jak powiada Sauval, „najstarożytniejsza i najwspanialsza szubienica królestwa”. Między przedmieściem Tempie a przedmieściem Św. Marcina, o sto sześćdziesiąt łokci bez mała od okopów paryskich, widać było na szczycie łagodnej wyniosłości gmach o dziwacznych kształtach.

Wyobraźmy sobie na wierzchołku kopca przysadzisty równoległobok murowany, z wejściem, poręczami zewnętrznymi i pomostem; na tym pomoście szesnastie potężnych słupów kamiennych, nieciosanych, wzdłuż trzech ścian. W pobliżu, na równinie, krzyż kamienny i dwie szubienice. Ponad tym wszystkim w obłokach krążące chmary kruków; takim był Montfaucon.

Kamienne podmurowanie, służące za podstawę tej ohydnej budowli, było wydrążone. kratą żelazną; wrzucano tu zwłoki powieszonych na innych szubienicach Paryża.

Co się teraz tyczy tajemniczego zniknięcia Quasimoda, wszystko, cośmy w przedmiocie tym odkryć mogli, sprowadza się do następującego faktu:

W niespełna dwa lata po wypadkach, kończących niniejsze opowiadanie, ludzie wysłani do odszukania w lochu trupa Oliviera le Daim, który był powieszony dwa dni przedtem, a któremu Karol VIII łaskawie zezwolił spocząć w lepszym towarzystwie, u św. Wawrzyńca, natrafili na dwa szkielety dziwnie z sobą splecione. Jeden z nich, niewieści, miał jeszcze na sobie resztki sukienki z materii, która niegdyś była biała, a na szyi paciorki z małym jedwabnym szkaplerzykiem, otworzonym i próżnym. Klejnociki te posiadały tak małą wartość, że widocznie kat zabrać ich nie chciał. Drugi kościotrup, przytulony do pierwszego szkieletu, był kościotrupem mężczyzny. Zauważono, że kręgosłup miał skrzywiony, głowę wetkniętą w łopatki i jedną nogę krótszą. Człowiek ten nie był powieszony, sam zapewne przyszedł i tu skonał. Gdy chciano rozłączyć go z towarzyszką, rozsypał się w proch.